

Creatio Fantastica

ISSN: 2300-2514

Howard Phillips Lovecraft

3-4 (54-55) 2016

CREATIOFANTASTICA.COM • OŚRODEK BADAWCZY FACTA FICTA w KRAKOWIE



Creatio Fantastica

ISSN: 2300-2514

3-4 (54-55) 2016

Howard Phillips Lovecraft

Ośrodek Badawczy Facta Ficta • Kraków 2016

Spis treści

Artykuły naukowe

Lovecraft i religia

S. T. Joshi

Editorial note

The article was originally published as a chapter in S.T. Joshi's book *Lovecraft and a World in Transition: Collected Essays on H. P. Lovecraft* (New York: Hippocampus Press 2014, pp. 187-195). The presented version was kindly provided to „Creatio Fantastica" by the Author without any copyright fee and translated into Polish by Magdalena Wąsowicz.

S. T. Joshi — właśc. Sunand Tryambak Joshi, jest wybitnym światowym znawcą postaci i twórczości Howarda Phillipsa Lovecrafta, a także Ambrose'a Bierce'a, H. L. Menckena i wielu innych twórców, obracających się głównie w gatunku fantasy; redagował poprawione wydania dzieł Lovecrafta, komentował wydania Bierce'a i Menckena, a także napisał krytyczne opracowania, jak *The Weird Tale* (1990) czy *The Modern Weird Tale* (2001); ostatnio w Polsce nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka ukazała się jego obsypana nagrodami książka *H.P. Lovecraft. Biografia* (2010). Więcej informacji można znaleźć na stronie autorskiej *stjoshi.org.* Kontakt: *stj@stjoshi.org*

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 7-17.

Jak to się stało, że człowiek taki jak Howard Phillips Lovecraft, w swoich czasach znany jedynie jako autor pozornie ponurych i ekstrawaganckich opowiadań o „kosmicznym horrorze", człowiek, który nie wniósł właściwie żadnego wkładu w debatę publiczną dotyczącą najważniejszych dogmatów religijnych, politycznych czy społecznych, stał się ponad pół wieku po swojej śmierci patronem ateizmu? Zagadkę tę może częściowo wyjaśniać jego niezwykła pośmiertna renoma; renoma, która została zbudowana nie tylko na wydanych przez najbardziej prestiżowe wydawnictwa stosunkowo niewielkich zbiorach opowiadań (proces ten zwieńczyła nowa edycja *Tales* wydana w 2005 roku przez Library of America), ale również na jego esejach, wierszach i, przede wszystkim, tysiącach listów. To właśnie te listy, pisane do mało znanych przyjaciół oraz znajomych, z pewnością nieprzeznaczone do publikacji, udowadniają, że Lovecraft należał do najbardziej przenikliwych umysłów swojego pokolenia. Stworzył on spójny światopogląd, zgodnie z którym w strukturze wszechświata nie ma miejsca dla Boga. Odwoływał się przede wszystkim do nauki jako arbitra prawdy, pozostawiając pomimo tego miejsce dla pobudzającej fantazję sztuki. Lecz jeśli chcemy wyjaśnić znaczenie Lovecrafta jako pisarza i myśliciela, to zapewne musimy przyjrzeć się również tej posępnej, niemal mitycznej postaci, jaką się stał jako człowiek, który w swoich opowiadaniach stworzył panteon „bogów", a jednocześnie szydził z najważniejszych dogmatów religijnych, takich jak istnienie bóstwa, nieśmiertelność duszy i wyjątkowa pozycja człowieka we wszechświecie.

Dzieciństwo oraz wychowanie Lovecrafta stworzyło podstawy zarówno dla jego imponującego intelektu, jak i opowiadań o zjawiskach nadprzyrodzonych. Urodzony 20 sierpnia 1890 roku w Providence w stanie Rhode Island, w rodzinie baptystki (Sarah Susan Phillips Lovecraft) i anglikanina (Winfielda Scotta Lovecrafta), Lovecraft wcześnie rozwinął zamiłowanie do tego, co później będzie określał jako „nadzwyczaj racjonalny osiemnasty wiek"[1] – wiek Davida Hume'a, Edwarda Gibbona i „partii filozofów"[2]. Oczywiście w dzieciństwie fascynowała go nie filozofia, tylko literatura (zwłaszcza poezja), a jego zainteresowanie greckimi oraz łacińskimi poezjami w przekładzie Johna Drydena i Alexandra Pope'a pomogło mu w odkryciu antyku. Jednym z jego najwcześniejszych zachowanych utworów jest pochodząca z 1897 roku parafraza *Odysei* składająca się z 88 wersów. W swoim intrygującym eseju *Wyznanie niewiary* Lovecraft stwierdza, że wczesna fascynacja mitami i literaturą klasyczną miała duży wpływ na jego ateistyczne poglądy. W tym samym eseju stwierdza jednak, że pierwsze sceptyczne opinie wygłaszał już w szkółce niedzielnej, do której uczęszczał w wieku pięciu lat. Wydaje się, że stwierdzenie to jest sprzeczne z treścią listu z 1920 roku, w którym pisze, że jego utarczki w szkółce niedzielnej miały miejsce w nieco późniejszym okresie:

> Jak dobrze pamiętam me ataki na nauczycieli szkółki niedzielnej w ostatnim okresie mej obowiązkowej nauki! Miałem 12 lat i byłem dla tej instytucji prawdziwym utrapieniem. Żadna z odpowiedzi udzielanych przez

[1] H. P. Lovecraft, *Selected Letters*, Sauk City: Arkham House 1965-76, t. 3, s. 146.

[2] Partia filozofów – oświeceniowa frakcja działająca na dworze francuskim w XVIII. Wyznawała ona deizm i sprzeciwiała się wysokiej pozycji kościoła katolickiego w państwie francuskim (przyp. tłum.)

> mych pobożnych nauczycieli mnie nie satysfakcjonowała, a moje żądania, by przestali uznawać pewne rzeczy za oczywiste, irytowały ich. Rozsądna argumentacja była czymś nowym w ich ciasnym świecie semickiej mitologii. W końcu zrozumiałem, że są oni beznadziejnie przywiązani do swoich niczym nieuzasadnionych dogmatów i tradycji, i od tego czasu nie traktowałem ich poważnie. Szkółka niedzielna stała się dla mnie po prostu miejscem, w którym mogłem się pobawić i parodiować bogobojnych konserwatystów. Moja matka to zauważyła i więcej nie próbowała wymusić na mnie uczęszczania do niej[3].

Być może jednak nie zachodzi tutaj żadna sprzeczność: wspomnienia Lovecrafta dotyczące klasy dziecięcej szkółki niedzielnej Pierwszego Kościoła Baptystów opisane w *Wyznaniu niewiary* wydają się autentyczne, można jednak podejrzewać, że wyolbrzymił on to, jak potrafił „atakować" swoich nauczycieli już w wieku pięciu lat.

W tym czasie wyobraźnia Lovecrafta była stymulowana przez pierwsze czytane przez niego książki, takie jak *Baśnie braci Grimm* (w wieku czterech lat), *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* (pięć lat) i *Rymy o starym marynarzu* Coleridge'a ilustrowane przez Gustava Dore'a (sześć lat). Te i inne dzieła obudziły w nim zamiłowanie do fantastyczności, Lovecraft pisał krótkie opowiadania grozy już w wieku sześciu lat. Owe pierwsze próby literackie były bardzo niezdarne, jednak stworzyły podstawy, na gruncie których powstały późniejsze „kosmiczne" utwory. Równie ważna jak literatura była wcześnie rozwinięta u Lovecrafta fascynacja nauką – wpierw, gdy miał osiem lat, chemią, a następnie, w wieku jedenastu lat, astronomią. Lovecraft mówi prawdę, gdy w *Wyznaniu niewiary* pisze, że z pewnością to właśnie te nauki sprawiły, iż z agnostyka stał się ateistą. Wobec „miriadów słońc i światów nieskończonej przestrzeni kosmosu"[4] całe ziemskie życie traciło na znaczeniu i Lovecraft przyznaje, że tak właśnie wkroczył w okres kosmicznego pesymizmu. „Błahość wszelkiego istnienia zaczęła mi imponować, ale i przytłaczać"[5].

Nie należy jednak sądzić, że przywiązanie Lovecrafta do osiemnastego wieku oznaczało inspirowanie się (czy w ogóle znajomość) utwory najważniejszych świeckich myślicieli tego okresu. Chociaż w swych listach w urzekający sposób naśladował on styl osiemnastowieczny, to nie ma w zasadzie podstaw, by przypuszczać, że znał gruntownie pisma „La Mettrie, Diderota, Helvétiusa, Hume'a i dziesiątków innych […] z nadzwyczaj racjonalnego osiemnastego wieku"[6]. Nawet dzieła Woltera, najbardziej energicznego krytyka obskurantyzmu religijnego i osiemnastowiecznej nietolerancji, nie należały najprawdopodobniej do ulubionych lektur Lovecrafta, chociaż bez wątpienia spodobałby mu się nadzwyczajny talent, z jakim ten francuski filozof atakował „niegodziwości" Kościoła.

Ateizm Lovecrafta, podobnie jak innych mu współczesnych, miał swoje źródła w niezwykłej konwergencji postępu naukowego, który w dziewiętnastym wieku systematycznie niszczył wiele wcześniej niepodważalnych fundamentów myśli religijnej. Zarówno nauki ścisłe, takie jak astrofizyka, chemia czy biologia, jak i nauki społeczne, z historią i przede

[3] H. P. Lovecraft, *Selected Letters*, dz. cyt., t. 1, s. 110-11.

[4] H. P. Lovecraft, *Wyznanie niewiary*, w: tegoż, *Koszmary i fantazje. Listy i eseje*, przekł. M. Kopacz, Kraków 2013, s. 236.

[5] Tamże, s. 237

[6] H. P. Lovecraft, *Selected Letters*, dz. cyt., t. 3, s. 146.

wszystkim, antropologią na czele, przedstawiały w ramach swoich badań realistyczne wyjaśnienia dla zjawisk, które wcześniej uważano za dzieło bóstwa. Badania antropologiczne właściwie uwieńczyły ten proces, ponieważ wiarygodnie i z niezwykłą dokładnością wyjaśniały pochodzenie wierzeń religijnych. Prace takie jak *Cywilizacja pierwotna* Edwarda Burnetta Taylora (1871) i *Złota gałąź* Jamesa George'a Frazera (1890–1915) wniosły dużo wiedzy empirycznej do mocno teoretycznych rozważań, które można znaleźć w *Naturalnej historii religii* Davida Hume'a (1757) i innych pracach (sam Lovecraft mógł nie znać hermetycznego dzieła Taylora, ale bez wątpienia czytał *Myth and Myth-Makers* [1871] Johna Fiske, pracę, która popularyzowała nowożytną antropologię).

Oczywiście Lovecraft był dobrze obeznany w naukach ścisłych, a fascynacja darwinowską ewolucją oraz pracami czołowych zwolenników Darwina, Thomasa Henry'ego Huxleya i Ernsta Haeckela leżała u podstaw jego krytycznego stosunku do religii. Powołując się na teorię Darwina, odrzucał koncepcję nieśmiertelności duszy; jak inteligentnie zauważył: „Można zapytać […] w jaki sposób ewoluującemu organizmowi poczęło przybywać tej «duszy», kiedy przekraczał granicę dzielącą stadium wysoko rozwiniętej małpy od stadium prymitywnego człowieka?”[7]. Na podstawie swojej znajomości chemii i biologii wysnuł (trafny) wniosek, że pewnego dnia życie będzie tworzone w laboratoriach (jak to faktycznie miało miejsce w latach 50. XX wieku), co obali religijne dogmaty, zgodnie z którymi życie i świadomość są darami pochodzącymi od Boga.

Astrofizyka sprawiała Lovecraftowi duże trudności przede wszystkim dlatego, że jego amatorskie wykształcenie nie pozwalało mu na zrozumienie niektórych z bardziej zawiłych teorii wysuwanych na początku dwudziestego wieku. Lovecraft wcześnie zaczął nazywać siebie „mechanistycznym materialistą” wierzącym, że wszechświat jest mechanizmem (czyli rządzą nim niezmienne prawa) stworzonym z materii (co oznacza, że „dusza” czy „duch” nie mają prawa bytu i w istocie rzeczy nie istnieją). W jednym ze swoich listów wykazuje się doskonałym zrozumieniem implikacji wynikających z przyjęcia postawy deterministycznej, które odróżniają ją od błędów logicznych postawy fatalistycznej:

> Determinizm – który nazywasz Przeznaczeniem – nieubłagalnie rządzi, chociaż nie do końca w taki sposób, jaki wydajesz się sobie wyobrażać. Nie mamy żadnego określonego przeznaczenia, z którym moglibyśmy walczyć, gdyż walka ta byłaby w takim samym stopniu częścią przeznaczenia, jak jej zakończenie. Faktem jest po prostu to, że każde wydarzenie, jakie zachodzi w kosmosie, jest spowodowane przez otaczające nas siły, tak więc wszystko, co czynimy, czynimy nieświadomie w wyniku działania sił Natury, a nie z własnej woli. Jeśli dane działanie koresponduje z naszymi intencjami, to zostały one stworzone przez Naturę i to ona zadbała o to, by się one spełniły. Gdy zauważamy łańcuch wydarzeń prowadzący do jakiegoś niesamowitego punktu kulminacyjnego mówimy, że to „Los”. To jednak nie jest tak, jak nam się wydaje, gdyż

[7] H. P. Lovecraft, *W obronie Dagona*, w: tegoż, *Koszmary i fantazje. Listy i eseje*, s. 303.

wszystkie te wydarzenia mogły być zwodnicze, a jakiś nieoczekiwany i skryty przed naszym wzrokiem element mógłby całkowicie zmienić nasze postrzeganie sytuacji. Ten łańcuch pozorów jest tak samo częścią losu, jak i sam rezultat, jakikolwiek by on nie był[8].

Mechanistyczny materializm mógł być oczywiście podważony na dwóch frontach: przez teorię względności Einsteina (zgodnie z którą materia i energia są wymienne) oraz teorię kwantów Maxa Plancka (która, jak uważano, zniszczyła doszczętnie zasadę przyczynowości). Pierwsza zetknięcie z teorią Einsteina było dla Lovecrafta niemal traumatyczne. w 1932 roku, gdy obserwacje słońca spowodowały, iż teoria ta jawiła się jako niemal niemożliwa do obalenia, Lovecraft zareagował w następujący sposób:

Mój cynizm i sceptycyzm są coraz większe, i to z zupełnie nowego powodu – teorii Einsteina. Ostatnie obserwacje zaćmienia słońca pokazują, że jest ona faktem, którego nie można odrzucać, tym samym usuwając najprawdopodobniej ostatni wpływ, jakie rzeczywistość czy wszechświat mogą mieć na niezależny umysł. Wszystko jest zbiegiem okoliczności, przypadkiem i przemijającą iluzją – mucha może być większa niż Arktur, a Durfee Hill przewyższać Mount Everest – zakładając, że zostaną one przeniesione z tej planety i umieszczone w innym kontinuum czasoprzestrzennym. W całym tym bezkresie nie ma żadnych wartości – sam pomysł, że mogłoby być, jest największą z drwin. Wszystko w kosmosie jest tylko żartem i tak też powinno być tylko traktowane, a jedna rzecz jest tak samo prawdziwa jak każda inna. Wierzę we wszystko i w nic – bo wszystko jest chaosem, zawsze nim było i zawsze będzie[9].

Analizowanie licznych błędów zawartych w powyższych stwierdzeniach, a w szczególności impulsywnego przyjęcia przez Lovecrafta postawy moralnego nihilizmu, jest bezcelowe. Warto podkreślić, że sześć lat po napisaniu powyższej zacytowanego listu Lovecraft pogodził się z ideą relatywizmu i uznał, że nie stanowi ona zagrożenia dla materializmu (oraz, co za tym idzie, dla jego bezustannych ataków na koncepcję „duszy" lub „ducha"), wręcz jest ona jego sojusznikiem. W liście z 1929 roku ostrzega korespondenta, żeby nie dał się zwieść ludziom, którzy przekręcają teorię Einsteina – a było ich wielu, zarówno między naukowcami, jak i literatami – by podtrzymać przestarzałe poglądy dotyczące Boga i duszy. Lovecraft konkluduje:

Materia, jak się dowiadujemy, jest określonym fenomenem zapoczątkowanym dzięki pewnym modyfikacjom energii; ale czy to sprawia, że jest ona czymś mało dystynktywnym, albo uprawia nas do zakładania, że istnieje jakiś inny rodzaj zmodyfikowanej energii w miejscach, w których nie można odnaleźć żadnego śladu tej energii? To śmieszne! To prawda, że odkrycie, że materia i energia są tym samym i w konsekwencji nie różni się ona od pustki jest śmiertelnym ciosem zadanym prymitywnemu i nieodpowiedzialnemu mitowi „ducha". Bo materia, jak się okazuje, jest w rzeczywistości dokładnie tym, czym „duch" wydawał się być. Tak więc udowodnione jest, że wędrująca energia zawsze ma jakąś możliwą do wykrycia formę – że jeśli nie przyjmie ona kształtu fal lub strumienia elektronów, staje się ona samą materią; i że brak materii czy jakiejkolwiek innej możliwej do wykrycia formy energii wskazuje nie na obecność ducha, ale brak czegokolwiek[10].

[8] Tegoż, *Selected Letters*, dz. cyt., t. 1, s. 132.

[9] Tamże, s. 231.

[10] H. P. Lovecraft, *Selected Letters*, dz. cyt., t. 2, s. 266-67.

Bez względu na to, czy astrofizyk uznałby tę konkluzję za słuszną, przyznać trzeba, że jest to zręczne rozwiązanie problemu.

Teoria kwantowa sprawiała Lovecraftowi wiele trudności. W liście z 1930 roku utrzymywał:

> Jak uważa większość fizyków, teoria kwantowa oznacza obecnie *nie to, że istnieje jakakolwiek kosmiczna niepewność* co do tego, którą z kilku możliwych ścieżek obierze dana reakcja, lecz to, że w pewnych sytuacjach nie można wyobrazić sobie żadnego kanału informacyjnego mogącego powiedzieć ludziom, która ze ścieżek zostanie obrana, albo jak powstał pewien określony rezultat"[11].

Lovecraft chce wierzyć, że „niepewność" teorii kwantowej ma naturę epistemologiczną, a nie ontologiczną. Konkluzja ta jest najwyraźniej fałszywa, ponieważ „niepewność" naprawdę istnieje – na poziomie subatomowym. Jednak nie ulega wątpliwości, że zjawiska na poziomie makroatomowym mają przede wszystkim materialistyczny i deterministyczny wymiar, tak więc materializm Lovecrafta – w historycznym znaczeniu tego słowa – pozostaje w dużej mierze nienaruszony.

Lovecraft bezlitośnie krytykował myślicieli gmatwających się we własnych poglądach i używających teorii względności, kwantów oraz innych osiągnięć naukowych do wskrzeszania idei religijnych, których nieprawdziwość została już dawno udowodniona. Jak sam pisze:

> […] nowy mistycyzm, czy też – jeśli kto woli – swoisty gatunek neo-metafizyki ukazuje niepewność najnowszej nauki – odkryć Einsteina, teorii kwantowej oraz ekwiwalencji materii i energii. Chociaż te nowe gałęzie wiedzy nie odnoszą się bezpośrednio do mitów o powszechnej kosmicznej świadomości i teleologii istnienia, to nowe, zdesperowane i przerażone pokolenie wzrasta na gruncie zasianego przez nie zwątpienia w zasadność wszelkiej pozytywnej wiedzy. Prostą konkluzją jest bowiem to, że skoro nic nie jest prawdą, to równie dobrze wszystko może nią być, cokolwiek miałoby to oznaczać. Ten chory, dekadencki neo-mistycyzm – opowiadający się nie tylko przeciwko mechanistycznemu materializmowi ale również przeciw destrukcyjnemu wpływowi czystej nauki na godność człowieka, jego emocjonalność i osobowość – będzie dominującym nurtem w dwudziestowiecznej estetyce, jak trafnie przewidział to Eliot i Huxley[12].

Warto zauważyć, że Lovecraft nie wydawał się ani szczególnie zainteresowany, ani w ogóle świadomy istnienia innego ważnego nurtu, który surowo poddawał wątpliwości nieomylność Biblii – szkoły krytyki biblijnej nazywanej wyższą krytyką, która wyłoniła się pod koniec osiemnastego wieku w Niemczech i została spopularyzowana w wielu ważnych książkach, takich jak *Żywot Jezusa* Ernesta Renana (1864). Szkoła ta systematycznie badała genezę i pochodzenie Biblii, ustalając ponad wszelką wątpliwość, że była ona tworzona przez dłuższy okres czasu – obejmujący być może nawet tysiąc lat – i zgromadzona w całość w sposób, którego nie można określić inaczej jak chaotyczny. Prace szkoły wyż-

[11] Tegoż, *Selected Letters*, t. 3, s. 228.

[12] Za: S.T. Joshi, *An Epicure in the Terrible: A Centennial Anthology of Essays in Honor of H. P. Lovecraft* [fragment wstępu], online, http://www.unreal-fantasy.pl/download/cielecki.pdf [dostęp: 30.12.2016].

szej krytyki zdetronizowały koncepcję Biblii jako dzieła zainspirowanego i podyktowanego przez Boga, zwłaszcza, gdy komentatorzy zauważyli, iż zawiera ona wiele barbarzyńskich elementów, takich jak kara śmierci dla czarownic (Wj 22,18), homoseksualistów (Kpł 20,13) i ludzi nie przestrzegających szabatu (Wj 31,15), czy zasadę, że żona należy do męża (Wj 20,10) – wszystkie te zapisy nie mogły pasować do nowoczesnego społeczeństwa.

Lovecraft, jak uważam, nie przywiązywał wielkiej wagi do tych prac prawdopodobnie dlatego, że nie mógł uwierzyć, jak ktokolwiek o zdrowych zmysłach może sądzić, iż treść Biblii jest stenograficznym zapisem słów Boga. Baptystyczna tradycja, w której się wychował, podkreślała, że Biblia jest rodzajem przewodnika pokazującego zasady moralnego postępowania, jednak nawet o takiej roli Lovecraft wyrażał się sceptycznie:

> Połowa tego, co mówił Budda, Chrystus albo Mahomet jest albo idiotyczna, albo wręcz destrukcyjna gdy zastosujemy ją do dwudziestowiecznego świata Zachodu; praktycznie całe emocjonalno-intelektualne zaplecze, na podstawie którego formułowali oni swoje założenia, uważa się obecnie za dziecinne i prymitywne[13].

Lovecraft traktował Biblię jak dzieło literackie i był pod duży wrażeniem stylu angielsko-irlandzkiego pisarza, Lorda Dunsany'a, który (chociaż sam był ateistą) świadomie wykorzystywał Biblię Króla Jakuba[14] jako inspirację dla swoich fantastycznych utworów. Poza tym nie przejawiał zainteresowania Biblią jako tekstem religijnym.

Lovecraft w ostatecznym rozrachunku odwoływał się do *prawdopodobieństwa* jako ostatecznej podstawy, na której budował swój ateizm. Co interesujące, samotnik z Providence uważał, że czynnikiem odróżniającym ateizm od agnostycyzmu jest właśnie prawdopodobieństwo. Według niego możliwość tego, że teizm pokazuje prawdziwą wizję świata jest tak nikła, że nazywanie siebie po prostu agnostykiem byłoby przejawem nieodpowiedzialności:

> Mogę jedynie powiedzieć, że uważam istnienie czegoś takiego jak nadrzędna kosmiczna wola, świat duchowy czy wieczne trwanie osobowości za cholernie mało prawdopodobne. Rzeczy te są najbardziej niedorzecznymi i bezpodstawnymi ze wszystkich domysłów, jakie możemy poczynić na temat wszechświata, a ja nie jestem osobą, która dzieli włos na czworo i nie zamierzam udawać, że są one czymś innym niż nic nieznaczącymi, wierutnymi bzdurami. W teorii jestem *agnostykiem*, lecz – wobec oczekiwania na pojawienie się podstawowych dowodów – ze względów praktycznych powinienem zostać tymczasowo uznany za *ateistę*[15].

Jednym z najbardziej prowokujących pytań związanych z Lovecraftem i jego stosunkiem do religii jest pozorny paradoks wynikający z faktu, że ten zdecydowanie ateistyczny

[13] Tamże, s. 47–48.

[14] Biblia Króla Jakuba (ang. *King James Bible*) to angielskie tłumaczenie Biblii przygotowane przez króla Jakuba I na potrzeby Kościoła Anglii. Wydane po raz pierwszy w 1611 roku, miało znaczący wpływ nie tylko na następne angielskie tłumaczenia Biblii, ale również na całą literaturę angielską (przyp. tłum.)

[15] H. P. Lovecraft, *Selected Letters*, dz. cyt., t. 4, s. 57.

pisarz tworzy historie wypełnione po brzegi „bogami" i ich czcicielami. Tak zwana „mitologia Cthulhu" (termin wymyślony przez Augusta Derletha[16]) zdominowała opowiadania, które Lovecraft pisał w czasie ostatniej dekady życia. Opisuje ona wszechświat zaludniony przez wszechmocnych bogów mogących zniszczyć ludzkość, gdyby ci tylko mieli na to ochotę. Jak pogodzić tę wizję z materialistycznym ateizmem, którym wypełnione są listy pisarza? Problem jest bardzo złożony, możemy jednak pokazać tutaj kilka możliwości jego rozwiązania.

Niektórzy komentatorzy twierdzili, że „źli" bogowie wymyśleni przez Lovecrafta – Cthulhu, Yog-Sothoth, Nyarlathotep, Azathoth, Shub-Niggurath i inni – są symbolami zła obecnego we wszystkich wierzeniach religijnych. Uosabiają oni bowiem to zło, które wydaje się cechą wielu bogów wymyślonych przez ludzi, łącznie z Bogiem chrześcijan. Nie do końca przekonuje mnie ta koncepcja, przede wszystkim dlatego, że „zło" cechujące „bogów" stworzonych przez Lovecrafta nie niesie ze sobą żadnego głębokiego sensu. „Bogowie" ci mają wrogi stosunek do ludzkości, ponieważ uważają, że nasze życie jest kruche i nieistotne, jednak są oni tak samo poza zasięgiem dobra i zła (jak stwierdza w *Zewie Cthulhu* Lovecraft), jak my moglibyśmy być z perspektywy mrówki. „Bogowie" stworzeni przez samotnika z Providence są w dużej mierze symbolami zagadkowości wszechświata: będąc naukowym materialistą, Lovecraft wiedział, że wszechświat zawiera nieskończony zasób tajemnic i nawet postęp naukowy nie może wiele zrobić, by go umniejszyć. Jak napisał w jednym ze swoich późnych listów: „im więcej dowiadujemy się na temat kosmosu, tym bardziej nas on zdumiewa"[17].

Koniec końców „bogowie" wymyśleni przez Lovecrafta tak naprawdę wcale nie są bogami. To prawda, że w *Zewie Cthulhu* i *Horrorze w Dunwich* wiele kultów czci Cthulhu i Yog-Sothotha. W pierwszej z książek jeden z czcicieli opowiada historię swojego pradawnego kultu:

> I stało się wówczas […], że ci pierwsi ludzie zaczęli oddawać cześć niewielkim bożkom, które pokazali im Wielcy Przedwieczni – bożkom, które w prawdawnych, mglistych czasach przybyły z nimi z ciemnych gwiazd. Ów kult nie zgnienie nigdy – będzie trwał, dopokąd gwiazdy znów nie osiągną właściwej pozycji i tajni kapłani nie wywołają wielkiego Cthulhu z grobu, a ten nie wskrzesi swych poddanych i nie obejmie znów władztwa na Ziemi. Nikt tej chwili nie przeoczy, ponieważ wszyscy staną się tacy jak Wielcy Przedwieczni, wolni i dzicy, poza dobrem i złem; odrzucą precz moralność i prawo, i będą krzyczeć, zabijać i używać z rozkoszą. Wyzwoleni Przedwieczni nauczą ich potem, jak jeszcze inaczej krzyczeć, zabijać i używać z rozkoszą, i całą ziemię rozżagwi całopalny ogień wolności i ekstazy[18].

Pytanie nasuwa się samo: czy mamy uznać ten opis za prawdziwy? Czy to prawda, że wyobrażony księgozbiór „zakazanych" książek wymyślonych przez Lovecrafta – od *Ne-*

[16] August Derleth (1909–1971) – amerykański pisarz, przyjaciel Lovecrafta, adresat wielu z jego listów. W 1939 roku założył wydawnictwo *Arkham House,* którego głównym celem było wydanie opowiadań Lovecrafta. (przyp. tłum.)

[17] H. P. Lovecraft, *Selected Letters*, dz. cyt., t. 4, s. 324.

[18] Tegoż, *Zew Cthulhu*, w: *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. Maciej Płaza, Poznań: Vesper 2012, s. 109.

cronomiconu szalonego Araba Abdula Alhazreda do *Nienazwanych kultów* von Juntza – wydaje się pisać w podobny sposób o starych bogach? Jednak w czasie lektury powieści Lovecrafta odkrywamy, że kulty te są tak beznadziejnie oszukańcze co do natury czczonych „bogów" jak większość ludzi oddających cześć Jahwe lub Allahowi. Bardzo krytyczna wypowiedź zawarta jest w krótkiej powieści *W górach szaleństwa* (1931), w której odkrywcy przemierzający wcześniej nieznane tereny Antarktyki znajdują olbrzymie, kamienne miasto ewidentnie zbudowane przez istoty pozaziemskie pochodzące z najodleglejszych głębin wszechświata:

> Otóż i Istoty, które w czasach dinozaurów wybudowały i zamieszkiwały te przerażające gmachy, bynajmniej nie były dinozaurami. Były czymś o wiele gorszym. Zwykły dinozaur był tworem Natury stosunkowo nowym i niemal bezrozumnym – natomiast budowniczowie miasta byli mądrzy i starzy, ich ślady odciśnięte były w skałach, które już u zarania miasta liczyły sobie bez mała miliard lat… skałach pochodzących z czasów, gdy prawdziwe ziemskie życie nie wybiło się jeszcze nad poziom komórkowych zlepów… z czasów, gdy prawdziwe ziemskie życie jeszcze zgoła nie istniało! Oni, właśnie oni to życie stworzyli i ujarzmili, właśnie o nich opowiadają upiorne stare mity, o których z trwogą wspomina się w *Necronomiconie*, Rękopisach Pnakotycznych i innych tego typu źródłach[19].

A więc historie o „bogach" opisane w *Necronomiconie* zostały zredukowane do „mitów"! „Bogowie" są jedynie przybyszami z kosmosu. Wydaje się, że Lovecraft zakładał to od samego początku, gdyż nawet w *Zewie Cthulhu*, rozpoczynającym jego mitologię, Cthulhu i jego potomstwo to po prostu istoty pozaziemskie, które przybyły z jakiejś nieskończenie odległej galaktyki na Ziemię, gdzie są wbrew swojej woli uwięzione w podwodnym mieście R'lyeh gdzieś w odmętach Pacyfiku. w tym opowiadaniu Cthulhu i R'lyeh powstają, ale nie dzięki pomyślnemu układowi gwiazd czy czynnościom podjętym przez ich wyznawców, lecz dzięki zwykłemu przypadkowi (trzęsieniu ziemi), po czym na skutek działania podobnego przypadku ponownie zanurzają się w odmętach oceanu.

Charakterystycznym elementem twórczości Lovecrafta jest jej „kosmiczna" właściwość, sugerowana przez nią nieskończoność czasu i kosmosu oraz, co za tym idzie, błahość ludzkiego życia. Jest to coś, co Lovecraft potrafił przekazać w silniejszy i bardziej przejmujący sposób niż jakikolwiek inny pisarz. Między innymi to właśnie sprawiło, że twórczość Lovecrafta zyskała status kanonicznej. Powinniśmy sobie jednak uzmysłowić, że ta „kosmiczna wizja" jest ściśle powiązana z metafizycznymi i, przede wszystkim, ateistycznymi poglądami samotnika z Providence. W świecie Lovecrafta ludzkość jest rzeczywiście sama we wszechświecie. Podczas gdy celem większości religii jest, jak napisał John Milton, „wyłożyć ludziom sprawy Boże"[20], anty-mitologia Lovecrafta, jak trafnie ją określono[21], zakłada, że istoty ludzkie nie mają możliwości zwrócenia się do żadnej siły

[19] Tegoż, *W górach szaleństwa*, w: tamże, s. 516-517.

[20] J. Milton, *Raj utracony*, przekł. M. Słomczyński, Kraków-Wrocław 1986, wers 31.

[21] Zob. D.E. Schultz, *From Microcosm to Macrocosm: The Growth of Lovecraft's Cosmic Vision*, w: *An Epicure in the Terrible: A Centennial Anthology of Essays in Honor of H. P. Lovecraft,* red. D.E. Schultz, S.T. Joshi, New York 1991, s. 222.

wyższej, jeśli staną przed zagrożeniem dla swojego kruchego istnienia. Z punktu widzenia kosmosu przed chwilą w ogóle nas nie było, a wkrótce wszechświat zapomni o tym, że istnieliśmy.

Jest to, nie ukrywajmy, ponura wizja. Jednak poetycka proza, którą Lovecraft posługuje się w swoich opowiadaniach, przydaje jej dziwnego i porywającego piękna. W nie mniej dojmujący sposób żywiołowość, energia, a czasami i satyryczny zapał, z jakimi Lovecraft mierzy się z religią i ateizmem w swoich listach oraz esejach, odkrywają przed nami umysłowość borykającą się z kluczowymi pytaniami egzystencjalnymi, tworząc przekonującą, skierowaną ku przyszłości filozofię pozbawioną staromodnych wierzeń religijnych i odważnie stawiającą czoła wszechświatu, w którym ludzkość jest naprawdę pozostawiona sama sobie. Chociaż Lovecraft wiedział, jak pocieszające mogą być mity wywodzące się z religii, był on przygotowany na to, by kontemplować wszechświat bez ideologicznych klapek na oczach.

Przełożyła Magdalena Wąsowicz

Bibliografia

Joshi, S.T., *Lovecraft and Religion*, w: tegoż: *Lovecraft and a World in Transition: Collected Essays on H. P. Lovecraft*, New York: Hippocampus Press 2014, s. 187-195.

Lovecraft, H. P., *Selected Letters*, t. 1-3, Sauk City: Arkham House 1965-76.

Lovecraft, H. P., *Wyznanie niewiary*, w: tegoż, *Koszmary i fantazje. Listy i eseje*, przekł. M. Kopacz, Kraków: SQN 2013.

Lovecraft, H. P., w *obronie Dagona*, w: tegoż, *Koszmary i fantazje. Listy i eseje*, przekł. M. Kopacz, Kraków: SQN 2013.

Joshi, S.T., *An Epicure in the Terrible: a Centennial Anthology of Essays in Honor of H. P. Lovecraft* [fragment wstępu], online, http://www.unreal-fantasy.pl/download/cielecki.pdf [dostęp: 30.12.2016].

Lovecraft, H. P., *Zew Cthulhu*, w: *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. Maciej Płaza, Poznań: Vesper 2012.

Lovecraft, H. P., w *górach szaleństwa*, w: *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. Maciej Płaza, Poznań: Vesper 2012.

Milton, J., *Raj utracony*, przekł. M. Słomczyński, Kraków-Wrocław: Ossolineum 1986.

Schultz, D.E., *From Microcosm to Macrocosm: The Growth of Lovecraft's Cosmic Vision*, w: *An Epicure in the Terrible: a Centennial Anthology of Essays in Honor of H. P. Lovecraft,* red. D.E. Schultz, S.T. Joshi, Rutherford: Fairleigh Dickinson University Press 1991.

Cthulhu dla dzieci. Nawiązania do twórczości H. P. Lovecrafta w serii Johna Bellairsa i Brada Stricklanda o Luisie Barnavelcie

Maciej Skowera

Abstract

The article *Cthulhu for Children. References to H. P. Lovecraft's Works in John Bellairs and Brad Strickland's Lewis Barnavelt Series* discusses references to H. P. Lovecraft's works in John Bellairs and Brad Strickland's children's horror novels about Lewis Barnavelt. Contemporary "children's-like" books which make use of the Cthulhu Mythos are presented, as well as basic information about the series and relations between Bellairs and Lovecraft, which provide the foundation for an intertextual dialogue with the gentleman from Providence's prose in the considered novels. Not only do the *Lewis Barnavelt* books, *The Beast Under the Wizard's Bridge* in particular, utilize horror, but also ridicule it on the basis derived from the "great subversive play". Therefore, carnivalesque world, in which 'weak' children defeat a Great Old One, contrasts with the universe known from Lovecraft's writings, where humans, overwhelmed by the incomprehensibility and vastness of the cosmic power, are deprived of any hope.

Maciej Skowera — mgr; doktorant w Zakładzie Literatury Popularnej, Dziecięcej i Młodzieżowej w Instytucie Literatury Polskiej UW, absolwent kulturoznawstwa w Instytucie Kultury Polskiej UW, członek Polskiej Sekcji IBBY i IRSCL. Publikował m.in. w „Creatio Fantastica", „Kontekstach Kultury", „Masce", „Tekstualiach" i tomach zbiorowych. Współautor (obok Weroniki Kosteckiej) książki *W kręgu baśni i fantastyki. Studia o literaturze dziecięcej i młodzieżowej* (2017) oraz współredaktor kilku monografii. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą stategii udoroślania klasycznej literatury dziecięcej w prozie przełomu XX i XXI w. Kontakt: *mgskowera@gmail.com*

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 19-37.

Lovecraft i literatura dziecięca

Mroczna twórczość Howarda Phillipsa Lovecrafta jest żywo obecna w kulturze popularnej jako przedmiot intertekstualnych odniesień – mitologię Cthulhu i postać jej twórcy ukazuje się w przeróżnych konfiguracjach nie tylko na kartach utworów literackich oraz komiksów, lecz także w sztukach wizualnych, muzyce, filmach kinowych, programach telewizyjnych czy opowieściach transmedialnych[22]. Mogłoby się natomiast wydawać, że dzieł dżentelmena z Providence nijak nie da się powiązać ze światem literatury dziecięcej. Tymczasem hasło *Horror* w *The Oxford Companion to Children's Literature* przynosi dość zaskakującą informację, że w ramach piśmiennictwa dla niedorosłych „istnieją liczne adaptacje i przeróbki tekstów przeznaczonych dla starszych odbiorców, np. autorstwa H. P. Lovecrafta […]"[23].

Wystarczy rzucić okiem na tytuły pojawiające się współcześnie na anglosaskim rynku wydawniczym, by wstępnie zgodzić się z przytoczonym stwierdzeniem. Najczęstsze są „udziecinnione", ilustrowane adaptacje oryginałów[24], nierzadko przyjmujące postać wariacji na temat znanych dzieł[25], ale pojawiają się też książki służące nauce alfabetu[26], a nawet kolorowanki[27]. Po dokładniejszym przyjrzeniu się tym publikacjom nietrudno jednak dojść do wniosku, że to raczej – mniej lub bardziej udane – parodie zarówno określonych utworów czy całych gatunków twórczości dziecięcej, jak i tekstów samego Lovecrafta; parodie skierowane w pierwszym rzędzie do dorosłych. Ciekawsze wydają się rzeczywiste dzieła literatury dziecięcej odwołujące się do prozy tego pisarza – choćby powieści Charlesa Gilmana o Gimnazjum Lovecrafta [Lovecraft Middle School][28] czy utwór *Billy Lovecraft Saves the World*[29], napisany rzekomo przez tytułowego Billy'go – dwunastolatka przewodzącego Brygadzie Detektywistycznej Cthulhu [Cthulhu Detective

[22] Zob. Carl H. Sederholm, Jeffrey Andrew Weinstock, *Introduction: Lovecraft Rising*, w: *The Age of Lovecraft*, red. tychże, wstęp R. Campbell, posł. [wywiad z:] Ch. Miéville, Minneapolis–London: University of Minnesota Press 2016, s. 8–23.

[23] Przekład własny za: „There are multiple adaptations and reworkings of texts intended for and older audience, e.g. H. P. Lovecraft […]". Daniel Hahn, *Horror*, w: *The Oxford Companion to Children's Literature*, wstęp M. Morpurgo, Oxford: Oxford University Press 2015, s. 290.

[24] Zob. np. Tro Rex, Eyona Bella, *The Call of Cthulhu*, Redmond: Esoteric Order of Publishing 2013 (i dalsze tomy serii *Littlest Lovecraft*).

[25] Zob. np. Kenneth Hite, *Where the Deep Ones Are*, Saint Paul: Atlas Books 2009; tegoż, *The Antarctic Express*, Saint Paul: Atlas Books 2009; tegoż, *Cliffourd the Big Red God*, Saint Paul: Atlas Books 2011. Zilustrowane przez Andy'ego Hoppa i Christinę Rodriguez książki tworzą serię wydawniczą *Mini Mythos*. Nawiązują one do popularnych utworów Maurice'a Sendaka (zob. tegoż, *Where the Wild Things Are*, New York: Harper & Row 1963), Normana Bridwella (zob. tegoż, *Clifford the Big Red Dog*, New York: Scholastic 1963) oraz Chrisa Van Allsburga (zob. tegoż, *The Polar Express*, Boston: Houghton Mifflin 1985). Do słynnej książki Erica Carle'a (zob. tegoż, *The Very Hungry Caterpillar*, New York: Putnam & Grosset 1969) odwołuje się zaś praca Bena Munda (zob. tegoż, *The Very Hungry Cthulhupillar*, Roswell: Signal Fire Studios 2015).

[26] Zob. np. Jason Ciaramella, *C is for Cthulhu: The Lovecraft Alphabet Book*, Newburyport: ComixTribe 2014. Książkę zilustrował Greg Murphy.

[27] Zob. np. Phil Velikan, *Cthulhu's Coloring Book and Necronomicon of Sunny Day Doings*, Brownsburg: VIG Publishing 2015.

[28] Zob. Charles Gilman, *Professor Gorgoyle*, Quirk Books: Philadelphia 2012 (i dalsze tomy serii *Tales from Lovecraft Middle School*).

[29] Zob. Billy Lovecraft, *Billy Lovecraft Saves the World*, Reston: Curiosity Quill Pres 2014. Do zabiegów służących uwiarygodnieniu dwunastoletniego Billy'ego jako autora utworu należy prowadzenie pod jego nazwiskiem profili na popularnych portalach internetowych, takich jak Twitter czy Tumblr.

Squad]. Warto dodać, że nawiązania do mitologii stworzonej przez amerykańskiego autora są tylko jedną z części składowych tych tekstów, splecioną z elementami narracji szkolnych czy detektywistycznych.

Wspomniane utwory nie zostały dotychczas przetłumaczone na język polski. Niniejszy artykuł dotyczy natomiast jedynych (do niedawna[30]) wydanych na naszym rynku wydawniczym tekstów dla niedorosłych odbiorców, które odwołują się do twórczości Lovecrafta: dziecięcych powieści grozy[31] wchodzących w skład serii o Luisie Barnavelcie[32], zapoczątkowanej w 1973 roku przez Johna Bellairsa[33]. Przed swoją śmiercią w 1991 roku wspomniany twórca opublikował trzy utwory zaliczające się do tego cyklu. Dzieło kontynuował Brad Strickland, który na podstawie manuskryptów i notatek pozostawionych przez poprzednika ukończył trzy powieści, a następnie napisał jeszcze sześć dalszych części serii[34]. Dotychczas zatem ukazało się łącznie dwanaście tomów przygód Luisa, przy czym na język polski przełożono osiem z nich[35].

Celem artykułu jest zaprezentowanie i omówienie nawiązań do prozy twórcy z Providence, które pojawiają się w powieściach o Lusie Barnavelcie – zarówno tych autorstwa Bellairsa, jak i tych dokończonych lub napisanych w całości przez Stricklanda. Szczegółowemu namysłowi będzie poddany tom *Potwór Dzikiego Strumienia*, w najwyraźniejszy i najbardziej rozbudowany sposób wykorzystujący Lovecraftowskie motywy i wątki.

[30] W grudniu 2016 ukazał się zilustrowany przez Jacka Frąsia utwór Macieja Jasińskiego *Jak wytresować Cthulhu*, otwierający serię *Magia dla początkujących*, pierwszy rodzimy utwór dziecięcy wykorzystujący elementy mitologii Cthulhu (zob. M. Jasiński, *Jak wytresować Cthulhu*, Warszawa: Wydawnictwo TADAM 2016). W trakcie pracy nad niniejszym artykułem książka nie była jeszcze dostępna na rynku, w związku z czym niemożliwe było jej szczegółowe omówienie.

[31] Określenie „dziecięca powieść grozy" proponuje Katarzyna Slany. Utwory tego rodzaju, według badaczki, wykorzystują „[…] obce literaturze czwartej rekwizytorium motywów, tematów, postaci, schematów fabularnych, wyniesionych z tradycji literatury grozy". Katarzyna Slany, *Groza w literaturze dziecięcej. Od Grimmów do Gaimana*, Kraków: Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego 2016, s. 201.

[32] W anglojęzycznym oryginale imię i nazwisko bohatera jest zapisywane jako *Lewis Barnavelt*.

[33] Zob. *About John Bellairs*, w: *Bellairsia*, http://bellairsia.blogspot.com/p/about-john-bellairs.html [dostęp: 16 sierpnia 2016]. John Bellairs był także autorem samodzielnych tekstów i dwóch innych dziecięcych serii powieściowych – mówiących o Anthonym Mondayu i Johnnym Dixonie. Trzy początkowe tomy drugiego z tych cyklów ukazały się w języku polskim.

[34] Zob. *Brad Strickland*, w: *Bellairsia*, http://www.bellairsia.com/strickland/index.html [dostęp: 14 sierpnia 2016]. Strickland kontynuował także serię o Johnnym Dixonie – ukończył jeden tom rozpoczęty przez Bellairsa i napisał trzy kolejne części; wraz z ośmioma oryginalnymi utworami cykl składa się z dwunastu powieści. Zob. tamże.

[35] W języku polskim ukazały się następujące utwory o Luisie Barnavelcie: John Bellairs, *Luis Barnavelt i zegar czarnoksiężnika*, przekł. M. Mazan, Warszawa: Amber 2000 (*The House with a Clock in Its Walls*, New York: Dial Press 1973); John Bellairs, *Luis Barnavelt i mroczny cień*, przekł. M. Pogoda, Warszawa: Amber 2000 (*The Figure in the Shadows*, New York: Dial Press 1975); John Bellairs, *Luis Barnavelt, list, pierścień i czarodziejka*, przekł. A. Czajkowska, Warszawa: Amber 2001 (*The Letter, the Witch, and the Ring*, New York: Dial Press 1976); John Bellairs, *Luis Barnavelt i duch w lustrze*, przekł. A. Czajkowska, Warszawa: Amber 2001 (*The Ghost in the Mirror*, New York: Dial Books for Young Readers 1993); John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i pogromca czarownic*, przekł. M. Mazan, Warszawa: Amber 2001 (*The Vengeance of the Witch-Finder*, New York: Dial Books for Young Readers 1993); John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i upiór w operze*, przekł. M. Pogoda, Warszawa: Amber 2001 (*The Doom in the Haunted Opera*, New York: Dial Books for Young Readers 1995); John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i widmo z Muzeum Magii*, przekł. G. Jagielska, Warszawa: Amber 2001 (*The Specter from the Magician's Museum*, New York: Dial Books for Young Readers 1998); John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, przekł. M. Mazan, Warszawa: Amber 2001 (*The Beast Under the Wizard's Bridge*, New York: Dial Books for Young Readers 2000). Tomy nieprzetłumaczone dotychczas na język polski to: Brad Strickland, *The Tower at the End of the World*, New York: Dial Books for Young Readers 2001; tegoż, *The Whistle, the Grave, and the Ghost*, New York: Dial Books for Young Readers 2003; tegoż, *The House Where Nobody Lived*, New York: Dial Books for Young Readers 2006; tegoż, *The Sign of the Sinister Sorcerer*, New York: Dial Books for Young Readers 2008. Należy w tym miejscu wyjaśnić kilka kwestii dotyczących autorstwa poszczególnych utworów: (1) choć Strickland ukończył tom *Duch w lustrze*, to w obu wersjach językowych jako autor figuruje wyłącznie Bellairs; (2) w wydaniu polskim jako autorzy *Pogromcy czarownic* i *Upiora w operze* wskazani zostają i Bellairs, i Strickland, zaś w oryginale pojawia się nazwisko pierwszego z nich opatrzone formułą „completed by Brad Strickland"; (3) *Widmo z Muzeum Magii* oraz *Potwór Dzikiego Strumienia* zostały napisane w całości przez Stricklanda, jednak polski wydawca wymienia jako autora także Bellairsa, zaś w oryginałach do tytułów dodano frazę „John Bellairs's Lewis Barnavelt in..."; podobnie postąpiono także w przypadku tych części serii, które nie ukazały się w Polsce.

W pierwszej kolejności zostaną jednak przedstawione podstawowe informacje na temat cyklu oraz związki między Bellairsem i Lovecraftem, dające początek intertekstualnemu dialogowi z mitologią Cthulhu prowadzonemu w rozważanych powieściach[36].

Luis Barnavelt i... – kilka słów o serii

Kiedy pojawiały się polskie tłumaczenia kolejnych tomów serii J. K. Rowling o Harrym Potterze, imię i nazwisko dorastającego czarodzieja zaczęto wykorzystywać jako swoiste „zaklęcie marketingowe"[37]. Miało ono przyciągnąć młodych odbiorców do książek, w których – jak pisze Michał Zając – „troszeczkę chociaż magii błyśnie"[38]. Mariusz Czubaj dodaje, że rodzimi wydawcy przypomnieli sobie wówczas „o innych postaciach, które jakkolwiek są podobne do sympatycznego [...] okularnika. Bo przecież Harry to nie pierwsza sierota [...] która żyje w otoczeniu rozmaitych czarnoksiężników i magicznej mocy, a na dodatek musi zmierzyć się z czyhającym wszędzie złem"[39]. Czubaj wymienia w tym kontekście między innymi Luisa Barnavelta – określa owego bohatera mianem „klasycznego przeciętniaka, który znajduje się w nieprzeciętnych sytuacjach"[40].

Lektura cyklu, który w Polsce reklamowało hasło „Dla fanów Harry'ego Pottera", pozwala w pełni zgodzić się z ta opinią. Protagonista to otyły, nieśmiały i niezdarny dziesięciolatek, który kocha książki. Po śmierci rodziców przybywa on do Nowego Zebedeusza w stanie Michigan, aby zamieszkać w ogromnej, tajemniczej posiadłości swego ekscentrycznego wuja, Jonatana. Okazuje się, że mężczyzna jest dobrym czarodziejem, podobnie zresztą, jak jego sąsiadka i przyjaciółka, podstarzała pani Zimmerman. W miasteczku na Luisa, poza docinkami ze strony silniejszych chłopców, czeka mnóstwo niebezpiecznych wyzwań, zazwyczaj sprowadzających się do ratowania świata przed zagładą wraz z poznaną pod koniec *Zegara czarnoksiężnika* wysportowaną, zadziorną, nienawidzącą spódnic Ritą (stającą się pełnoprawną bohaterką cyklu, którego niektóre części skupiają się głównie na losach dziewczynki). Wszystko rozgrywa się w scenerii amerykańskiej prowincji z lat pięćdziesiątych XX wieku.

[36] W niniejszym artykule nie ma miejsca na szczegółową analizę utworów samego Lovecrafta, w tym na rozpatrzenie zagadnień związanych z ich poetyką. Na gruncie polskim te tematy podjęto między innymi w: Marek Wydmuch, *Gra ze strachem. Fantastyka grozy*, Warszawa: Czytelnik 1975; Daniel Misterek, *Tam, gdzie czyha Cthulhu. O przestrzeni naznaczonej w prozie H. P. Lovecrafta*, Gdańsk: Gdański Klub Fantastyki 1999; Mikołaj Kołyszko, *Groza jest święta. Mitologia literacka Howarda Phillipsa Lovecrafta i jej analiza dokonana antropologiczną metodą Claude'a Levi-Straussa*, Chojnice: Wydawnictwo Wielokrotnego Wyboru 2014; Tomasz Niezgoda, *Bycie-w-prawdzie jako bycie-wobec-nicości w prozie Howarda Phillipsa Lovecrafta i Thomasa Ligottiego*, w: *Światy grozy*, red. Ksenia Olkusz, Kraków: Ośrodek Badawczy Facta Ficta 2016; Karolina Kwaśna, *A jeśli to wszystko jest prawdziwe... Źródła wstrętu i odrazy w monstrualnych kreacjach w twórczości Howarda Phillipsa Lovecrafta*, w: *Światy grozy*, dz. cyt.

[37] Michał Zając, *Polski rynek książki dla dzieci i młodzieży. Era Pottera i czas zmian*, „Świat Książki Dziecięcej", dodatek do „Poradnika Bibliotekarza" 2008, nr 9, s. 1.

[38] Tamże.

[39] Mariusz Czubaj, *Rodzeństwo Harry'ego Pottera*, „Polityka" 2003, nr 2382, s. 80.

[40] Tamże.

Utwory o Luisie oraz Ricie, popularne i wychwalane przez amerykańskich recenzentów[41], są uznawane za dzieła kluczowe w rozwoju dziecięcej literatury grozy[42]. Tymczasem w Polsce nie zyskały one zbyt dużej popularności. Choć na okładkach kolejnych tomów umieszczono przywołaną wyżej formułę, sugerującą związki z utworami J. K. Rowling, nietrudno dojść do wniosku, że było to przede wszystkim wspomniane już „zaklęcie marketingowe"[43]. Miało ono najpewniej odwrócić uwagę od faktu, że utwory Bellairsa i Stricklanda wydano w Polsce w sposób rozczarowujący: na słabym papierze i w przekładach wielu różnych tłumaczek, w fatalnej szacie graficznej, a niektóre nawet z niemającymi nic wspólnego z treścią tych tekstów grafikami na okładkach zamiast klimatycznych ilustracji autorstwa między innymi Edwarda Goreya, ozdabiających oryginalne edycje.

Mimo że da się odnaleźć podobieństwa między seriami o Barnavelcie i Potterze, to wydaje się, że w obu przypadkach po prostu wykorzystano popularne, a miejscami wręcz archetypowe motywy literatury dziecięcej (sieroctwo, obecność niezwykłych opiekunów, walka dobra ze złem, triumf słabego dziecka nad potężnym dorosłym). Czubaj wykazuje jednak, że w cyklu pomysłu Bellairsa „[...] nie ma [...] gigantycznych potworów znanych z przygód Pottera i spektakularnych dyscyplin sportowych [...], brakuje kształcącej czarodziejów szkoły Hogwart czy ekscentrycznego profesora Dumbledore'a. Jest tu natomiast klimat kojarzący się z horrorami Stephena Kinga"[44].

Rzeczywiście tak jest: Nowy Zebedeusz to miejscowość rodem z horroru, tylko pozornie senna i zwyczajna. W tym jednorodnym na pierwszy rzut oka krajobrazie istnieją bowiem wyrwy oraz szczeliny, przez które do miasteczka przenika groźna niesamowitość. Z jednej strony zło ewokują pewne znaczące przestrzenie, takie jak cmentarz, zapomniana opera, opuszczone domy czy ogromne, gotyckie posiadłości. Z drugiej zaś – przyciągają je niezwykłe przedmioty, choćby magiczna moneta, zaczarowany pierścień, przeklęty pergamin. Jest ono także rozmaicie postaciowane: powieściowe dzieci mierzą się choćby z szalonymi nekromantami, ożywionym kaznodzieją z XIX stulecia czy duchem przerażającego łowcy magów[45]. Podobnie jest w innych miejscach, do których trafiają Luis i Rita (na przykład podczas letnich wakacji). Wszystko zostaje wplecione w sieć odniesień do historii USA (na przykład wojny secesyjnej czy osiemnasto- i dziewiętnastowiecznej fali imigracji niemieckich protestantów), do znanych postaci (jak Harry Houdini

[41] Zob. Mary Ariail Broughton, *Bellairs, John*, w: *The Continuum Encyclopedia of Children's Literature*, red. B. E. Cullinan, D. G. Person, New York–London: Continuum 2005, s. 73.

[42] Zob. Dawn Heinecken, *Haunting Masculinity and Frightening Femininity: The Novels of John Bellairs*, „Children's Literature in Education" 2011, t. 42, nr 2, s. 119.

[43] Do zabiegów marketingowych należało również dodanie członu *Luis Barnavelt* do tytułów kolejnych części, aby przypominały one powieści Rowling, a także opatrzenie książek notą, wskazującą na podobieństwa między obiema seriami.

[44] Mariusz Czubaj, dz. cyt., s. 80.

[45] Warto dodać, że zmagania Luisa i Rity ze złem toczą się jednak także na innym, bardziej „przyziemnym" poziomie: na przestrzeni kolejnych tomów dzieci podejmują walkę z kompleksami dotyczącymi ich własnej fizyczności, radzą sobie ze szkolnymi prześladowcami i rozwijają pod względem emocjonalnym. Tym samym powieści grozy Bellairsa i Stricklanda włączają w swój obręb także elementy narracji o dojrzewaniu. Zob. Gary D. Schmidt, *See How They Grow: Character Development in Children's Series Books*, „Children's Literature in Education" 1987, t. 18, nr 1, s. 41-43.

bądź książę Wellington), wreszcie – do dzieł literackich (choćby utworów Arthura Conana Doyle'a o Sherlocku Holmesie). Powieści Bellairsa i Stricklanda to wręcz swoisty katalog kulturowych (w tym popkulturowych) wątków i motywów – katalog, w którym znalazło się miejsce także dla nawiązań do twórczości Lovecrafta.

Bellairs i Lovecraft

Twórca mitologii Cthulhu zmarł w 1937 roku, a zatem rok przed narodzinami Bellairsa[46]. Należy wspomnieć, że:

> Obaj twórcy byli nad wiek rozwiniętymi i samotnymi dziećmi, które kochały książki i pochłaniały je żarłocznie, w dużych ilościach. W późniejszych latach mieli ogromny sentyment do młodości, a lwia część ich dzieł […] miała stanowić środek służący zapamiętaniu własnego dzieciństwa. Jako dorośli byli również entuzjastycznymi anglofilami […], a także zapamiętałymi starożytnikami[47].

Co ciekawe, Bellairs przeniósł się w pewnym momencie swojego życia ze stanu Michigan na wschód, do Massachusetts, a więc w pobliże Rhode Island, gdzie żył Lovecraft – „Nowa Anglia, wraz ze swymi osobliwymi, malowniczymi, historycznymi krajobrazami, zanurzona w tradycji i konserwatywnych wartościach, miała dużo do zaoferowania wrażliwości obu pisarzy"[48] i wielokrotnie stawała się „bohaterką" ich utworów.

Najistotniejszym związkiem między tymi literatami wydaje się jednak fakt, że według Alfreda Myersa – bliskiego przyjaciela Bellairsa – autor dzieł o Luisie Barnavelcie był wielkim entuzjastą tekstów Lovecrafta[49]. Warto wspomnieć, że już w swojej pierwszej powieści, wydanej w 1969 roku *The Face in the Frost*, w bezpośredni sposób wykorzystał elementy mitologii Cthulhu, a także wprowadził rozwiązania w zakresie budowy nastroju zaczerpnięte z prozy pisarza z Providence. Bellairs zastosował taktykę polegającą na budzeniu strachu przed tym, co nieznane i niewyjaśnione, poprzez zwrócenie uwagi odbiorców na nieokreśloność czy też bezkształtność potwornej istoty[50]. Jeden z bohaterów tekstu, mag Prospero, wspomina na przykład, że widział:

[46] Ace of Nitwits [Randolph Carter], *Lovecraft and Bellairs: a Study*, w: *The Hitchhiker's Guide to Galaxy: Earth Edition*, http://h2g2.com/entry/A705863 [dostęp: 17 sierpnia 2016]. Pseudonimy, za którymi ukrywa się autor artykułu, stanowią aluzje do twórczości Bellairsa i Lovecrafta. *„Ace of Nitwits"* („as głupców", w polskim przekładzie – „GłuptAs") to pojawiająca się w tomie *Zegar czarnoksiężnika*, nieistniejąca w rzeczywistości pozatekstowej karta do gry, na której zamiast znanych symboli widnieją kolby kukurydzy i strąki papryki, a w środku, między nimi – mężczyzna w czarnym kapeluszu, oblizujący palec wskazujący [sic!]. Zob. John Bellairs, *Luis Barnavelt i zegar czarnoksiężnika*, dz. cyt. Randolph Carter to zaś bohater, który występuje w wielu utworach Lovecrafta – po raz pierwszy w *Zeznaniu Randolpha Cartera*. Zob. H. P. Lovecraft, *Zeznanie Randolpha Cartera*, w: tegoż, *Przyszła na Sarnath zagłada. Opowieści niesamowite i fantastyczne*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2016 (*The Statement of Randolph Carter*, „The Vagrant" 1920, nr 13).

[47] Przekład własny za: „Both were precocious and lonely children who loved books and read widely and voraciously. In later years they both shared a great fondness for their youth and much of their fictional output could be argued was meant as a means of memorializing their childhood. As adults both were enthusiastic anglophiles. […] Both were also avowed antiquarians". Ace of Nitwits [Randolph Carter], dz. cyt. Więcej na temat biografii i osobowości twórczej Lovecrafta zob. Michel Houellebecq, *H. P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu*, wstęp S. King, przekł. J. Giszczak, Warszawa: W.A.B. 2007; S. T. Joshi, *H. P. Lovecraft. Biografia*, przekł. M. Kopacz, Poznań: Zysk i S-ka 2010.

[48] Przekład własny za: „New England had much to offer the sensibilities of these two writers with its quaint, picturesque, and historic surroundings, steeped in tradition and conservative values". Ace of Nitwits [Randolph Carter], dz. cyt.

[49] Zob. tamże.

[50] Zob. tamże. Bellairs w zasadzie hołduje tu słowom samego Lovecrafta: „Najstarszą i najmocniejszą emocją ludzką jest strach, a najstarszym i najmocniejszym rodzajem strachu jest strach przed nieznanym". H.P. Lovecraft, *Nadnaturalny horror w literaturze*, przekł. A. Ledwożyw, Warszawa: Fantasmagoricon 2008, s. 14.

[…] coś, co mogło być psem, ale nie przypominało psa. Stało przy skraju lasu i patrzyło na mnie przez chwilę, ale kiedy zagroziłem laską, uciekło. Rozległy się dźwięki w wysokiej trawie i w krzakach. […] To było trochę jak z koszmaru, który śnił mi się w dzieciństwie: wokół domu gonił mnie i gonił jakiś wielki, pozbawiony kształtu, mroczny stwór; w każdym oknie było jasne światło, ale i tak nie byłem w stanie wejść do środka[51].

W świecie przedstawionym *The Face in the Frost* jest również obecna pewna sekretna księga, *Krankenhammer*, stworzona przez obłąkanego szewca z Mainz – Stefana Schimpfa. Bywa ona postrzegana[52] jako parodia słynnego *Necronomiconu*, czyli wymyślonego przez Lovecrafta grimuaru wiedzy tajemnej, który miał być dziełem „szalonego Araba", Abdula Alhazreda, żyjącego rzekomo w VIII w. n.e.[53] Najczytelniejsze odwołanie do twórczości Lovecrafta pojawia się natomiast w słowach czarnoksiężnika Groma, którego zamek odwiedzają główni bohaterowie utworu: wspomniany już Prospero oraz Roger Bacon. W tej posiadłości znajduje się magiczny model systemu solarnego, a mężczyzna mówi o nim następująco: „Kilka planet wykonuje skoczny taniec i już niedługo – apokalipsa! Myślę, że trzeba winić okropną czarną planetę Yuggoth, która kręci się bez celu w osłupiającej ciemności"[54]. Yuggoth to oczywiście ciało niebieskie pojawiające się w mitach Cthulhu – znajdujące się na skraju Układu Słonecznego, utożsamiane z Plutonem i zamieszkiwane przez rasę grzybów zwaną Mi-go[55]. Powieść *The Face in the Frost*, wprowadzając opisane aluzje, była początkiem intertekstualnego dialogu Bellairsa (i później Stricklanda) z twórczością Lovecrafta, który współtworzyły także niektóre tomy serii o Luisie Barnavelcie.

Wielki Przedwieczny w Nowym Zebedeuszu

W pierwszej części cyklu pomysłu Bellairsa wuj Jonatan, aby zagłuszyć tykanie znajdującego się w jego domu chronometru (odliczającego czas pozostały do nadejścia apokalipsy), wypełnia posiadłość dziesiątkami zegarów. Wśród nich znajduje się „czarny kanciasty stwór ze złotymi uchwytami po bokach, całkiem podobny do trumny"[56]. Hasło *H.*

[51] Przekład własny za: „[…] something that might have been a dog, though it didn't look like one. It stood near the edge of the forest and stared at me for a moment, but when I threatened it with my staff, it ran away. There were sounds in the tall grass and in the bushes. […] It was a bit like a dream I used to have as a child: I would be chased around and around outside of my house by a tall, formless dark creature; every window in the house was brightly lit and yet I couldn't go in". John Bellairs, *The Face in the Frost*, Newburyport: Open Road Media 2014 [e-book].

[52] Zob. Ace of Nitwits [Randolph Carter], dz. cyt.

[53] Zob. S. T. Joshi, David E. Schultz, *Necronomicon*, w: tychże, *An H. P. Lovecraft Encyclopedia*, Westport–London: Greenwood Press 2001, s. 186-188. Po raz pierwszy o *Necronomiconie* wspomina się w opowiadaniu *Ogar*. Zob. H. P. Lovecraft, *Ogar*, w: tegoż, *Przyszła na Sarnath zagłada*, dz. cyt. (*The Hound*, „Weird Tales" 1924, t. 3, nr 2). Później księga pojawiała się jeszcze w wielu utworach pisarza, który w końcu – aby uniknąć w kolejnych tekstach ewentualnych nieścisłości dotyczących faktów na temat tego tomu – postanowił spisać fikcyjną historię grimuaru. Zob. tegoż, *Historia Necronomiconu*, przekł. Jerzy Drewnowski, Warszawa: Fantasmagoricon 2002 (*A History of Necronomicon*, Oakman: The Rebel Press 1937).

[54] Przekład własny za: „A couple of planets are doing a horn-pipe, and before long – apocalypse! I think we must blame the terrible black planet Yuggoth, which rolls aimlessly in the stupefying darkness". John Bellairs, *The Face in the Frost*, dz. cyt.

[55] Zob. M. J. Elliot, *Introduction*, w: H. P. Lovecraft, *Collected Stories. Volume 1. The Whisperer in Darkness*, wyb. i wstęp M. J. Elliot, Ware: Wordsworth Editions 2007, s. XII. Yuggoth po raz pierwszy pojawia się w opowiadaniu *Szepczący w ciemności*. Zob. H. P. Lovecraft, *Szepczący w ciemności*, w: tegoż, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2012 [e-book] (*The Whisperer in Darkness*, „Weird Tales" 1931, t. 18, nr 1).

[56] John Bellairs, *Luis Barnavelt i zegar czarnoksiężnika*, dz. cyt., s. 29.

P. Lovecraft zamieszczone w internetowej encyklopedii *Bellairsia* zawiera sugestię[57], że być może wspomniany rekwizyt stanowi odwołanie do podobnego czasomierza, występującego w opowiadaniu *Przez bramę srebrnego klucza*[58]. Kolejne nawiązanie tego rodzaju, już bardziej czytelne, pojawia się ukończonym przez Stricklanda tomie *Pogromca czarownic*. Oto podczas pobytu w Anglii, pełnego niebezpiecznych przygód, Luis ogląda „francuskie tłumaczenie *Necronomiconu* niejakiego Abdulla Alhazreda"[59], co w jasny sposób kieruje odbiorców ku wspomnianej już bluźnierczej księdze, wymyślonej przez Lovecrafta. Trudno przy tym wskazać jednoznacznie, który z twórców wprowadził do tekstu to odwołanie. Fakt, że Strickland pracował w tym przypadku nie na luźnych notatkach, a na pozostawionym przez Bellairsa rękopisie[60], skłania do przyjęcia hipotezy, że być może już pomysłodawca całego cyklu umieścił tę aluzję w powieści. Mogło być jednak również odwrotnie: kontynuator serii bowiem w jednej ze swych wypowiedzi wspomniał o tym, że planuje kultywować wyznaczoną przez swojego poprzednika tradycję prowadzenia dialogu z dziełami Lovecrafta[61]. Sam Strickland zresztą przyznał też, że jako dziecko, budząc niepokój rodziców, zaczytywał się w tych utworach[62]. Warto dodać, że napisał on również scenariusz do radiowej adaptacji *W Górach szaleństwa*[63].

Utwory samego Bellairsa znacząco różnią się od prozy Lovecrafta – mimo podobieństw między tymi pisarzami i intertekstualnych relacji łączących ich teksty. Przede wszystkim w dziełach drugiego z nich dzieci były niemal nieobecne, podczas gdy powieści pierwszego z autorów obracały się przede wszystkim wokół osób niedorosłych i ich świata[64]. Wynikało to w dużej mierze z wyboru odbiorców w różnym wieku jako czytelniczej publiczności[65]. Dżentelmen z Providence dążył do tego, aby jego dzieła budziły

[57] Zob. *H. P. Lovecraft*, w: *Bellairsia*, http://www.bellairsia.com/academia/who/lovecraft_hp.html [dostęp: 16 sierpnia 2016].

[58] Zob. H. P. Lovecraft, E. Hoffman Price, *Przez bramę srebrnego klucza*, przekł. R. P. Lipski w: H. P. Lovecraft, *Sny o terrorze I śmierci*, Poznań: Zysk i S-ka 2008 (*Through the Gates of the Silver Key*, „Weird Tales" 1934, t. 24, nr 1).

[59] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i pogromca czarownic*, s. 116-117.

[60] Zob. *Brad Strickland*, dz. cyt.

[61] Zob. Ace of Nitwits [Randolph Carter], dz. cyt. Należy tu dodatkowo wspomnieć o *The Drum, the Doll, and the Zombie*, niewydanym w Polsce dziewiątym tomie serii o Johnnym Dixonie, rozpoczętym przez Bellairsa i ukończonym przez Stricklanda. Zob. John Bellairs, *The Drum, the Doll, and the Zombie*, [completed by Brad Strickland], New York: Dial Books for Young Readers 1994. W powieści pojawia się doktor Andrew Armitage, pracownik Uniwersytetu Miskatonic. Nazwisko bohatera kieruje ku postaci doktora Henry'ego Armitage'a, który występuje w opowiadaniu *Zgroza w Dunwich*. Zob. H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich*, w: tegoż, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, dz. cyt. (*The Dunwich Horror*, „Weird Tales" 1929, t. 13, nr 4). Uniwersytet Miskatonic to w tekstach Lovecrafta szkoła wyższa w Arkham w stanie Massachusetts. Tamtejsza biblioteka jest wyposażona w dużą kolekcję tekstów okultystycznych, wśród których znajduje się łacińska kopia *Necronomiconu*. Opowiadanie *Reanimator Herbert West* jako pierwsze wspomina o tej instytucji. Zob. tegoż, *Reanimator Herbert West*, w: tegoż, *Przyszła na Sarnath zagłada*, dz. cyt. (*Herbert West–Reanimator*, „Home Brew" 1922, nr 1-6).

[62] Zob. Ace of Nitwits [Randolph Carter], dz. cyt.

[63] Zob. H. P. Lovecraft, *W górach szaleństwa*, w: tegoż, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, dz. cyt. (*At the Mountains of Madness*, „Astounding Stories" 1936, t. 16, nr 6; t. 17, nr 1-2).

[64] Zob. *H. P. Lovecraft*, dz. cyt.

[65] Zob. tamże. Należy oczywiście pamiętać, że od lat trwają spory na temat różnic między literaturą dziecięcą i twórczością dla dorosłych; dotyczą one w dużej mierze (nie)możliwości uznania, że tego rodzaju utwory są w rzeczywistości skierowane do odbiorcy dziecięcego. Zob. np. Jacqueline Rose, *The Case of Peter Pan, or the Impossibility of Children's Fiction*, London: Macmillan 1984; Ruth B. Bottigheimer, *An Important System of Its Own: Defining Children's Literature*, „The Princeton University Library Chronicle" 1998, t. 59, nr 2; David Rudd, *How does Children's Literature Exist?*, w: *Understanding Children's Literature*, red. P. Hunt, New York–London: Routledge, 2005; Karin Lesnik-Oberstein, *Defining Children's Literature and Childhood*, [w:] *International Companion Encyclopedia of Children's Literature*, red. P. Hunt, współpr. Sh. Ray, London– New York: Routledge 2005; Perry Nodelman, *The Hidden Adult: Defining Children's Literature*, Baltimore: The Johns Hopkins University Press 2008.

w ludziach dojrzałych uczucie tak zwanej kosmicznej grozy; włączał w ich obręb między innymi „pozaziemskie kreatury, przewyższające pod każdym względem niczego niepodejrzewającą rasę ludzką”[66]. Twórca postaci Luisa Barnavelta wprowadzał zaś do swoich opowieści „nikczemne człowiecze monstra, mistrzów mrocznych sztuk, […] złe duchy z przeszłości i demony z antycznych mitów, ale nigdy nie była to żadna istota, która zrodziłaby się w najczarniejszych rejonach przestrzeni komicznej”[67]. Czego nie zrobił Bellairs, to uczynił Strickland. Tom napisany w całości przez kontynuatora cyklu, *Potwór Dzikiego Strumienia*, korzysta z wielu motywów i wątków zaczerpniętych z twórczości Lovecrafta – także z kreacji istot pochodzących z odmętów wszechświata.

Utwór otwiera scena, w której Jonatan dowiaduje się z notatki prasowej o planach wymiany starego, żelaznego mostu na tytułowym cieku wodnym, znajdującym się na obrzeżach Nowego Zebedeusza. Ta informacja wprawia mężczyznę w ogromny niepokój. Luis i Rita, zdziwieni zachowaniem czarodzieja, pytają panią Zimmerman o możliwe przyczyny tej reakcji. Nawiązują przy tym do usłyszanej przez chłopca kilka lat wcześniej informacji o tym, że budowniczy mostu ukrył w nim rzekomo jakiś magiczny przedmiot, aby uchronić się przez zemstą swego nikczemnego wuja. Ten most i to, co się w nim znalazło, wspomina Luis, pozwoliły kiedyś jemu samemu, Jonatanowi i pani Zimmerman uciec przed pościgiem przywróconej do życia czarownicy.

Sąsiadka opowiada dzieciom, że most został wzniesiony w 1892 roku przez Eliasza Clabbernonga, którego wuj Jedydiasz istotnie parał się czarną magią. Siedem lat wcześniej za stajnią złowrogiego czarnoksiężnika spadł „czerwony jak krew” meteor, który „narobił tyle huku, że rozdzwoniły się kościelne dzwony, a w całym mieście popękały szyby w oknach”[68]. Tej samej nocy, opowiada pani Zimmerman, Jedydiasz zmarł, a następnego dnia na jego farmie widziano ogromne ognisko, w którym Eliasz podobno spalił wszystkie tajemne księgi i dokumenty swojego wuja. Mężczyzna sprzedał posiadłość, a z całego majątku zachował dla siebie jedynie meteoryt, który „był nie większy niż piłka bejsbolowa i lśnił nieziemskimi barwami”[69]. Kilka lat później Eliasz opłacił wymianę drewnianego mostu na Dzikim Strumieniu, a do żelaza, służącego jako materiał do budowy nowej konstrukcji, dodał roztopiony kamień przybyły z kosmosu. Czarownica kończy swą opowieść, uspokajając dzieci, że bohater tej historii „umarł z przyczyn naturalnych w 1947 roku. Żaden duch go nie dopadł, więc most pewnie poskutkował”[70]. Zachowanie Jonatana

[66] Przekład własny za: „extraterrestrial creatures vastly superior to the unsuspecting human race”. Ace of Nitwits [Randolph Carter], dz. cyt.

[67] Przekład własny za: „nefarious human monsters, masters of the black arts, […] evil spirits from the past and demons from ancient mythology, but never anything spawned from the darkest reaches of outer space”. Tamże.

[68] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, s. 17.

[69] Tamże, s. 18.

[70] Tamże.

kobieta wyjaśnia zaś następująco: „Nie przepada za zmianami, zwłaszcza za takimi, które mają coś wspólnego z czarami”[71].

Już sam początek powieści można rozpatrywać w kontekście utworu Lovecrafta *Kolor z innego wszechświata*[72]. W tekście pisarza z Providence pojawia się meteoryt, który spadł na farmę rodziny Gardnerów. Po tym wydarzeniu w okolicy wyrastają dziwne, fosforyzujące rośliny o nienaturalnym kolorze, widuje się zmutowane zwierzęta. Sami Gardnerowie zaczynają zaś podupadać na zdrowiu psychicznym i fizycznym, niektórzy z nich popadają w obłęd. Cała przyroda tymczasem umiera – roślinność szarzeje, a inwentarz zapada na przedziwną, śmiertelną chorobę. W końcu sami gospodarze tego miejsca, po przeżyciu okropnych mąk, giną – i to w postaci nieprzypominającej bynajmniej ludzi. Po wielu latach gospodarstwo, wcześniej całkiem zwyczajne, zostaje nazwane przez okolicznych mieszkańców „przeklętym pustkowiem”. Narrator opowiadania opisuje tę chorą przestrzeń następująco:

> Na całym pięcioakrowym obszarze nie było ani jednego źdźbła trawy, tylko miałki szary popiół czy pył, odporny – jak mi się zdało – na wszelki powiew wiatru. Dookolne drzewa były schorzałe i skarlałe, na samym skraju stało lub leżało wiele pni martwych, toczonych przez zgniliznę. Przechodząc w pośpiechu, po prawej ręce spostrzegłem rumowisko cegieł i kamieni – resztki dawnego komina i piwnicy – i rozdziawioną czarną paszczę porzuconej studni otoczoną stojącym oparem, który migotał dziwacznie w promieniach zachodzącego słońca[73].

Podobny efekt wywiera meteoryt z farmy Clabbernonga. Gdy Luis i Rita wraz z opiekunami przejeżdżają obok tej posiadłości, chłopiec dostrzega:

> Po prawej stronie […] wielką połać martwego lasu, co najmniej parę hektarów. Drzewa były bezlistne, z ich pni łuszczyła się kora. Gałęzie i konary rozpaczliwie wyciągały się do nieba, jakby usiłowały uciec przed śmiercią. Krzaki poniżej były szare i bez życia. […] Pachniało czymś słodkawym, lecz także zgnilizną i pleśnią[74].

Bytują tam również niesamowite stworzenia. Dzieci, w sekrecie odwiedzające farmę, natykają się na srebrzystą istotę, która dawniej zapewne była koniem – mutant ma zniekształcone kończyny, a jego skóra sypie się jak łuski. Jonatan widzi zaś w tym miejscu świstaka, który uległ podobnej, przedziwnej metamorfozie.

Także sam meteoryt wykazuje właściwości przypominające cechy pozaziemskiego metalu z opowiadania Lovecrafta. Nit, który Luis zabiera z okolic mostu, to bowiem w istocie część niesamowitego „przybysza z gwiazd”. Bohater z przerażaniem obserwuje zachowanie znaleziska:

[71] Tamże, s. 19.

[72] Zob. H. P. Lovecraft, *Kolor z innego wszechświata*, w: *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści* (*The Colour out of Space*, „Amazing Stories” 1927, t. 2, nr 6).

[73] Tamże.

[74] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, s. 26.

> Nit lśnił w ciemnościach. Po jego powierzchni pełzały kolorowe płomyki, migoczące i ulotne jak tęczowe plamy na asfalcie. Ale oprócz kolorów tęczy były tu także inne, których nie znał. Kolory, które pochodziły jakby z innego świata.
> I wszystkie lśniły łagodnie w ciemnościach przy jego łóżku[75].

U Lovecrafta czytamy natomiast choćby o tym, że studia na próbką meteorytu wykazały, iż jego „widmo zawiera pasma niespotykanych barw"[76], a w środku bryły znaleziono „coś, co wyglądało na ściankę dużej, barwnej kuli. Kolor jej, zbliżony do niektórych pasm w dziwnym spektrum przebadanej próbki, był niemożliwy wręcz do opisania; właściwie tylko przez analogię określono go mianem koloru"[77]. Tę samą barwę zaczęła później przybierać cała przyroda na obszarze „przeklętego pustkowia" – od nienaturalnie wielkich roślin po skórę samych Gardnerów.

O ile opowiadanie dżentelmena z Providence nie mówi wprost, co przybyło na Ziemię w meteorycie, o tyle w *Potworze Dzikiego Strumienia* odbiorca zyskuje co do tego pewność. Luis i Rita czytają w odnalezionym na farmie dzienniku Jedydiasza Clabbernonga, że czarnoksiężnik zabił swego siostrzeńca i żonę, aby dożyć nadejścia komety zwanej Czerwoną Gwiazdą – źródła złej energii, przelatującego w pobliżu Ziemi raz na kilkanaście tysięcy lat. To się nie udało, więc mężczyzna postanowił przywołać chociaż fragment ciała niebieskiego, a z nim – coś jeszcze. Chłopiec i dziewczynka dowiadują się bowiem, że:

> […] wierzył w istnienie innej rasy, która żyła na ziemi przed pojawieniem się ludzkości. Nazywał ją Wielkimi Dawnymi. […] Luis ujrzał w wyobraźni coś mokrego i oślizgłego, jak kałamarnice, ośmiornice i rozgwiazdy. […] Gdy na Ziemi pojawili się ludzie, uznali Wielkich Dawnych za demony. Inni uważali ich za postacie z mitów i legend. Byli jednak i tacy, […] którzy czcili ich jak bogów. Jedydiasz uważał, że jeśli „otworzy portal" i wpuści przynajmniej jedną z owych istot, zniszczą one ludzi i znów zapanują na Ziemi. […] spodziewał się, że sam zmieni się w Wielkiego Dawnego. […] i tej sprawie poświęcił całe życie[78].

Wielcy Dawni w przekładzie Maciejki Mazan to oczywiście Wielcy Przedwieczni (ang. *Great Deep Ones*) – istoty pojawiające się w mitologii Cthulhu, przepotężne kreatury z kosmosu, które władały Ziemią przed pojawieniem się człowieka. Luis i Rita podsłuchują, jak podczas nadzwyczajnego zebrania Towarzystwa Magicznego Okręgu Kafarnaum Jonatan wspomina, że czytał o nich w *Necronomiconie*, a jedna z dobrych wiedźm przywołuje w tym kontekście także nazwisko hrabiego d'Erlette'a[79].

Wkrótce okazuje się, że taka istota faktycznie przybyła na ziemię w meteorycie (stanowił on tę część komety, którą przyzwał Jedydiasz) i w przedziwny sposób „połączyła

[75] Tamże, s. 29.

[76] Zob. H. P. Lovecraft, *Kolor z innego wszechświata*, dz. cyt.

[77] Tamże.

[78] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, s. 66-67.

[79] Hrabia d'Erlette to fikcyjny autor rozprawy *Cultes de Goules*, stworzony przez Roberta Blocha, z którym Lovecraft korespondował. Nazwisko nawiązuje do Augusta Derletha, który również wymieniał listy z dżentelmenem z Providence, a później pisał utwory osadzone w mitologii Cthulhu. Zob. Robert M. Price, *Introduction*, w: *Tales of the Lovecraft Mythos*, red. i wstęp tegoż, przedm. R. Bloch, New York: Ballantine Books 2002, s. XIII.

się" z kultystą po wrzuceniu jego prochów do Dzikiego Strumienia przez Eliasza Clabbernonga. Temu ostatniemu udało się dodać meteoryt do żelaza i tym samym uwięzić potwora w moście. Budowa nowej konstrukcji to zaś tylko pretekst, by wyznawcy Wielkich Przedwiecznych, Mefistofeles P. Moote i jego żona Herminia, mogli uwolnić powstałe w ten sposób stworzenie, ulec podobnej metamorfozie i sprowadzić zagładę na rasę ludzką[80].

Istota, wyzwolona przy blasku przybywającej w pełni swojej potęgi Czerwonej Gwiazdy (która niesie ze sobą najpewniej więcej Wielkich Przedwiecznych), jest galaretowata, jej usta i oczy ohydnie falują, ma dziesięć macek na końcu dłoni, guzy i bąble, ale potrafi także przybrać postać człowieka – wysokiego jednak na pięć metrów. Zanim powieściowe dzieci spotkają się z tak zaprezentowanym Wielkim Przedwiecznym twarzą w twarz, przedziwna kreatura pojawia się w śnie Luisa. Protagonista widzi „czarnego bezkształtnego stwora", którego kończyny są „oślizgłe i kleiste, jakby macka kałamarnicy"[81]. Później chłopiec i dziewczynka uczestniczą w pokazie wyczarowywania iluzji, prowadzonym przez wuja Jonatana. Mają obserwować działania fregaty Nelsona na Morzu Śródziemnym w 1798 roku, ale magiczna prezentacja wymyka się spod kontroli, zaburzona obecnością Czerwonej Gwiazdy – zamiast na ziemskie wody, uczestnicy wydarzenia trafiają na inną planetę bądź do innego wymiaru. Luis i Rita oraz ich towarzysze dostrzegają, jak z wody wyłania się:

> […] gigantyczna ośmiornica lub też kałamarnica z wijącymi się mackami. W dzień miała pewnie sinobiały kolor, lecz w świetle komety nabrała barwy świeżej wątróbki. […]
>
> Ta nibykałamarnica wcale nie była zwierzęciem.
>
> Była to potworna głowa gigantycznego człowieka![82]

Wszystkie te opisy w wyraźny sposób odsyłają do przedstawień podobnych kreatur w tekstach Lovecrafta[83]. Jednak z uwagi na fakt, że Wielki Przedwieczny połączył się z Jedydiaszem, jest on nieporównywalnie słabszy od bytów pojawiających się w mitach Cthulhu. I to dzięki ludzkiemu pierwiastkowi, obecnemu w przedziwnym organizmie, Luisowi oraz jego przyjaciołom udaje się pokonać stworzenie. Chłopiec pokazuje potworowi znaleziony w studni[84] na farmie Clabbernongów rubin w kształcie serca, w którym została zamknięta dusza Jedydiasza. Człowiecza część niesamowitej istoty pragnie odzyskać duszę. Gdy więc pani Zimmerman rzuca na rubin czar – łączący klejnot z nitem o niezwykłych kolorach i mający wysłać wszystko, co zawiera w sobie element Wielkich

[80] Warto dodać, że w wypowiedziach antagonistów pojawiają się (niektóre – spolszczone w tłumaczeniu Mazan) określenia pochodzące z tekstów Lovecrafta, choćby *Jog-Szoggot*.

[81] Tamże, s. 33.

[82] Tamże, s. 93.

[83] Więcej na ten temat zob. Karolina Kwaśna, dz. cyt.

[84] Motyw studni to kolejne odwołanie do *Koloru z innego wszechświata*, bowiem właśnie w studni czaiła się potęga, która przybyła na Ziemię w meteorycie.

Przedwiecznych, z powrotem na kometę – stwór podąża za nim ku Czerwonej Gwieździe. Ta zmienia trajektorię lotu: nie uderza w Ziemię, lecz albo ulega natychmiastowemu zniszczeniu, albo też uderza prosto w Słońce, niszcząc odrażającą istotę i wszelkie inne potworności, które mogły trafić na ziemski glob.

Kosmiczna groza kontra śmiech

W utworach o przygodach Luisa i Rity, zwłaszcza w *Potworze Dzikiego Strumienia*, pojawia się wiele odniesień do utworów autorstwa Lovecrafta. Z jednej strony są to bezpośrednie nawiązania do poszczególnych tekstów i motywów, z drugiej zaś – odwołania do typów postaci, sposobu prowadzenia narracji, poetyki opisu potwornych istot. Warto dodać, że na kartach omówionej wyżej części cyklu przeczytać można również o samym dżentelmenie z Providence – Jonatan wspomina po nieudanym pokazie iluzji, przerwanym przez pojawienie się Wielkiego Przedwiecznego, że dobrze byłoby sięgnąć do dzieł tego pisarza: „Podobno to fikcja, ale jeśli mnie pamięć nie zawodzi, opisał […] takie same stwory”[85]. Rita, która w tajemnicy przed dorosłymi ochoczo wybiera się do biblioteki, mówi zaś: „Nie wiem, skąd wziął te wiadomości, ale dokładnie opisał Wielkich Dawnych, niewidzialne upiory i inne niesamowite rzeczy”[86]. Tym samym Lovecraft, w ramach świata przedstawionego, miał tworzyć dzieła o rzeczywistych, a nie fantastycznych istotach.

W uniwersum Luisa Barnavelta elementy mitologii Cthulhu, choć mogą budzić przerażenie odbiorców, służą jednak innym celom, niż u twórcy *Koloru z innego wszechświata*. W zakończeniu tego opowiadania narrator mówi: „Coś strasznego spadło wraz z meteorytem na podarkhamskie doliny i wzgórza, i coś strasznego wciąż tam mieszka – choć nie wiem, ile tego jeszcze zostało”[87], nawiązując do przedziwnej, niosącej zagładę barwy, która zdaniem jego informatora wciąż jeszcze znajduje się na farmie Gardnerów. Maciej Płaza pisze:

> […] trujący bosko-szatański palec nie cofnął się, wciąż tkwi w miejscu, gdzie stało niegdyś […] gospodarstwo. Wybijcie sobie z głowy wszelką nadzieję – mówi Lovecraft; potworność jest niezwyciężona, może najwyżej na chwilę się uciszyć; potworność jest obojętna, ślepa, bezdyskusyjna; potworność nie kusi, nie rozmawia ani nie przebacza, tylko zabija[88].

W dziele Lovecrafta nie ma zatem żadnej nadziei, groza jest obezwładniająca i bezkresna, a człowiek – słaby, na straconej pozycji, powalony przez ogrom niezrozumiałych zdarzeń i kosmicznej potęgi. Tymczasem utwory o Luisie Barnavelcie, jak inne dziecięce powieści grozy, traktują horror i jego rekwizytorium:

[85] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, s. 96.

[86] Tamże, s. 104.

[87] H. P. Lovecrat, *Kolor z innego wszeświata*, dz. cyt.

[88] Maciej Płaza, *W przeddzień potwornego zmartwychwstania*, w: H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, dz. cyt.

> […] groteskowo, ironicznie czy parodystycznie. […] dominantą kompozycyjną staje się zasada wywiedziona z „wielkiej subwersywnej zabawy" dziecięcej, polegająca na kreowaniu grozotwórczego świata przedstawionego, następnie zaś „egzorcyzmowaniu" go poprzez wprowadzenie żywiołu śmiechu. […] podstawą takich opowieści jest „ludyczna groza" […], która oswaja wielkie lęki dziecięce na zasadzie ich ośmieszenia, obrzydzenia, wyolbrzymienia […] i sprowadzenie do rangi figur sztucznych – komiksowych „atrap strachu"[89].

Wielki Przedwieczny zostaje więc w omawianym utworze ośmieszony, z jednej strony przez groteskową „wysyłkę" w przestrzeń kosmiczną, z drugiej zaś – przez określenia, którymi obdarzają go dzieci: „Clabbertrup"[90], „Galaretowiec"[91]. Także powieściowi prześladowcy, państwo Moote, zostają zaprezentowani jako postaci komiczne w swoim chorobliwym pragnieniu władzy, uwielbieniu dla monstrum i, wreszcie, marnym końcu – oboje giną bowiem po dotknięciu, odpowiednio, niezwykłego nitu (Herminia) i Jedydiasza-potwora (Mefistofeles), a więc niejako z ręki obiektu swojego kultu. Kosmiczna groza, choć opisana w pewnej mierze „po Lovecraftowsku", zostaje zatem „wyegzorcyzmowana" śmiechem – podobnie jak horror w innych utworach tego cyklu, choćby *Zegarze czarnoksiężnika*, gdzie przerażających antagonistów udaje się pokonać dzięki błazeńskim rytuałom i komicznej karcie do gry – GłuptAsowi.

Oparte na ludyczności „udziecinnianie" Lovecrafta na kartach powieści Bellairsa i Stricklanda można uznać nie tylko za ciekawą praktykę intertekstualną, lecz także za działanie służące „oswojeniu" mitologii Cthulhu przy jednoczesnym zachowaniu wielu jej grozotwórczych aspektów. Seria, na czele z *Potworem Dzikiego Strumienia*, wykorzystuje spuściznę pisarza z Providence w znacznie ciekawszy sposób niż przywołane na wstępie niniejszego artykułu przeróbki skierowane w pierwszym rzędzie do dorosłych. Można tu w zasadzie mówić o „karnawalizowaniu" mitologii Lovecrafta. W dziecięcej powieści grozy bowiem:

> […] karnawałowość opiera się […] na poetyce grozy i groteski, wręcz nawet na hiperbolizacji tych form, co przejawia się intensyfikowaniem i komplikowaniem prześladowczej fabuły, by w finale pozwolić grotesce na przewagę nad grozą, łagodząc początkowe napięcie i upewniając dziecięcego odbiorcę o ludyczności grozy i fikcjonalności (wręcz sztuczności) świata przedstawionego[92].

„Nocne" istnienie postaci dziecięcych – tu: Luisa i Rity – wyrażające się w ich spiskowaniu przeciw dorosłym za plecami innych dorosłych czy konfrontowaniu się z tym, co straszliwe i odrażające, zostaje „»rozbrojone« przez formułę katartycznego śmiechu, który przywraca »dzienn e « *status quo*"[93]. Tom *Potwór Dzikiego Strumienia* wieńczy zatem

[89] Katarzyna Slany, dz. cyt., s. 201.

[90] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, s. 122.

[91] Tamże, s. 149.

[92] Katarzyna Slany, dz. cyt., s. 207.

[93] Tamże.

scena, w której wszyscy – i dzieci, i ich dojrzali sprzymierzeńcy – wspólnie wspominają przeżyte wydarzenia, śmieją się z nich, wyszydzają monstrum, cieszą ze swojej przyjaźni.

Wielki Przedwieczny zniknął z Nowego Zebedeusza, ale postaci oraz miejsca znane z dzieł Lovecrafta wciąż istnieją gdzieś we wszechświecie. Przypomina o tym inna część serii o Luisie Barnavelcie – *Upiór w operze* – gdzie protagonista przywołuje z odmętów pamięci „okropny krajobraz przerażającej planety Yuggoth, która wirowała wśród gwiazd”[94]. Jednak w ramach *Potwora Dzikiego Strumienia* zagrożenie zostało zneutralizowane, a Luis i Rita są bezpieczni – przynajmniej do początku kolejnego tomu. „Kolacja była fantastyczna – czytamy w utworze. – Później […] przez godzinę spoglądali przez teleskop na gwiazdy i planety. Żadna nie wyglądała szczególnie przerażająco. […] Luis poczuł wreszcie, że troski i obawy […] opadają z niego jak stare ubranie”[95]. Taka ulga nigdy nie mogła się stać udziałem bohaterów Lovecrafta.

[94] John Bellairs, Brad Strickland, *Luis Barnavelt i upiór w operze*, s. 62.

[95] Tychże, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, s. 151.

Bibliografia

About John Bellairs, w: *Bellairsia*, http://bellairsia.blogspot.com/p/about-john-bellairs.html [dostęp: 16 sierpnia 2016].

Ace of Nitwits [Carter, Randolph], *Lovecraft and Bellairs: a Study*, w: *The Hitchhiker's Guide to Galaxy: Earth Edition*, http://h2g2.com/entry/A705863, [dostęp: 17 sierpnia 2016].

Bellairs, John, *Luis Barnavelt i duch w lustrze*, przekł. A. Czajkowska, Warszawa: Amber 2001 (*The Ghost in the Mirror*, New York: Dial Books for Young Readers 1993).

Bellairs, John, *Luis Barnavelt i mroczny cień*, przekł. M. Pogoda, Warszawa: Amber 2000 (*The Figure in the Shadows*, New York: Dial Press 1975).

Bellairs, John, *Luis Barnavelt i zegar czarnoksiężnika*, przekł. M. Mazan, Warszawa: Amber 2000 (*The House with a Clock in Its Walls*, New York: Dial Press 1973).

Bellairs, John, *Luis Barnavelt, list, pierścień i czarodziejka*, przekł. A. Czajkowska, Warszawa: Amber 2001 (*The Letter, the Witch, and the Ring*, New York: Dial Press 1976).

Bellairs John, *The Drum, the Doll, and the Zombie*, [completed by Brad Strickland], New York: Dial Books for Young Readers 1994.

Bellairs, John, *The Face in the Frost*, Newburyport: Open Road Media 2014 [e-book].

Bellairs, John, Strickland, Brad, *Luis Barnavelt i pogromca czarownic*, przekł. M. Mazan, Warszawa: Amber 2001 (*The Vengeance of the Witch-Finder*, New York: Dial Books for Young Readers 1993).

Bellairs, John, Strickland, Brad, *Luis Barnavelt i potwór Dzikiego Strumienia*, przekł. M. Mazan, Warszawa: Amber 2001 (*The Beast Under the Wizard's Bridge*, New York: Dial Books for Young Readers 2000).

Bellairs, John, Strickland, Brad, *Luis Barnavelt i upiór w operze*, przekł. M. Pogoda, Warszawa: Amber 2001 (*The Doom in the Haunted Opera*, New York: Dial Books for Young Readers 1995).

Bellairs, John, Strickland, Brad, *Luis Barnavelt i widmo z Muzeum Magii*, przekł. G. Jagielska, Warszawa: Amber 2001 (*The Specter from the Magician's Museum*, New York: Dial Books for Young Readers 1998).

Bottigheimer, Ruth B., *An Important System of Its Own: Defining Children's Literature*, „The Princeton University Library Chronicle" 1998, t. 59, nr 2.

Brad Strickland, w: *Bellairsia*, http://www.bellairsia.com/strickland/index.html [dostęp: 14 sierpnia 2016].

Bridwell, Norman, *Clifford the Big Red Dog*, New York: Scholastic 1963.

Broughton, Mary Ariail, *Bellairs, John*, w: *The Continuum Encyclopedia of Children's Literature*, red. B. E. Cullinan, D. G. Person, New York–London: Continuum 2005.

Carle, Eric, *The Very Hungry Caterpillar*, New York: Putnam & Grosset 1969.

Ciaramella, Jason, *C is for Cthulhu: The Lovecraft Alphabet Book*, Newburyport: Comix-Tribe 2014.

Czubaj, Mariusz, *Rodzeństwo Harry'ego Pottera*, „Polityka" 2003, nr 2382.

Elliot, M. J., *Introduction*, w: H. P. Lovecraft, *Collected Stories. Volume 1. The Whisperer in Darkness*, wyb. i wstęp M. J. Elliot, Ware: Wordsworth Editions 2007.

Gilman, Charles, *Professor Gorgoyle*, Quirk Books: Philadelphia 2012.

Hahn, Daniel, *Horror*, w: *The Oxford Companion to Children's Literature*, wstęp M. Morpurgo, Oxford: Oxford University Press 2015.

Heinecken, Dawn, *Haunting Masculinity and Frightening Femininity: The Novels of John Bellairs*, „Children's Literature in Education" 2011, t. 42, nr 2.

Hite, Kenneth, *Cliffourd the Big Red God*, Saint Paul: Atlas Books 2011.

Hite, Kenneth, *The Antarctic Express*, Saint Paul: Atlas Books 2009.

Hite, Kenneth, *Where the Deep Ones Are*, Saint Paul: Atlas Books 2009.

Houellebecq, Michel, *H. P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu*, wstęp S. King, przekł. J. Giszczak, Warszawa: W. A. B. 2007.

H. P. Lovecraft, w: *Bellairsia*, http://www.bellairsia.com/academia/who/lovecraft_hp.html, [dostęp: 16 sierpnia 2016].

Jasiński M., *Jak wytresować Cthulhu*, Wydawnictwo TADAM: Warszawa 2016.

Joshi, S. T., *H. P. Lovecraft. Biografia*, przekł. M. Kopacz, Poznań: Zysk i S-ka 2010.

Joshi, S. T., Schultz, David E., *Necronomicon*, w: S. T. Joshi, David E. Schultz, *An H. P. Lovecraft Encyclopedia*, Westport–London: Greenwood Press 2001.

Kołyszko, Mikołaj, *Groza jest święta. Mitologia literacka Howarda Phillipsa Lovecrafta i jej analiza dokonana antropologiczną metodą Claude'a Levi-Straussa*, Chojnice: Wydawnictwo Wielokrotnego Wyboru 2014.

Kwaśna, Karolina, *A jeśli to wszystko jest prawdziwe... Źródła wstrętu i odrazy w monstrualnych kreacjach w twórczości Howarda Phillipsa Lovecrafta*, w: *Światy grozy*, red. K. Olkusz, Kraków: Ośrodek Badawczy Facta Ficta 2016.

Lesnik-Oberstein, Karin, *Definining Children's Literature and Childhood*, [w:] *International Companion Encyclopedia of Children's Literature*, red. P. Hunt, współpr. Sh. Ray, London– New York: Routledge 2005.

Lovecraft, Billy, *Billy Lovecraft Saves the World*, Reston: Curiosity Quill Pres 2014.

Lovecraft, Howard Phillips, *Nadnaturalny horror w literaturze*, przekł. A. Ledwożyw, Warszawa: Fantasmagoricon 2008.

Lovecraft, H. P., *Historia Necronomiconu*, przekł. J. Drewnowski, Warszawa: Fantasmagoricon 2002 (*A History of Necronomicon*, Oakman: The Rebel Press 1937).

Lovecraft, H. P., *Kolor z innego wszechświata*, w: H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2012 [e-book] (*The Colour out of Space*, „Amazing Stories" 1927, t. 2, nr 6).

Lovecraft, H. P., *Ogar*, w: H. P. Lovecraft, *Przyszła na Sarnath zagłada. Opowieści niesamowite i fantastyczne*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2016 (*The Hound*, „Weird Tales" 1924, t. 3, nr 2).

Lovecraft, H. P., *Reanimator Herbert West*, w: H. P. Lovecraft, *Przyszła na Sarnath zagłada. Opowieści niesamowite i fantastyczne*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2016 (Herbert West–Reanimator, „Home Brew" 1922, nr 1–6).

Lovecraft, H. P., *Szepczący w ciemności*, w: H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2012 [e-book] (The Whisperer in Darkness, „Weird Tales" 1931, t. 18, nr 1).

Lovecraft, H. P., w *górach szaleństwa*, w: H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2012 [e-book] (At the Mountains of Madness, „Astounding Stories" 1936, t. 16, nr 6; t. 17, nr 1–2).

Lovecraft, H. P., *Zeznanie Randolpha Cartera*, w: H. P. Lovecraft, *Przyszła na Sarnath zagłada. Opowieści niesamowite i fantastyczne*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2016 (*The Statement of Randolph Carter*, „The Vagrant" 1920, nr 13).

Lovecraft, H. P., *Zgroza w Dunwich*, w: H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2012 [e-book] (*The Dunwich Horror*, „Weird Tales" 1929, t. 13, nr 4).

Lovecraft, H. P., Hoffman Price, E., *Przez bramę srebrnego klucza*, przekł. R. P. Lipski w: H. P. Lovecraft, *Sny o terrorze i śmierci*, Poznań: Zysk i S-ka 2008 (*Through the Gates of the Silver Key*, „Weird Tales" 1934, t. 24, nr 1).

Misterek, Daniel, *Tam, gdzie czyha Cthulhu. o przestrzeni naznaczonej w prozie H. P. Lovecrafta*, Gdańsk: Gdański Klub Fantastyki 1999.

Mund, Ben, *The Very Hungry Cthulhupillar*, Roswell: Signal Fire Studios 2015.

Niezgoda, Tomasz, *Bycie-w-prawdzie jako bycie-wobec-nicości w prozie Howarda Phillipsa Lovecrafta i Thomasa Ligottiego*, w: *Światy grozy*, red. K. Olkusz, Kraków: Ośrodek Badawczy Facta Ficta 2016.

Nodelman, Perry, *The Hidden Adult: Defining Children's Literature*, Baltimore: The Johns Hopkins University Press 2008.

Płaza, Maciej, w *przeddzień potwornego zmartwychwstania*, w: H. P. Lovecraft, *Zgroza w Dunwich i inne przerażające opowieści*, przekł. M. Płaza, Poznań: Vesper 2012 [e-book].

Price, Robert M., *Introduction*, w: *Tales of the Lovecraft Mythos*, red. i wst. R. M. Price, przedm. R. Bloch, New York: Ballantine Books 2002.

Rex, Tro, Bella, Eyona, *The Call of Cthulhu*, Redmond: Esoteric Order of Publishing 2013.

Rose, Jacqueline, *The Case of Peter Pan, or the Impossibility of Children's Fiction*, London: Macmillan 1984.

Rudd, David, *How Does Children's Literature Exist?*, w: *Understanding Children's Literature*, red. P. Hunt, New York–London: Routledge 2005.

Schmidt, Gary D., *See How They Grow: Character Development in Children's Series Books*, „Children's Literature in Education" 1987, t. 18, nr 1.

Sederholm, Carl H., Weinstock, Jeffrey Andrew, *Introduction: Lovecraft Rising*, w: *The Age of Lovecraft*, red. C. H. Sederholm, J. A. Weinstock, wst. R. Campbell, posł. [wywiad z:] Ch. Miéville, Minneapolis–London: University of Minnesota Press 2016.

Sendak, Maurice, *Where the Wild Things Are*, New York: Harper & Row 1963.

Slany, Katarzyna, *Groza w literaturze dziecięcej. Od Grimmów do Gaimana*, Kraków: Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego 2016.

Strickland, Brad, *The House Where Nobody Lived*, New York: Dial Books for Young Readers 2006.

Strickland, Brad, *The Sign of the Sinister Sorcerer*, New York: Dial Books for Young Readers 2008.

Strickland, Brad, *The Tower at the End of the World*, New York: Dial Books for Young Readers 2001.

Strickland, Brad, *The Whistle, the Grave, and the Ghost*, New York: Dial Books for Young Readers 2003.

Van Allsburg, Chris, *The Polar Express*, Boston: Houghton Mifflin 1985.

Velikan, Phil, *Cthulhu's Coloring Book and Necronomicon of Sunny Day Doings*, Brownsburg: VIG Publishing 2015.

Wydmuch, Marek, *Gra ze strachem. Fantastyka grozy*, Warszawa: Czytelnik 1975.

Zając, Michał, *Polski rynek książki dla dzieci i młodzieży. Era Pottera i czas zmian*, „Świat Książki Dziecięcej", dodatek do „Poradnika Bibliotekarza" 2008, nr 9.

Miasta Lovecraftiańskie

Ksenia Olkusz

Abstract

The paper *Cities of Lovecraft* traverses a number H. P. Lovecraft's works in order to outline the cityscape of the titanic and the monstruous—that is shown as an epitomy of Lovecraft's depiction of the gothic city. Spaces forgotten, hidden, concealed and, thereby, treacherous and weird, compose a pivotal component of creating both the world and the atmosphere of gothic fiction—as they realise a bipartite model of the world divided into the known and the unknown. Lovecraftian worlds are claimed here to be contructed in this very way, featuring forgotten, titanic cities of architecture never seen and origin—unbeknownst to any of the protagonists. Alongside those titanic (sunken, undiscovered, otherworldy) or isolated (such as Innsmouth) metropolies those of human origin reside, no less, however, affected by the evil and unnatural phenomena instigating—both on topographical and psychological plane—deformations and abnormalities. Those liminal enclaves of decay signify the entering of the forbidden frontier and stepping over the threshold of "normality"—which results in character's wondering astray in the secret or degenerated urban mazes, overwhelmed by their grandeur. Theis scenery becomes, therefore, a key element for (re)presenting a world tainted by the Ancient Evil—surving, in a way, as a fellow character in the narrative.

Ksenia Olkusz — dr; historyk, krytyk i teoretyk literatury; prezes zarządu Ośrodka Badawczego Facta Ficta; redaktor prowadząca serii „Perspektywy Ponowoczesności"; redaktor naczelna pisma naukowego „Facta Ficta Journal" i redaktor merytoryczna czasopisma naukowo-literackiego „Creatio Fantastica"; autorka książek: *Materializm kontra ezoteryka. Drugie pokolenie pozytywistów wobec „spraw nie z tego świata"* (2007) oraz *Współczesność w zwierciadle horroru. O najnowszej polskiej fantastyce grozy* (2010), obydwu przygoto-wywanych obecnie do wznowienia. Kontakt: *ksenia.olkusz@factaficta.org*

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 39-49.

Wprowadzenie

Przestrzenie zapomniane, wycofane, ukryte, a przez to groźne i tajemnicze, stanowią ważny element nastrojotwórczy w fantastyce grozy. Realizują one bowiem zasadę dwudzielności przestrzeni, warunkując jej rozpad na „ten" i „tamten" świat. Model ambiwalencji przestrzeni opiera się na zasadzie istnienia „z jednej strony sfery racjonalności [...]; z drugiej [...] świata »Inności«, *numinosum*, tego, co poza zdolnością ludzkiego pojmowania"[1]. Izolacja, w jakiej pozostają niektóre Lovecraftiańskie miasta, stanowi rodzaj progu oddzielającego rzeczywistość ludzką od nie-ludzkiej, bowiem naznaczone piętnem obcości metropolie przynależą do sfery zagrażającej człowiekowi. Oddzielenie geograficzne pełni po części rolę pomostu łączącego sferę „normalności" i „nadnaturalności"[2]. Granica pomiędzy tymi dwoma światami jest nieprzekraczalna do momentu, w którym odważny lub ogarnięty poznawczą pasją bohater nie zdecyduje się pokonać trudności i dokonać eksploracji zakazanego terytorium. Zdarza się też, że postać zostaje po prostu przeniesiona w obce terytorium i wbrew swojej woli ogląda „obce" konstrukcje.

Jak konstatuje Michel Houellebecq „odrzucenie wszelkich form realizmu to warunek wstępny wkroczenia w jego [Lovecrafta—przyp. K.O.] świat"[3]. Prawidłowość tę odnieść można przede wszystkim do zatopionych, zagubionych w przestrzeni i czasie miast zbudowanych przez Stare Istoty, które niegdyś zamieszkiwały Ziemię. Metropolie te ukryte są w niedostępnych obszarach, niemożliwa jest zatem ich całkowita eksploracja. Ilustruje tę zasadę opowiadanie *W Górach Szaleństwa*, w którym badacze na Antarktydzie natrafiają na ślady dawnej cywilizacji – docierają do ogromnego, labiryntowego miasta kryjącego historię niegdysiejszych jego budowniczych. Najistotniejszym szczegółem są niezwykłe rozmiary konstrukcji architektonicznych, „niewiarygodna masywność tych rozległych kamiennych wież i wałów [która—K.O.] uchroniła ów przerażający twór od zagłady w przeciągu setek tysięcy – a może i milionów lat – jakie minęły od chwili ich pojawienia się na tej posępnej [...] wyżynie"[4]. Monumentalność tego i innych miast staje się sygnałem potworności, zła przenikającego ogromne budowle, wizualnym dokumentem mocy i grozy, jaką budzą w ludziach Stare Istoty. Dokumentuje to *passus z* opowiadania *Zew Cthulhu*, w którym narrator opisuje wyłonienie się zatopionego miasta z oceanicznych odmętów:

[1] M. Aguirre, *Geometria strachu. Wykorzystanie przestrzeni w literaturze gotyckiej*, przekł. A. Izdebska, w: *Wokół gotycyzmów. Wyobraźnia, groza, okrucieństwo*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płuciennik, Kraków 2002, s. 17.

[2] Więcej na ten temat m.in. w: K. Olkusz, *Konglomerat niesamowitości: „Domofon" Zygmunta Miłoszewskiego jako gra z klasycznym modelem literatury weird fiction*, „Literatura i Kultura Popularna" 2009, t. 15; tejże, *Współczesność w zwierciadle horroru. O najnowszej polskiej fantastyce grozy*, Racibórz 2010 czy tejże, *Gotyckie światy współczesnej grozy*, w: *Światy grozy*, red. K. Olkusz, Kraków 2016.

[3] M. Houellebecq, *H. P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu*, przekł. J. Giszczak, Warszawa 2007, s. 60.

[4] H.P. Lovecraft, *W Górach Szaleństwa*, w: tegoż, *W Górach Szaleństwa,* przekł. R.P. Lipski, Poznań 1999, s. 234.

Johannes […] opisując miasto […] rozwodzi się […] nad niesamowitym wrażeniem, jakie robią olbrzymie kąty i kamienne powierzchnie […]. Miejsce to wydzielało paskudną woń […]. Podpłynęli do […] monstrualnego akropolu […]. Jakaś niesamowita groza oraz niepewność czaiły się w tych […] zwodnych wymiarach rzeźbionej skały[5].

W utworze *W Górach Szaleństwa* narrator stwierdza natomiast, że „w napotykanych kształtach, wymiarach, proporcjach […] i wszelkich niuansach konstrukcyjnych tego bluźnierczego kamiennego tworu tkwiło coś nieuchwytnie, lecz głęboko nieludzkiego"[6].

Tworzywem tytanicznych miast jest głównie kamień uzupełniany drewnem, niekiedy także metalem. Na detale zdobnicze składa się przebogata ornamentyka; płaskorzeźby i malowidła opowiadają z reguły jakąś część historii obcej rasy, służąc nie tylko celom estetycznym. Uwagę bohaterów zwraca – zwłaszcza w utworze *W Górach Szaleństwa* – niezwykłość techniki, w której wykonano zdobienia. „Nie spotkałem nigdy w życiu płaskorzeźby, która precyzją wykonania dorównywałaby tym reliefom"[7], stwierdza narrator, dodając, że „najdrobniejsze szczegóły świata zarówno fauny, jak i flory oddane były, mimo olbrzymiej skali tych rzeźb, ze zdumiewającą plastycznością"[8]. Zainteresowanie eksploratorów budzi także upodobanie budowniczych i artystów do kształtu pięciokąta, będącego *leitmotivem* reliefów, malowideł i brył architektonicznych. Podobną fascynację i zachwyt wyraża również bohater opowiadania *Zapomniane miasto* (*The Nameless City*), podkreślając ogromny kunszt sztuki zdobniczej podziwianej w zagubionej metropolii: „ten korytarz […] był […] pomnikiem najwspanialszej i egzotycznej sztuki. Bogate, żywe i fantastycznie śmiałe płaskorzeźby i freski tworzyły ciąg ściennych malowideł, których linii i barw opisać nie sposób"[9].

Jak widać, w Lovecraftiańskiej narracji pojawia się niezwykle często motyw odkrywania przez bohaterów dramatycznej odmienności architektonicznych konstrukcji i dopełniających je dzieł sztuki zdobniczej. Miasta, określane jako tytaniczne i wykraczające poza granice ludzkiej wyobraźni, sprawiają, że kontakt z nimi staje się traumatyczny, powodując przeżycia nie o estetycznej, lecz głównie lękowej proweniencji. W opowiadaniu *Coś na progu* (*The Thing on the Doorstep*) bohater nadmienia, że:

[…] były to obiekty, które pod względem budowy, kształtów i barwy nie miały swoich odpowiedników na Ziemi, ich obłędne krzywizny i powierzchnie nie posiadały, zdawałoby się, żadnego logicznego wyjaśnienia i zastosowania, nie zachowywały również praw znanej człowiekowi geometrii[10].

[5] Tegoż, *Zew Cthulhu*, w: tegoż, *Kolor z przestworzy*, przekł. R. Grzybowska, Warszawa 1996, s. 41-42.

[6] Tegoż, *W Górach Szaleństwa...*, s. 248.

[7] Tamże, s. 249.

[8] Tamże.

[9] Tegoż, *Zapomniane miasto*, w: tegoż, *W Górach Szaleństwa...*, s. 47.

[10] Tegoż, *Coś na progu*, w: tegoż, *Coś na progu*, przekł. R.P. Lipski, Poznań 1999, s. 37.

Owa geometryczna dziwność wpływa na sposób percepcji, stając się sygnałem zagrożenia i niesamowitości. Ten rozziew pomiędzy „normalnością" bohaterów a doświadczaniem obecności „innego" świata bywa niekiedy rezultatem różnicy w sposobie funkcjonowania praw fizyki w obu rzeczywistościach. Ziemskie reguły istnienia przestrzennego odbiegają od tych w „innych światach i odmiennych kontinuach czasoprzestrzennych"[11]. Ta niesamowita geometria zaburza porządek oglądu, stając się kolejnym narzędziem wzbudzania grozy. Niezwykłe kształty stanowią dla oka patrzącego ogromny dysonans, z którym psychika nie potrafi się uporać. Dlatego obserwacja tytanicznych miast jest dla bohaterów doświadczeniem traumatycznym. Wykluczenie monstrualnych konstrukcji z geometrycznych reguł znanej przestrzeni przenosi obserwatora daleko poza granice „normalnego" świata. Jak opisuje narrator w *Górach Szaleństwa*, „gigantyczne miasto o nieznanej człowiekowi, przechodzącej ludzkie wyobrażenia architekturze [...] zdawało się w przeraźliwy sposób urągać wszelkim prawom geometrii"[12]. Specyfika istnienia konstrukcji zaginionej metropolii zaciera możliwość pełnej percepcji tych obiektów przez bohaterów. Obcość oglądanej przestrzeni ujawnia się przede wszystkim w niecodziennych, niemożliwych do zinterpretowania formach. Bryły budynków zdają się istnieć w niezwykle migotliwy, niejednoznaczny sposób:

> [tych—K.O.] obłędnych kształtów wież [...] nie sposób opisać. [...] Znajdowały się tam formy geometryczne, dla których nie znalazłby nazwy nawet sam Euklides – stożki normalne i ścięte, regularne i nieregularne, terasy o szokujących wręcz dysproporcjach, słupy o bulwiastych rozszerzeniach, osobliwe rzędy złamanych kolumn, pięcioramienne lub pięciokrawędziowe uderzające swoją groteskowością[13].

Opisując zapomniane miasto, narrator opowiadania *W Górach Szaleństwa* wspomina o „nieskończonej różnorodności, nadnaturalnej wręcz masywności i kompletnie obcej egzotyce"[14]. Bogactwo form świadczy jednocześnie o wysokim zaawansowaniu cywilizacyjnym oraz niebanalnym zamiarze estetycznym twórców zagubionej metropolii. Są oni wprawdzie dla ludzi obcy i groźni, jednak ich dzieło – ukryte teraz wśród lodu, zazwyczaj całkowicie niedostępne – w niezwykły sposób zachwyca, fascynuje i przeraża patrzących. Obserwacja przemieszania z lękiem staje się jednym z istotniejszych składników deskrypcji tytanicznych konstrukcji. Ogląd monstrualnych siedlisk zawsze łączy się u Lovecrafta ze strachem i podziwem; bohaterowie, porażeni ekstraordynaryjnym pejzażem, zawsze odczuwają to samo, a ich relacje każdorazowo są do siebie niezwykle podobne. Najpełniej psychiczną kondycję bohaterów ilustruje *passus z* przywoływanego już kilkakrotnie utworu *W Górach Szaleństwa:* „z każdym krokiem ogarniał nas dojmujący, beznadziejnie oszałamiający chaos ulotnych nastrojów"[15].

[11] Tamże.

[12] Tegoż, *W Górach Szaleństwa...*, s. 214.

[13] Tamże, s. 241-242.

[14] Tamże, s. 242.

[15] Tamże, s. 252.

Obcość metropolii

Architektura zaginionych miast jest zatem u Lovecrafta przedmiotem bezustannego zdumienia postaci. Co więcej, by znów przywołać słowa Houellebecqa, „lektura tych opisów w pierwszej chwili pobudza, potem jednak zniechęca do wszelkich prób adaptacji wizualnej (malarskiej czy filmowej). Obrazy przenikają na poziom świadomości; lecz żaden nie wydaje się dość wzniosły, dość monumentalny; żaden nie dorównuje snom”[16]. Wyobraźnia człowieka ograniczona jest bowiem prawidłami natury naszego świata, uniemożliwiając całkowite wykroczenie poza zbiór tych reguł. Zawężenie pola percepcji do znanych pojęć i koordynatów uniemożliwia pełną percepcję „obcej” sztuki, zaburzając także logikę jej oglądu. Te „cyklopowe, szalone struktury wyobrażone przez Lovecrafta wywołują w umyśle gwałtowny i nieodwracalny wstrząs […]. Mamy wrażenie, że zwiedzaliśmy już we śnie te gigantyczne miasta”[17] – i fakt ten sprawia, że emocje bohaterów stają się również pośrednio udziałem odbiorcy tekstu literackiego. Estetyczne doznania, oscylujące między zachwytem a przerażeniem (przytłoczeniem formą), stanowią refleks przekonania, że „wartość estetyczna – piękno – stoi na szczycie hierarchii wartości konstruującej paradygmat estetyczny”[18]. Doświadczenie piękna polega na afirmacji, jest uwikłane w możliwości poznawcze człowieka. Istotnym składnikiem procesu poznawczego jest stosunek emocjonalny do obserwowanej rzeczywistości. Niemożność pełnego zaakceptowana oglądanych przestrzeni wywołuje u bohaterów dysonans poznawczy. Nie tylko nie mogą być oni obiektywni wobec widzianych konstrukcji, ale też coraz bardziej ulegają złudzeniu zagrożenia (mniej lub bardziej uzasadnienie). Bohaterowie Lovecrafta w zetknięciu z „obcymi” metropoliami odczuwają dyskomfort, ponieważ nie są w stanie wytworzyć więzi z oglądanym tworem. Wyobraźnia odbiorcy pobudzona zostaje przez sugestywne wizje o charakterze emotywnym, co w dużym stopniu przyczynia się do negatywnej oceny postrzeganych elementów pejzażu miejskiego. Przerośnięte formy architektoniczne sugerują jednocześnie głęboki związek pomiędzy wynaturzeniem formy a stanem psychicznym patrzącego. Monstrualność pozostaje zatem i tutaj jedną z istotniejszych cech przestrzeni grozy, ujawniając się jako konstytutywny element kreacji nastroju zagrożenia.

Cytowany już Houellebecq zwraca również uwagę na fakt, że „być może tym, co przy pierwszej lekturze tekstów Lovecrafta robi największe wrażenie, są opisy architektury […]. Stajemy w obliczu całkiem nowego świata. Nawet strach znika. Znikają wszelkie ludzkie uczucia poza fascynacją, która po raz pierwszy przybiera tak wyrazistą formę”[19]. Niezwykłość form architektonicznych tworzonych przez dawnych mieszkańców Ziemi

[16] M. Houellebecq, dz. cyt., s. 68.

[17] Tamże, s. 69.

[18] J. Tarnowski, *O estetycznym i artystycznym paradygmacie architektury*, w: *Wizje i re-wizje. Wielka księga estetyki w Polsce*, red. K. Wilkoszewska, Kraków 2007, s. 370.

[19] M. Houellebecq, dz. cyt., s. 67.

polega na odmienności doświadczeń estetycznych, zupełnie innych potrzebach związanych z funkcjonalnością monumentalnych konstrukcji. W opowiadaniu *Świątynia* narrator Lovecrafta, przyrównując architekturę znanych starożytnych cywilizacji do architektury miasta zatopionego w oceanicznej głębi, konstatuje między innymi, że:

> [...] sztuka [ta—K.O.] emanuje fenomenalną wręcz doskonałością, jest w dużej mierze helleńska, a jednak ma sobie jakiś inny, niesprecyzowany bliżej pierwiastek. To dzięki niemu odnosi się wrażenie, że obcuje się z czymś przeraźliwie starym, z odległym przodkiem, miast bezpośredniego potomka greckiej sztuki klasycznej"[20].

Najwyższa forma estetycznego wyrazu, za jaką uznaje bohater sztukę helleńską, nie osiąga takiego mistrzostwa jak budowniczowie zanurzonej w wodnych odmętach metropolii; sztuka grecka jest tutaj wtórna wobec tej z zatopionego miasta. Fakt ten sprawia, że narrator określa podwodne konstrukcje mianem „masywnej doskonałości", a wszystkie oglądane przez siebie elementy zdobnicze jako „niemożliwej do opisania urody"[21]. Ideał sztuki równoznaczny jest tutaj nie tylko z monumentalnością, przytłaczającą pięknem, i sugerującą prymat dzieła budowniczych (przedmiotu) nad istotą (życiem). Nikłość i ulotność wszelkiego bytu stają się *leitmotivem* owej „obcej", choć niezwykłej architektury, której. „ani upływ czasu, ani woda nie zdołały naruszyć"[22].

Houellebecq odnotowuje również, że Lovceraftiańska architekturę cechuje podobny do „wielkich katedr i hinduskich świątyń"[23] przepych – jej opisy koncentrują uwagę odbiorcy na mnogości szczegółów, prezentowanych w kalejdoskopowym ujęciu, sugerującym wrażenie witalności obiektu. Dynamizacja opisu pozwala na wnikliwą eksplorację przestrzeni, niemal empatyczne odczuwanie wszystkich jej elementów, dzięki czemu architektura u Lovecrafta jest:

> [...] w całości przesycona ideą odwiecznej dramaturgii [...] mistycznej, która nadaje sens budowli, która nadaje teatralny wymiar każdej cząstce przestrzeni, korzysta z zasobów wszystkich sztuk plastycznych, wykorzystuje dla swych celów magiczną grę świateł. Jest to architektura żywa, gdyż wyrasta z żywej i emocjonalnej koncepcji świata[24].

W identyczny sposób percypują ją bohaterowie utworów, którzy w zetknięciu z nią ulegają fascynacji budzi się w nich lęk i szacunek, wynikający z pokrewieństwa mistycznemu doświadczeniu. To „architektura sakralna"[25], której funkcją jest wzbudzanie takich

[20] H.P. Lovecraft, *Świątynia*, w: tegoż, *Coś na progu...*, s. 81.

[21] Tamże.

[22] Tamże.

[23] M. Houellebecq, dz. cyt., s. 71.

[24] Tamże.

[25] Tamże.

właśnie wrażeń estetycznych i spirytualnych. Owa „architektura ze snu […] jest – jak architektura gotyckich czy barokowych katedr – architekturą totalną”[26], co oznacza, że estetycznym zamiarem jest określony sposób oddziaływania na psychikę odbiorcy czy patrzącego.

Miasto jako przestrzeń grozy

Osobną kategorię terytorialną stanowi przerażające, bo zdegenerowane tytułowe miasto w opowiadaniu *Widmo nad Innsmouth*. Izolacja charakterystyczna dla przestrzeni fantastyki grozy, a polegająca na oddaleniu od innych siedzib ludzkich[27], współgra tutaj z rozkładem i wrażeniem upadku, jakie wywołuje w bohaterze miasto. Jest ono zdegradowane, wymierające, bo „więcej [tam] pustych domów niż ludzi”[28]. Podupadająca infrastruktura stanowi kolejny element dopełniający wizerunku rozpadającego się, „złego” miasta, bo uniemożliwia podtrzymanie łączności z innymi. Dezintegracja więzi ze światem zewnętrznym, znamienna dla tubylców, świadczy o głębokiej potrzebie izolacji, wycofania z przestrzeni cywilizacji. Tętniące kiedyś życiem Innsmouth powoli pogrąża się w procesie anihilacji. „Niegdyś było tam sporo fabryk, ale nic z nich nie zostało”[29] po tym, jak miasto dotknęła dziwna epidemia, która znacząco zredukowała liczbę mieszkańców.

Deskrypcja miasta widzianego oczami fokalizującego narrację bohatera odpowiada schematom przestrzennym prezentowanym w fantastyce grozy. To krajobraz opustoszałych, niszczejących budynków. „Opisując […] Innsmouth […] pisarz eksponuje unoszący się wokół odrażający rybi fetor”[30], znamionujący pojawienie się czynnika zagrażającego. Naznaczenie pierwiastkiem rozkładu wyzwala nie tylko odczucie wstrętu, ale także tajemniczości i towarzyszącego bohaterowi lęku. Destrukcja staje się zresztą jednym z najbardziej charakterystycznych detali relacji fokalizatora. Opisy miasta w dużym stopniu odwołują się do procesu niszczenia siedzib ludzkich, prezentując znamienną obcość terytorium; są tu więc rozpadające się domostwa, zawalone dachy, zarośnięte podwórka, opustoszałe ulice, a „na brzegu, tu i ówdzie sterczały ruiny przystani w zupełnym rozkładzie, który im dalej na południe, tym większy przybierał zasięg”[31]. Nawet zamieszkane domy są zaniedbane, „o potłuczonych szybach zasłoniętych różnymi szmatami, a zaśmiecone podwórka pełne były muszli i śniętych ryb”[32]. Charakterystyczny, odstręczający wygląd mieszkańców wzmaga jedynie negatywne odczucia bohatera, który odkrywa, że „ci

26 Tamże.

27 „To miasto było zawsze odcięte od reszty okolicy z powodu otaczających go bagien i rzek” (H.P. Lovecraft, *Widmo znad Innsmouth*, w: tegoż, *Kolor z przestworzy…*, s. 54-55).

28 Tamże, s. 52.

29 Tamże.

30 A. Has-Tokarz, *„Horror architektoniczny”: o fizycznym i semantycznym statusie przestrzeni w literaturze i filmie grozy*. w: *Literatura i wyobraźnia. Prace ofiarowane prof. Tadeuszowi Żabskiemu w 70. rocznicę urodzin*, red. J. Kolbuszewski, Wrocław 2006, s. 478.

31 H.P. Lovecraft, *Widmo nad Innsmouth…*, s. 67.

32 Tamże.

ludzie napawali większym niepokojem niż wszystkie ponure domostwa, bo prawie każdy spośród nich szokował albo wyrazem twarzy, albo sposobem poruszania się, co instynktownie budziło we mnie niechęć"[33].

Miasta Lovecraftiańskie to często twory wynaturzone, spotworniałe, bo naznaczone izolacją, rozpadem lub po prostu zapomniane. Monstrualność dotyczy głównie obszarów zbudowanych przez Stare Istoty; są to konstrukcje niekiedy wręcz karykaturalne, których cechą konstytutywną jest właśnie olbrzymi rozmiar i groteskowe kształty. Istotnym elementem opisu przestrzeni „obcej" jest jej zagubienie w przestrzeni niedostępnej człowiekowi. Pojawiają się zatem miasta zatopione (*Zew Cthulhu* [*The Call of Cthulhu*], *Świątynia* [*The Temple*], *Cień spoza czasu* [*The Shadow out of Time*]), pogrążone w lodzie (*W Górach Szaleństwa* [*At the Mountains of Madness*]), pozaziemskie (*Szepczący w ciemności* [*The Whisperrer in Darkness*], *Cień spoza czasu*), wreszcie, mimo pozornego istnienia w obrębie cywilizacji ludzkiej, w jakiś szczególny sposób odizolowane całkowicie (opowiadanie *Widmo nad Innsmouth* [*The Shadow over Innsmouth*]) lub tylko częściowo.

Jednak obok miast tytanicznych (zatopionych, nieodkrytych, pozaziemskich) i wyizolowanych, jak Innsmouth, istnieją także metropolie ludzkie, w których pojawiają obszary zakazane, naznaczone miazmatami zła czy wynaturzenia. Z reguły są to na wpół wymarłe, częściowo opuszczone przez mieszkańców terytoria, zasiedlane przez degeneratów, ludzi z marginesu, jednostki zdeformowane społecznie i psychicznie. Takie liminalne enklawy rozpadu sygnalizują wkroczenie w obszar zakazany, przekroczenie progu „normalności", konkretyzują się jako przedsionek koszmaru, który czeka dokonującego transgresji bohatera. Prawidłowość tę ilustruje zwłaszcza opowiadanie *Duch szaleństwa* (*The Haunter of the Dark*), gdzie przestrzeń otaczająca przeklęty kościół ukazana zostaje jako zdegenerowana, bo wyniszczona powolnym upadkiem („Pustka i rozkład okrywały to miejsce niczym całun, natomiast okapy, po którymi nie chciały się gnieździć ptaki i czarne ściany nie obrośnięte bluszczem były tak ponure i złowieszcze, że [nikt—K.O.] nie byłby w stanie tego wyrazić"[34]). Owo charakterystyczne przejście z przestrzeni witalnej do strefy dotkniętej rozpadem staje się wyraźnym ostrzeżeniem. Bohater zapuszcza się obszar naznaczony na własną odpowiedzialność – lecz choć dostrzega symptomy zniszczenia, wkracza na przeklęte terytorium, przypieczętowując tym samym swą zgubę. Jednocześnie warto zauważyć, że ta naznaczona, wynaturzona przestrzeń wabi żądnych wrażeń lub przygód bohaterów. Ich determinacja w przekraczaniu granicy obu światów przypomina działania autodestrukcyjne, będące formą aktu samobójczego. Zetknięcie z „tamtym", „obcym" światem powoduje pragnienie dalszego jego doświadczania. Jak stwierdza sam bohater *Ducha szaleństwa*, zlokalizowana w centrum zakazanego terytorium „poczerniała świątynia wabiła [podkr. K.O.] nieprzeparcie"[35], nakłaniając do przekroczenia jej

[33] Tamże.

[34] Tegoż, *Duch szaleństwa*, w: tegoż, *Kolor z przestworzy...*, s. 224.

[35] Tamże, s. 225.

progu i tym samym – do ponownego wyzwolenia sił zła. Mimo że Blake „nie był pewien, czy rzeczywiście pragnie dostać się do środka tej nawiedzonej, opustoszałej i mrocznej świątyni, [to—K.O.] jej tajemniczość przyciągała go nieodparcie”[36].

Peryferie i labirynty

Egzemplifikację naznaczonej rozkładem przestrzeni wielkomiejskiej stanowią również slumsy z opowiadania *Koszmar w Red Hook* (*The Horror at Red Hook*). Ponura sceneria staje się istotnym składnikiem nastrojotwórczym, buduje napięcie, sygnalizując jednocześnie „obcość” i zagrożenie. Mieszkańców obszaru naznaczonego złem cechuje etniczna różnorodność, stanowiąca kolejny składnik misternie budowanej atmosfery „nietożsamości”. Dlatego tytułowe Red Hook to:

> […] istna wieża Babel hałasu i brudu, śląca dziwaczne okrzyki w odpowiedzi na szum oleistych fal, rozbijających się o posępne nabrzeże i monstrualne, organowe litanie zawodzących syren w zatoce. […] z tego właśnie chaosu biją ku niebu setki głosów w setkach dialektów. Tabuny awanturników i amatorów rozmaitych rozrywek przewijają się, krzycząc i śpiewając, wąskimi alejkami i zaułkami[37].

Multikulturowość jest dla narratora opowiadania tożsama z chaosem i epidemicznością obcości. Opresyjność istnienia slumsów Red Hook potwierdza on, konstatując, że „policjanci rozpaczliwie starają się zachować tu jako taki porządek, ale miast cokolwiek zmienić, woleliby chyba otoczyć cały rejon zasiekami, by uchronić zewnętrzny świat przed skażeniem”[38]. Zgiełkliwość i dynamiczność, cechujące to miejsce, ukrywają pradawne zło, stopniowo deformujące tę przestrzeń i jej mieszkańców. Bohater utworu, Malone:

> […] wyczuł w tym chaosie słabą acz uchwytną woń tajemnicy […]. Miał świadomość, że […] tam, gdzie panowało bezprawie, [ludzie—K.O.] przejawiali niewiarygodną wręcz skłonność do powtarzania w codziennym życiu i rytualnych obrzędach najmroczniejszych, instynktownych form kultów wyznawanych przez prymitywnych, na wpół małpich dzikusów[39].

Pod iluzją normalności kryją się mroczne, koszmarne sekrety, czyli pradawne obyczaje i krwawe kulty, o których współcześni od dawna pragną zapomnieć. Slumsy identyfikowane są jako siedlisko złych mocy czy terytorium infernalne, które musi – przynajmniej chwilowo – ulec przewadze cywilizacji.

Ważnym elementem peregrynacji bohaterów po ukrytych lub zdegenerowanych miastach, staje się motyw błądzenia w labiryncie. Jest on sygnałem zagubienia, przewagi terytorium nad eksploratorami. Labiryntowość jako jedna z cech konstytutywnych przestrzeni grozy wiąże się ściśle z zamiarem wykreowania nastroju zagrożenia i zaniepokojenia. Opuszczone tytaniczne miasta składają się zatem z plątaniny ciemnych korytarzy

[36] Tamże, s. 226.

[37] Tegoż, *Koszmar w Red Hook*, w: tegoż, *Reanimator*, przekł. R.P. Lipski, Warszawa 1995, s. 8-9.

[38] Tamże, s. 9.

[39] Tamże.

i mrocznych uliczek, tak jak ma to miejsce w utworze *W Górach Szaleństwa*. Skomplikowany układ przestrzenny utrudnia również eksplorację tytułowego *Zapomnianego miasta*. Labiryntem uliczek charakteryzują się również slumsy w *Koszmarze w Red Hook i* dzielnica otaczająca przeklęty kościół w opowiadaniu *Duch szaleństwa*. Deskrypcje takie pełnią rolę nastrojotwórczą, sugerując tajemniczość i niemożność pełnej identyfikacji odwiedzanego terytorium. Jak konstatuje Agnieszka Izdebska, labirynty w tego typu opowieściach to także „obrazy uwięzienia i zakleszczenia w pułapce, […] to przestrzenie, w których nie ma Tezeusza i Minotaura, ale myśliwy i ofiara, ścigający i ścigany"[40]. Prawidłowość tę ilustrują zwłaszcza utwory *W Górach Szaleństwa i Zapomniane miasto*, gdzie bohaterowie, zabłąkani w olbrzymich przestrzeniach, tylko pozornie je eksplorują – ostatecznie bowiem zmuszeni są uciekać przed ścigającymi ich monstrualnymi stworzeniami.

Istotnym składnikiem miejskich przestrzeni niesamowitych są także budowle sakralne – przeklęte kościoły lub miejsca kultu, które (podobnie jak tytaniczne miasta) jednocześnie fascynują i przerażają. Egzemplifikację podobnej reguły stanowi przeklęty kościół w opowiadaniu *Duch szaleństwa* czy świątynia w *Zapomnianym mieście,* której „ołtarze […] sugerowały zapomniane rytuały przeraźliwej, odrażającej i niewyjaśnionej natury"[41]. Również w slumsach z opowiadania *Koszmar w Red Hook* mieści się kościół, w którym odbywają się zakazane rytuały. Degradacja funkcji sakralnej tego miejsca nie ulega wątpliwości, jako że „księża […] odmawiali temu miejscu autentyczności i należytej powagi"[42] ze względu na odbywające się tam dziwaczne i przerażające obrzędy oraz towarzyszące im „krzyki i odgłosy bębnów"[43].

Miasta Lovecrafta przepełnione są tajemnicami, znajdują się w nich niekiedy wynaturzone, monstrualne lub naznaczone złem czy po prostu niezwykłe konstrukcje. Kilkakrotnie w opisach tytanicznych metropolii wspomniane zostają również minarety, a więc element charakterystyczny dla architektury islamu. Opis Kairu z opowiadania *Uwięziony wśród faraonów* (*Imprisoned With the Pharaohs*) do złudzenia zresztą przypomina nastrojowe wizje monumentalnych, labiryntowych miast Starych Istot. Charakterystyczna dla twórczości Lovecrafta plastyczność kreacji przestrzennych idzie w parze ze złożonością i wielowymiarowością misternych opisów, uzmysławiających poprzez bogactwo szczegółów artystyczną złożoność wyobrażeń. Miasta tytaniczne, monumentalne, zagubione i ukryte, wyizolowane lub zdegenerowane – stanowią integralny składnik przestrzeni przedstawionej i ważny komponent całościowej aktywności światotwórczej. Sceneria wydarzeń staje istotnym elementem prezentacji świata skażonego przez pradawne zło – i pełni przez to wręcz niejako rolę bohatera (czy współbohatera) niektórych utworów.

[40] A. Izdebska, *Gotyckie labirynty*, w: *Wokół gotycyzmów...*, s. 35.

[41] H.P. Lovecraft, *Zapomniane miasto...*, s. 42.

[42] Tegoż, *Koszmar w Red Hook...*, s. 15.

[43] Tamże.

Bibliografia

Aguirre, Manuel, *Geometria strachu. Wykorzystanie przestrzeni w literaturze gotyckiej*, przekł. A. Izdebska, w: *Wokół gotycyzmów. Wyobraźnia, groza, okrucieństwo*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płuciennik, Kraków 2002.

Has-Tokarz, Anita, *„Horror architektoniczny": o fizycznym i semantycznym statusie przestrzeni w literaturze i filmie grozy*, w: *Literatura i wyobraźnia. Prace ofiarowane prof. Tadeuszowi Żabskiemu w 70. rocznicę urodzin*, red. J. Kolbuszewski, Wrocław 2006.

Houellebecq, Michel, *H.P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu*, przekł. J. Giszczak, Warszawa 2007.

Izdebska, Agnieszka, *Gotyckie labirynty*, w: *Wokół gotycyzmów. Wyobraźnia, groza, okrucieństwo*, red. G. Gazda, A. Izdebska, J. Płuciennik, Kraków 2002.

Lovecraft, Howard Phillips, *Coś na progu*, w: tegoż, *Coś na progu*, przekł. R.P. Lipski, Poznań 1999.

Lovecraft, Howard Phillips, *Duch szaleństwa*, w: tegoż, *Kolor z przestworzy*, przekł. R. Grzybowska, Warszawa 1996.

Lovecraft, Howard Phillips, *Koszmar w Red Hook*, w: tegoż, *Reanimator*, przekł. R.P. Lipski, Warszawa 1995.

Lovecraft, Howard Phillips, *Świątynia*, w: tegoż, *Coś na progu*, przekł. R.P. Lipski, Poznań 1999.

Lovecraft, Howard Phillips, *W Górach Szaleństwa*, w: tegoż, *W Górach Szaleństwa,* przekł, R.P. Lipski, Poznań 1999.

Lovecraft, Howard Phillips, *Widmo znad Innsmouth*, w: tegoż, *Kolor z przestworzy*, przekł. R. Grzybowska, Warszawa 1996.

Lovecraft, Howard Phillips, *Zapomniane miasto*, w: tegoż, *W Górach Szaleństwa,* przekł, R.P. Lipski, Poznań 1999.

Lovecraft, Howard Phillips, *Zew Cthulhu*, w: tegoż, *Kolor z przestworzy*, przekł. R. Grzybowska, Warszawa 1996.

Olkusz, Ksenia, *Konglomerat niesamowitości: „Domofon" Zygmunta Miłoszewskiego jako gra z klasycznym modelem literatury weird fiction*, „Literatura i Kultura Popularna" 2009, t. 15.

Olkusz, Ksenia, *Współczesność w zwierciadle horroru. O najnowszej polskiej fantastyce grozy*, Racibórz 2010.

Olkusz, Ksenia, *Gotyckie światy współczesnej grozy*, w: *Światy grozy*, red. K. Olkusz, Kraków 2016.

Tarnowski, Józef, *O estetycznym i artystycznym paradygmacie architektury*, w: *Wizje i rewizje. Wielka księga estetyki w Polsce,* red. K. Wilkoszewska, Kraków 2007.

Rozmowa numeru

Zawsze będzie miejsce na badania nad Lovecraftem

Z S. T. Joshim rozmawia Agnieszka Bukowczan-Rzeszut

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Jako wiodący ekspert w dziedzinie twórczości H.P. Lovecrafta czy jest Pan zdania, że wciąż brakuje studiów nad twórczością „samotnika z Providence"?

S.T. Joshi: Przez ostatnie pięćdziesiąt lat pojawiło się wiele opracowań (w większości w języku angielskim, lecz także w języku francuskim, niemieckim, włoskim i innych), których autorzy badali biografię, twórczość i myśl Lovecrafta w sposób subtelny i dogłębny. Dziś wiemy o Lovecrafcie znacznie więcej niż o innych pisarzach z jego epoki, a to głównie za sprawą bogatej korespondencji, w której z niezwykłą szczerością opowiadał o swoim życiu i poglądach. Obecnie listy te są przygotowywane do publikacji i mogą nam pozwolić lepiej zrozumieć tajemniczego pisarza. Zawsze będzie jednak miejsce na dalsze analizy i badania nad Lovecraftem, którego dzieła przemawiają do konkretnych ludzi, kolejnych pokoleń w różny sposób. Według mnie istnieje potrzeba prowadzenia badań w kontekście czasów, w jakich Lovecraft żył i tworzył, abyśmy mogli lepiej pojąć naturę wpływów społecznych, politycznych i kulturowych, dzięki którym pisał właśnie to, co pisał.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Neil Gaiman, autor *Sandmana*, określanego mianem Lovecraftiańskiego, powiedział kiedyś, że dzieła Lovecrafta są dla nas fascynujące ze względu na „sposób, w jaki [pisarz— A.B.-Rz] pozwala nam ożywiać potwory w naszych głowach". Czy zgadza się Pan z tą opinią i czy mógłby Pan rzucić nieco światła na własne początki zainteresowania twórczością „samotnika z Providence"?

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 53-57.

S.T. Joshi: Podobnie jak wielu wielbicieli Lovecrafta, rozpocząłem przygodę z jego twórczością jako nastolatek, miałem może trzynaście lub czternaście lat. I choć fascynowały mnie owe „potwory", tak różne od wampirów, wiedźm, duchów czy wilkołaków królujących na kartach horrorów, uległem również fascynacji osobą autora. Im więcej się o nim dowiadywałem, tym bardziej czułem, że wiele nas łączy: od zupełnie powierzchownych kwestii, jak bycie kociarzem, po te poważne, jak ateizm czy miłość do przeszłości i dziedzictwa kulturowego. Od wczesnej młodości obrałem sobie za cel pracę nad poprawą naszego zrozumienia Lovecrafta oraz zwrócenie na niego uwagi krytyków głównego nurtu i badaczy akademickich. Tylko w ten sposób mógł zająć należną sobie pozycję w kanonie literatury amerykańskiej i światowej.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: To wtedy rozpoczął Pan własne badania?

S.T. Joshi: Tak, wraz z podjęciem studiów na Brown University. Gdy zacząłem badać niezliczone dokumenty (manuskrypty, listy i inne), napisane przez Lovecrafta i o nim, otworzył się przede mną zupełnie nowy świat. Dostrzegłem, jak wiele jeszcze pozostało do zrobienia w tym obszarze badań. Skupiłem się na wydaniu niepublikowanych dotychczas tekstów (głównie esejów i poezji), a także na przygotowaniu poprawionych wydań jego opowiadań i pozostałych dzieł. Wierzę, że moje wysiłki przez ostatnie cztery dekady pomogły Lovecraftowi zyskać miejsce w kulturze światowej.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Lovecraft powiedział kiedyś, że miłość do tego, co dziwne i fantastyczne, starożytne i trwałe, a także prawdy abstrakcyjnej i logiki naukowej stanowią trzy fundamentalne prawa jego natury. Jak Pan postrzega go po dziesięcioleciach badań?

S.T. Joshi: Choć wciąż bardzo lubię jego opowiadania i nadal uważam je za jedne z najlepszych w swoim gatunku, dziś bardziej interesuje mnie jako intelektualista, postać istotna dla kultury swoich czasów. Przez wiele lat redagowałem listy Lovecrafta i będę nad nimi pracował, dopóki nie zostaną w całości opublikowane, nawet jeśli miałoby to zająć dwadzieścia pięć tomów. Listy te pozwalają odkryć wiele nieznanych faktów dotyczących Lovecrafta, które nie wynikają bezpośrednio z jego twórczości, składając się na obraz wnikliwego komentatora epoki, pasjonata podróżowania, myśliciela, zmagającego się z najtrudniejszymi problemami, przed jakimi staje człowiek.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Czy to się aby nie kłóci z wizerunkiem „samotnika z Providence"?

S.T. Joshi: Lovecraft absolutnie nie był odludkiem, lecz człowiekiem głęboko zaangażowanym w kulturowe prądy swoich czasów. Widział więcej filmów, niż się ludziom wydaje, znał popularne wówczas piosenki. Mam nadzieję, że listy dadzą jego pełny obraz jako człowieka.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Lovecraftiańskie zło wydaje się być nie tyle mistyczne, co biologiczne, jak Pan obszernie argumentował w swoich książkach. A jednak w opisie swoich stworów autor używał takich słów, jak „przeklęte", „bluźniercze" czy „odrażające". Gdzie należy szukać korzeni takich wyobrażeń?

S.T. Joshi: Jestem przekonany, że u jej źródła leży ateizm, nawet pomimo pseudoreligijnego języka, jakim Lovecraft czasem się posługiwał. Jego mity Cthulhu są głęboko ateistyczne w swojej fundamentalnej koncepcji istoty ludzkiej, zdanej na łaskę niepojętych, bezmiernych sił kosmicznych. Jego „potwory" są zaś „bluźniercze" w tym znaczeniu, że podkopują kojące przekonanie o ludzkości jako moralnym i intelektualnym centrum wszechświata. Skoro nie ma boga, nie ma też powodu, by myśleć, że nasz gatunek (czy też życie na Ziemi jako takie) ma w kosmosie jakiekolwiek znaczenie lub cel. Lovecraftiańskie potwory symbolizują otchłań tajemnic, która leży poza naszym poznaniem, gdzieś w najdalszych zakątkach wszechświata.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Napisał Pan kiedyś, że mity Cthulhu mógł stworzyć jedynie ktoś rozumiejący Einsteina, Darwina i Freuda. Czy wiążą się z tym jakieś nowe wyzwania dla współczesnego czytelnika?

S.T. Joshi: Jeśli istnieje jakieś wyzwanie związane z lekturą dzieł Lovecrafta, to jest nim autorski sposób posługiwania się językiem. On nie pisał dla nieuków. Dzięki ogromnemu zasobowi słów starał się precyzyjnie oddać wszelkie zawiłości znaczeniowe, jakich prostym językiem oddać się nie da. Współczesny system edukacyjny, zwłaszcza system amerykański, nie przygotowuje do rozumienia tak złożonej prozy, stąd też biorą się zmagania wielu czytelników z dziełami Lovecrafta i wysiłki w kierunku ich zrozumienia.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Ludzie lekceważą lub krytykują Lovecrafta, bo nie potrafią go zrozumieć?

S.T. Joshi: Właśnie tak: nie rozumieją ani genezy, ani celu jego tekstów. Jednak poglądy, które głosi, są tożsame z przekonaniami, które towarzyszą nam dziś. Dlatego pod pewnymi względami dzieła Lovecrafta są łatwiejsze w odbiorze dla współczesnego czytelnika niż dla osób z jego czasów.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Żyjemy w niestabilnych czasach globalizacji, innowacji technologicznych, konfliktów wojennych, zmian kulturowych i społecznych. Czy Pana zdaniem popularność prozy Lovecrafta można wyjaśnić tym, że czytelnicy i badacze próbują w niej odnaleźć odbicie niepewności naszej epoki?

S.T. Joshi: Uważam, że jedną z przyczyn tego, że dzieła Lovecrafta przetrwały dziesięciolecia, podczas gdy znacznie popularniejsi w jego epoce pisarze odeszli w zapomnienie, jest to, że są one zasadniczo ponadczasowe. Lovecraft skupia się na problemach podstawowych, fundamentalnych dla każdego człowieka. Jakie jest nasze miejsce we wszechświecie? Skąd się wzięliśmy? Czy kosmos jest nam przyjazny, czy może wrogi? Te pytania są dziś żywe, nawet jeśli wiemy o wszechświecie i nas samych znacznie więcej niż pisarz i pod wieloma względami jesteśmy bliżej udzielenia na nie odpowiedzi. Nasz świat wydaje się znacznie bardziej nietrwały i niebezpiecznych niż w czasach Lovecrafta, a sugestia, że człowiek jest czymś przejściowym i nieznaczącym dla historii, wydaje się dziś bliższa prawdy niż stulecie temu.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Czy uważa Pan, że dzieła *gothic fiction* powinny być postrzegane (i badane) jako niezależny obszar, czy może raczej jako podgatunek fantastyki czy nawet *science fiction*? Czy w przypadku Lovecrafta taki podział w ogóle ma rację bytu?

S.T. Joshi: Nie ulega wątpliwości, że *weird fiction* poprzedza *science fiction* i że ugruntowany jest na fundamentalnie różnych zasadach estetyki. Nawet jeśli będziemy poszukiwać genezy *science fiction* u takich pisarzy dziewiętnastowiecznych jak Jules Verne czy Herbert George Wells, to *weird* (lub *gothic*) *fiction* wciąż pozostaje starsza przynajmniej o stulecie. Istnieją także różnice estetyczne. *Weird fiction* jest *de facto* gatunkiem zwróconym ku przeszłości (i to wcale nie jest krytyka). Poprzez powracające motywy i tematykę, w jakiej się porusza, nawiązuje do wierzeń religijnych, mitów czy folkloru.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: A *science fiction*, oczywiście, spogląda w przyszłość?

S.T. Joshi: Tak, poprzez hipotetyczne rozszerzenie naszej wiedzy z zakresu różnych nauk. Lovecraft połączył oba te gatunki w tym sensie, że stworzył „pseudo-mitologię" w oparciu o rozbudowaną przez siebie ówczesną wiedzę naukową. Pisał w 1931 roku: „Nadszedł czas, gdy zwyczajny bunt przeciwko czasowi, przestrzeni i materii musi przyjąć postać inną od jawnej niezgody wobec tego, co wiemy o rzeczywistości — powinien być zobrazowany poprzez uzupełnianie raczej niż zaprzeczanie widzialnemu i mierzalnemu wszechświatowi". Dla niego wampir, duch i inne tradycyjne motywy gatunku *weird fiction* nie były dłużej przydatne, ponieważ stanowiły zbyt oczywiste zaprzeczenie naszej wiedzy o wszechświecie.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: I dlatego stworzył nowe potwory?

S.T. Joshi: Tak. Powołał do życia istoty z najgłębszych zakamarków kosmosu, rządzących się zupełnie innymi prawami. Jego proza zyskuje dzięki temu wiarygodność naukową, która zbliża ją do *science fiction*, pozostając równocześnie w obszarze *weird fiction*, ponieważ Lovecraft traktował owe

istoty jako środek do wzbudzenia raczej grozy niż nadziei, obecnej w wielu dziełach z gatunku *science fiction*.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Obecnie w serwisie Kickstarter jest ogłoszonych ponad dwieście projektów związanych z Lovecraftem, w tym książki dla dzieci, ozdoby świąteczne, piwa, zabawki, filmy. Czy Pana zdaniem istnieje jeszcze jakakolwiek nisza, do której nadnaturalny horror nie sięgnął swoimi mackami?

S.T. Joshi: Mogę dodać jeszcze jeden, świeży przykład: postać Cthulhu pojawiła się nawet w krzyżówce na łamach magazynu *New York Times*! To zabawne, patrzeć na całe to „utowarowienie" elementów zaczerpniętych z twórczości Lovecrafta, ale trudno mi wyobrazić sobie, jak daleko to jeszcze zajdzie. Chciałbym obejrzeć naprawdę dobry Lovecraftiański film, niebędący niszowym kinem niezależnym w rodzaju kapitalnej adaptacji *Koloru z przestworzy* pod tytułem *Die Farbe.* Dzięki prawdziwemu blockbusterowi Lovecraft faktycznie mógłby zaistnieć w kulturze popularnej.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Anegdota głosi, że na British Fantasy Convention w roku 1983, podczas panelu z udziałem Briana Lumleya, Ramseya Campbella i Karla Edwarda Wagnera, pewien starszy jegomość wstał i zadał nieoczekiwane pytanie. Spytał, czy możliwe jest, by to Przedwieczni wykorzystali Lovecrafta do spopularyzowania kultu i przygotowania gruntu pod swój nieunikniony powrót. Jaka byłaby Pana odpowiedź?

S.T. Joshi: Skierowałbym pytającego do najbliższego szpitala psychiatrycznego! Okultystyczna teoria, zgodnie z którą Lovecraft miałby głosić (także nieświadomie) prawdę na temat wymyślonych przez siebie potworów lub zakazanych ksiąg, sięga przynajmniej lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, twórczości Kennetha Granta i innych. W latach trzydziestych sam Lovecraft skontaktował się z mężczyzną nazwiskiem William Lumley, który wysunął dokładnie taką samą hipotezę. Zapewne trudno byłoby uniknąć pojawienia się tego typu pomysłów, lecz oddają one niedźwiedzią przysługę potędze wyobraźni Lovecrafta. Jego głównym atutem jako twórcy *weird fiction* jest odejście od typowych dla gatunku motywów i stworzenie całkowicie oryginalnych istot, których moc budzenia grozy jest znacznie większa niż typowego wampira lub wilkołaka. Co więcej, nie tyle owe istoty, lecz powracający motyw człowieka jako nieposiadającego we wszechświecie znaczenia, stanowi esencję strachu w jego twórczości.

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut: Dziękujemy za rozmowę.

Recenzje naukowe

Formy tekstowości w grach wideo

Tomasz Wójcik

Recenzja książki

Piotr Kubiński, *Gry wideo: Zarys poetyki*

Kraków: Universitas 2016
ISBN: 97883-242-2788-4
ss. 360

Gry wideo – zarys poetyki autorstwa Piotra Kubińskiego to w dorobku polskiej literatury pozycja w sposób najbardziej szczegółowy poświęcona badaniom nad grami komputerowymi i wideo pod względem ich tekstualności, jak i analizy ich designu. Jej wybitność wynika również z faktu, że w polskim groznawstwie i w gronie Polskiego Towarzystwa Badania Gier dominuje refleksja nad „pozakomputerowymi" odmianami gier. Poruszając temat poetyki w grach wideo, autor wychodzi poza tekstowość i podkreśla znaczenie graficznych interfejsów użytkownika, trendów kulturowych, a także narracji w ogóle, ilustrując każdy przypadek z osobna. Kubiński, dokonując ujęcia porównawczego, przedstawia problematykę w przekonujący sposób, ukazując przy tym tendencje i przemiany zachodzące we współczesnych formach tekstowości. Choć tytuł mógłby wskazywać na to,

Tomasz Wójcik — mgr, zainteresowany psychologią tworzenia awatara i projektowaniem osobowości grach; od 2015 roku współpracuje z Crimson Pine Games; laureat stypendium Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego; członek Polskiego Towarzystwa Badania Gier; redaktor działu gier czasopisma naukowo-literackiego „Creatio Fantastica".

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 59-62.

że autor będzie analizował medium gier wyłącznie w kontekście fenomenów tekstowych, to wychodzi poza nie, nawiązując do formy przekazu i mechaniki określonych gier.

Kubiński rzetelnie przedstawia omawiany temat, od początku poświęcając sporo miejsca podstawom teoretycznym. We wstępie pokrótce przedstawia historię badań ludologicznych, która – choć jest najmniej nowatorskim fragmentem całego dzieła – to stanowi obowiązkowy element wprowadzenia w książce poświęconej tej tematyce. Co prawda autor wielokrotnie nawiązuje do klasycznej monografii Johana Huizingi[1], którego esencjonalne myśli współcześnie bywają uznawane za przestarzałe ze względu na kierunek, jaki obrało kulturoznawstwo. Książka Kubińskiego jest nowoczesna metodologicznie, korzysta z dorobku medioznawstwa (Janet Murray, Henry'ego Jenkinsa, Lva Manovicha, z Polski Mirosława Filiciaka) i groznawstwa, ale także zachodniej narratologii (Marie-Laure Ryan), semiotyki (Umberto Eco), hermeneutyki (Hans-Georg Gadamer) czy szeroko rozumianej teorii literatury. Nierzadko w funkcji przykładu autor wykorzystuje rodzime tytuły studia Techland, CD Projekt RED i innych mniej znanych niezależnych polskich deweloperów.

Trzon *Gier wideo* stanowi rozdział poświęcony immersji (*Immersja jako wyznacznik poetyki gier wideo*). Coraz więcej badaczy gier dostrzega, że kolejne zasady pozwalające na zdefiniowanie tego, co można nazwać grą, przestają być aktualne. Podejście redukcjonistyczne zakłada zatem, że zgodnie z definicją grą jest pewien wytwór, którego osoba jest użytkownikiem, a nie tylko biernym odbiorcą. W tym wypadku zasady definiujące gry zaproponowane przez badaczy *game studies*, jak na przykład konieczność występowania reguł, punktów czy wygranej[2] przestają mieć znaczenie. Jest to o tyle istotne dla omawiania zagadnienia immersyjności, że gry wprowadzają nowy rodzaj partycypacji w stosunku do dotychczas istniejących mediów (literatura, film, telewizja), co niesie trudne do przecenienia konsekwencje tekstowe[3]. Wymagają one od gracza podejmowania decyzji, które niosą ze sobą określony skutek. Kubiński, rekapitulując rozwój sztuk wizualnych, tłumaczy w jaki sposób funkcjonowała immersyjność dzieł przed kilkoma tysiącami lat i w jaki sposób naturalnie wyewoluowała ona do postaci gier wideo jako forma transgresywnych poszukiwań.

[1] Johan Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, przekł. Maria Kurecka, Witold Wirpsza, Warszawa 2007.

[2] Jesper Juul, *Without a goal*, Manchester University Press 2007.

[3] Zob. Marie-Laure Ryan, *Narrative as virtual reality 2: revisiting immersion and interac-tivity in literature and electronic media*, Baltimore: Johns Hopkins University Press 2015 oraz Krzysztof M. Maj, *Czas światoodczucia: imersja jako nowa poetyka odbioru*, „Teksty Drugie" 2015, nr 3, ss. 368-394 .

W kolejnej części monografii autor opisuje tytułowe *Efekty emersyjne*, czyli takie, które „...osłabiają odbiorcze wrażenie bezpośredniej obecności w świecie diegetycznym" (s. 69). Innymi słowy, jest to stosowanie takich technik, które mogą być niespójne ze sposobem, w jaki percypuje się gry (lub przewiduje progresję fabuły), co albo wywołuje u odbiorcy uczucie ekscytacji, albo zniechęca do kontynuowania rozgrywki. Mogą to być na przykład *easter eggs* związane z pochodzeniem producenta, jak i modne ostatnio „burzenie czwartej ściany", które w grach (ze względu na podejmowanie przez użytkownika świadomych decyzji) przejawia wyjątkowo silne oddziaływanie.

Jeden z ostatnich rozdziałów monografii poświęcony (*Znakowy aspekt graficznych interfejsów użytkownika – język współczesności*) jest graficznym interfejsom użytkownika (GUI), czyli – w pewnym uproszczeniu – growemu menu, oraz temu, co użytkownik medium gier dostrzega na ekranie w trakcie prowadzenia rozgrywki (HUD). Kubiński wskazuje, że elementy te pełnią rolę zarówno komunikacyjną, jak i narzędziową. Tym samym badacz podkreśla, że można mówić, iż graficzne interfejsy użytkownika tworzą pewien język, który stał się ważną cechą wspólną gier reprezentujących różne gatunki. Bez wątpienia interfejsy są niezwykle istotnym elementem sposobu odbioru rozgrywki, jednak zmieniają się one diametralnie i uzależnione są od znacznie większej ilości czynników, niż tylko od gatunku gry, do której są przystosowywane. Zależą od jej silnika, rodzaju platformy, domyślnego użytkownika, stylu graficznego studia i przede wszystkim wynikają po prostu z *game design*. Autor podjął trudny temat, którego głębsza analiza potwierdzona omówieniem większej ilości przykładów byłaby bez wątpienia interesującym rozwinięciem tego wątku.

Chociaż badania nad cybertekstualnością w grach trwają od prawie dwudziestu lat – o czym świadczy zdanie Aarsetha Espena: „Stwierdzić, że nie ma różnicy między grami a narracjami, to tak jakby zignorować istotne właściwości obydwu kategorii"[4] – to jednak w polskiej literaturze ludologicznej nie ukazała się do tej pory żadna praca tak obszernie opisująca to zagadnienie. Poetyka gier to temat nienowy, lecz wydaje się, że podejście Kubińskiego zawiera podsumowanie zagadnień wypracowanych w dziedzinie badań nad grami uzupełnione o własne teorie, które również zostają poddane dyskusji. Autor umiejętnie ilustruje sposób „migrowania" innych mediów do gier wideo i odwrotnie, co sprawia, że monografia może być ciekawa nie tylko dla przedstawicieli *game studies*, ale i specjalistów zajmujących się nowymi mediami czy samym zagadnieniem intermedialności.

[4] Espen Aarseth, *Cybertext: Perspectives on Ergodic Literature*, Baltimore: John Hopkins University Press 1997.

Bibliografia

Aarseth, Espen, *Cybertext: Perspectives on Ergodic Literature*, Baltimore: John Hopkins University Press 1997.

Huizinga, Johan, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury,* przekł. Maria Kurecka, Witold Wirpsza, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN 2007.

Juul, Jesper, *Without a goal*, Manchester: Manchester University Press 2007.

Maj, Krzysztof M., *Czas światoodczucia: imersja jako nowa poetyka odbioru*, „Teksty Drugie" 2015, nr 3, ss. 368-394.

Ryan, Marie-Laure, *Narrative as virtual reality: immersion and interactivity in literature and electronic media*, Baltimore: Johns Hopkins University Press 2001.

Ryan, Marie-Laure, *Narrative as virtual reality 2: revisiting immersion and interactivity in literature and electronic media*, Baltimore: Johns Hopkins University Press, 2015.

Litterrarium

Przyjmujący Nowe

Benjamin Rosenbaum

Słońce prażyło, wóz skrzypiał i trząsł. Vru przykucnął blisko baldachimu swego pana. Futro ociekało mu potem. Jego Ghennungi pełzały pośród włosów w poszukiwaniu cienia. Za każdym razem, gdy jeden z nich odrywał się od skóry, Vru czuł nagłą utratę wspomnień, jakby wyrwano mu kończynę.

Nie po raz pierwszy Vru zmuszony był roztrząsać swoje ubóstwo. Miał zaledwie pięć Ghennungów. Trzy były z nim od urodzenia, jednego nosił wcześniej jego ojciec, a najstarszego także dziadek. Raz jeden, gdy obydwa starsze Ghennungi oderwały od niego kły, by przemieścić się po jego brzuchu, na chwilę zniknęło sześćdziesiąt lat wspomnień – pracy z kamieniem, uprawiania miłości z babką i matką, zmartwień o terminowanie i pojedynków. Doświadczył wtedy dziwnego, przyprawiającego o zawrót głowy uczucia, że zna zaledwie dwadzieścia lat życia swojego własnego ciała.

Benjamin Rosenbaum — amerykański autor opowiadań *science fiction* i *fantasy*. Jego teksty były nominowane do Hugo czy Nebuli (za *Przyjmującego Nowe*), Theodore Sturgeon Award, World Fantasy Award i BSFA Award. Z wykształcenia jest informatykiem, projektował oprogramowanie dla amerykańskiego rządu. Jest jednym z założycieli Digital Addiction (firmy, która stworzyła grę online *Sanctum*). Obecnie mieszka w Waszyngtonie.

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 65-73.

— Plugawy dzień — rzekł Khancriterquee. Wiekowy rzeźbiarz bogów, spoczywający bezładnie na stercie futer pod baldachimem, przywołał go gestem pazura. — Plugawe słońce. Chłopcze! w karmazynowej flaszce jest chłodzący olejek. Rozsmaruj mi go trochę, ale uważaj, żeby ani odrobiny nie rozlać.

Vru odnalazł olejek i rozsmarował go po przedwiecznej skórze swojego pana. Khancriterquee był rozdęty, a pośród futra prześwitywały mu wyłysiałe placki. Śmierdział jak gnijące w słońcu martwe bestie. Chwytne ręce Vru wzdragały się przed dotykiem. Pan umierał, a kiedy umrze, wraz z nim zniknie pewność Vru co do swojego miejsca na ziemi.

Na skórzanych rzemykach wokół szyi Khancriterquee i Vru nosili Rozkosznie Piękną – pulchną, gładką i roześmianą – boginię z dwudziestoma siedmioma Ghennungami tańczącymi na jej ciele, wyrzeźbioną w twardym, szarym kamieniu. To Khancriterquee wykonał obie kopie. Jakie to dziwne, że bogini piękna zdecydowała dać się stworzyć tak brzydkiemu i napuchniętemu cielsku!

Khancriterquee otworzył przekrwione oczy.

— Nie jesteś rzeźbiarzem bogów — zachrypiał.

Vru trwał nieruchomo. Co zrobił źle? Pan był próżny – czyżby dostrzegł jego obrzydzenie? Czy Khancriterquee odeśle go w hańbie z powrotem do domu jego ojca, do zaganiania świniowców, gdzie nigdy się nie ożeni, a kiedy jego ciało stanie się już niedołężne, będzie musiał poszukać jakiegoś siostrzeńca, który z litości przyjmie kilka jego wspomnień?

— Czy wiesz, dlaczego zagarnęliśmy te tereny? — zapytał pan. Odsuwając kotarę, wskazał na jałowe, czerwone granie, widoczne wokół nich za burtą wozu.

— Pokonaliśmy Bezbożnych w bitwie, ponieważ sprzyjają nam bogowie, mój panie — wyrecytował Vru.

Khancriterquee parsknął.

— To nie tak, że bogowie nam sprzyjają. To my sprzyjamy im.

Vru nie zrozumiał. Pochylił się zatem, by rozmasować ciało pana. Khancriterquee odepchnął jego chwytne ręce pazurem i usiadł, dysząc. Wpatrywał się we Vru ze wstrętem.

Vru uświadomił sobie, że stuka o siebie pazurami, więc zmusił się, by przestać. Pan go obserwował – zapamiętując każde wzdrygnięcie Vru w Ghennungach, które niebawem nosić będą czeladnicy.

Vru wyprostował się.

— Panie, jest coś, czego nigdy nie zrozumiałem.

Oczy Khancriterquee'ego rozbłysły zainteresowaniem, czy może podejrzliwością.

— Jak Bezbożni mogą naprawdę być bezbożni?

Pan zasępił się.

— Mam na myśli... Jak ktoś bez żadnego boga może nie popaść w szaleństwo, przyjmując nowe Ghennungi? — Vru pamiętał dzień, w którym przyjął Rozkosznie Piękną jako swoją boginię, cel swojego życia i oddania. Kiedy medycy delikatnie oddzielali Ghennungi od stygnących zwłok ojca w wielkiej sali poniżej, on chciał kurczowo trzymać się dzieciństwa, poczekać z wyborem boga. Kapłan udzielił mu jednak surowego pouczenia – ponieważ bez boga osoba jest jedynie zmiennym zbiorem wspomnień. Lojalność, pragnienia i przekonania poszczególnych jego Ghennungów walczyłyby ze sobą, a on sam miotałby się niczym łódka podczas stuletniego sztormu.

— Och, mój uczeń jest ambitny — wyszeptał Khancriterquee. — Pan jest stary i słaby. Może to uczeń powinien uczestniczyć w moim imieniu w wysokiej radzie wojennej. Może powinien poznać tajemnice naszej wojny przeciwko Bezbożnym...

— Panie, nie miałem na myśli....

— Bezbożni nie wymieniają się Ghennungami — rzekł Khancriterquee.

— Co?

— Może robią to, gdy są bardzo młodzi — stwierdził Khancriterquee, machając chwytnymi rękami — albo wymieniają się konkretnymi umiejętnościami, bez innych wspomnień, używając do tego Ghennungów okaleczonych w jakiś sposób. Nie jesteśmy pewni. Ale zwykle, kiedy umierają — zamilkł, obserwując reakcję Vru — ich Ghennungi zostają zniszczone. Właśnie dlatego wygrywamy bitwy. Ich najlepszy żołnierz jest zaledwie tak stary jak jego ciało.

Vru nagle poczuł, że robi mu się niedobrze. Gorzkie, piekące płyny z jego żołądka przelały mu się do gardła. Bezbożni celowo mordowali się, gdy umierały ich ciała!

— A teraz powiem ci, dlaczego nie jesteś rzeźbiarzem bogów, jeśli mój ambitny uczeń ma czas posłuchać — oznajmił Khancriterquee. Postukał pazurem w Rozkosznie Piękną na szyi Vru. — Rzeźbienie kopii, by ludzie nie zapomnieli swoich bogów i zachowali zdrowe zmysły, nic nie znaczy. Czas, byś wyrzeźbił nowego boga, tak jak ja wyrzeźbiłem Nieustraszenie Sprawiedliwego, a mój dziad Rozkosznie Piękną. — Na powrót opadł na futra i zamknął oczy. — Monument zostanie odsłonięty na Festiwalu Hrsh. Użyjesz tego nowego, zielonego kamienia.

Vru w milczeniu obserwował, jak jego pan śpi. Słyszał bicie własnego serca.

Żaden z czeladników Khancriterquee'ego nie otrzymał pozwolenia na stworzenie boga, nawet Turmca. Czemu miałby pozwolić na to uczniowi? By zawstydzić i zakpić z czeladników — by ukarać ich za niecierpliwe wyczekiwanie na jego śmierć? Czy też pan uznał, że Vru ma tak wielki talent?

***

Odarci pracowali w nowych kopalniach, wycinając ze ściany klifu zielony kamień. Futro ogolono im z powodu gorąca. Wielu z nich miało zakrwawione, uszkodzone na kamieniu pazury. Vru próbował odwrócić wzrok. Rzadko widywał tak wielu Odartych naraz. Ich ciała były umięśnione, silne... i pozbawione Ghennungów. To było potworne, a jednak coś w tych pustych przestrzeniach skóry przemawiało do niego, niczym połać nienaruszonego śniegu.

Zielony kamień błyszczał w otoczeniu szarej skały. Khancriterquee cały dzień wrzeszczał na zarządców. Po co używać tych zidiociałych Odartych? Rozumieli wystarczająco wiele, by byli przydatni w starszych kopalniach, przy zwykłym, szarym kamieniu. Ale ten cudowny, nowy, zielony kamień, w którym będzie można wyrzeźbić tak wiele szczegółów — kamień idealny dla bogów, wyrwany Bezbożnym — był trudny do wydobycia, a oni nie byli w stanie się tego nauczyć. Jak dotąd zniszczyli każdy większy kawałek.

— Są bezużyteczni! Bezużyteczni! — krzyczał na zarządcę Khancriterquee. — Dlaczego nie sprowadzisz prawdziwych ludzi?

— To wydobywanie kamienia — odpowiedział uparcie zarządca. — Prawdziwi ludzie tego nie zrobią, o świętobliwy.

— Vru! Bezużyteczny chłopcze! Ty też stoisz jak jakiś Odarty! — w oczach pana pobłyskiwała nienawiść. — Przyprowadź mi tamtego — rzekł, wskazując na wielkiego Odartego, ryjącego monotonnie w pobliskim kamieniu, każdym uderzeniem pazurów rozłupującego na dwoje drogocenne kawałki kruszcu.

Vru przyprowadził go do pana. Odarty był uległy – wystarczyło tylko dotknąć pazurami jego dziwnej, gołej skóry. Idąc, nieco dyszał. Pazury miał poszarpane i wyglądał na głodnego. Vru pragnął objąć jego mocne ciało chwytnymi rękami, wyszeptać mu do ucha uspokajające słowa – i próbował ignorować te szalone, głupie myśli.

— Pochyl tu jego głowę — zachrypiał Khancriterquee.

Vru popchnął Odartego w dół, by ten uklęknął obok jego pana. Czy pan miał zamiar coś mu wyszeptać? Jak to miało pomóc?

Zarządca stał niedaleko, ze złości przestępując z nogi na nogę, a Khancriterquee przesunął swymi wiekowymi pazurami po miękkim meszku na szyi Odartego. Ten w odpowiedzi spojrzał z powagą i strachem. Khancriterquee zacisnął pazury, z wysiłkiem i stękaniem przebijając nimi skórę. Odarty szarpnął się, zadrżał i wydał z siebie przejmujący krzyk. Zarządca z przekleństwem rzucił się do przodu. a potem rozległ się trzask i głowa Odartego stoczyła się z ciała, ono zaś osunęło się na ziemię. Na Khancriterquee'ego trysnęła krew.

— Oszalałeś? — wrzasnął zarządca, zapominając się. Chwilę później na jego oblicze wypłynęła zgroza, a on sam padł na ziemię, zanurzając twarz w pyle. — Uświęcony, błagam... — zajęczał.

Pan zachichotał, zapewne zadowolony, że jego stare pazury nadal potrafią nieść śmierć. Zastukał nimi o siebie. Krew była czarna.

— Sprowadź do pracy w tej kopalni prawdziwych ludzi — rzekł z niezadowoleniem. — Te obrzydlistwa do niczego się nie nadają.

Vru zwymiotował w pył.

— Na twój monument potrzebujesz kamienia w całości! — oznajmił pan. — Głupi chłopak. a teraz mnie oczyść.

***

Zielony kamień stanowił cud. Pewnego spokojnego, błękitnego dnia miesiąc później, pośród kłębów mgły pełznących przy ziemi i ulatujących w niebo, Vru stanął w wyrobisku do rzeźbienia w siedlisku Khancriterquee'ego, naprzeciw monolitu z kopalni. Rzeźbienie w nim było niczym sen o potędze. Kamień śpiewał mu pod pazurami oraz młotem i pilnikiem w jego chwytnych rękach.

Przez ostatnie tygodnie Vru wracał do sali sypialnej jedynie na wieczorny posiłek i sen. Ta praca bardzo różniła się od wykonywania kopii bogów. Khancriterquee miał rację – dotąd Vru nie był rzeźbiarzem bogów, a jedynie kopistą. Teraz pod jego pazurami nabierał kształtu nowy bóg.

Gdy Vru na niego spojrzał, poczuł się, jakby posiadał tysiąc Ghennungów o wspomnieniach tak starych jak Ghennungi Wyroczni. On sam, dziewiąty syn biednego budowniczego zamków, nigdy nie odważyłby się wykonać czegoś tak szokująco prawdziwego. Był pewien, że to jakieś bóstwo działa poprzez niego, choć nie była to Rozkosznie Piękna, ale nowy bóg, którego znał tylko on, który korzystał z jego pazurów, by pomóc sobie narodzić się z zielonego kamienia.

Vru zdecydował, że bóg ten nosi miano Przyjmującego Nowe. Był to cudowny i straszny posąg. Przedstawiał osobę pozbawioną Ghennungów jak jeden z Odartych albo wygnany przestępca, pochylającą się, by delikatnie i z czułością dotknąć pazurem Ghennunga na ziemi. Vru wiedział, że w kolejnej chwili osoba uniesie Ghennunga swymi chwytnymi rękoma i przyciśnie go do piersi. Następnie Ghennung zatopi kły, odnajdując żyły i nerwy. Słodka masa wspomnień odciśnie się na świadomości osoby: pierwsze myśli, nowa tożsamość.

Vru spojrzał w dół na swe chwytne ręce. Drżały. Nie czuł się zmęczony. Chciał śpiewać. Nie odpoczywał jednak od dwudziestu dziewięciu godzin. Nie mógł pozwolić sobie na pomyłkę.

Zakrył boga płachtą i ruszył ścieżką do sali sypialnej. Kiedy wychodził z wyrobiska do rzeźbienia, uścisk boga zelżał, a w jego kończyny wlało się zmęczenie. Ledwie miał siłę unieść pazury.

Cień przemknął przed nim, kiedy przechodził przez pusty, wiosenny pawilon. Zatrzymał się. W ciemności słyszał nierówny oddech.

— Kto tam jest? — zapytał.

Czeladnik Turmca wyszedł na światło dzienne.

Vru rozluźnił się.

— Przestraszyłeś mnie, Turmca! — oznajmił. Już wymawiając te słowa zauważył, że Turmca nie nosił na szyi Rozkosznie Pięknej, tylko Nieustraszenie Sprawiedliwego, boga-żołnierza. — Dlaczego...?

Czeladnik zrobił niepewny krok w jego stronę. Jego oczy były dziwnie puste. Może był pijany?

— Jak leci, Vru? — zapytał. — Jak tam twoja praca? — Zaklekotał o siebie pazurami i wzdrygnął się, jakby zaskoczony swoim własnym gestem.

— Dobrze się czujesz, Turmca? — zapytał Vru, robiąc krok w tył.

— Miło, że pytasz — odrzekł Turmca, ruszając chwiejnie do przodu. Vru cofał się przez placyk pawilonu. Turmca był od niego mniejszy, ale za to dobrze odżywiony, o mięśniach ukształtowanych latami rzeźbienia bogów.

— Chciałbym cię o coś zapytać — odezwał się Vru. — Turmca, kiedy pan.... odejdzie, czy rozważyłbyś przyjęcie mnie? Byłbym wdzięczny, gdybyś...

Turmca wybuchnął głośnym, histerycznym śmiechem. Pochylił się i uniósł pazury do oczu, a jego ciałem wstrząsnęły drgawki. Potem spojrzał na Vru.

— Wszystkie trafią do ciebie — powiedział.

Vru zamrugał.

— Khancriterquee powiedział tak Panu Singerowi. Podsłuchałem ich. Będziesz nosił wszystkie jego Ghennungi. Nie chce, by jego wspomnienia osłabły przez rozdzielenie ich pomiędzy czeladników, a przynajmniej, wedle jego słów, nie tego chce Rozkosznie Piękna.

— Turmca, to szaleństwo. Nie mam talentu....

Turmca rozwarł pazury. Świeżo wyczyszczone i naostrzone, błysnęły wyraźnie.

— Talentu! Ty głupcze! Nie wybrał cię dla twojego talentu! Wybrał cię z powodu twoich ledwie pięciu Ghennungów i słabej, uległej natury. Chce dalej trwać jako on sam! Twoje wspomnienia nie sprawią mu żadnych trudności!

Turmca wysunął do tyłu prawą stopę, chwytne ręce uniósł, by osłonić Ghennungi na swojej piersi. Vru widział już taką postawę, gdy jego brat, Viruarg, ćwiczył musztrę. Była to postawa żołnierza.

— Turmca....

Vru rzucił się w tył, kiedy Turmca zaatakował, ale zrobił to za wolno – czubki pazurów rozdarły mu bok. Vru nie brał udziału w walce od czasu, gdy był dzieckiem, kiedy grał w thakkę na piaszczystym poletku. Pochylił się nisko i zaszarżował do przodu, uważając na pazury wroga i próbując uderzyć go całym ciałem. Turmca zrobił jednak unik, a jego chwytne ręce wystrzeliły, by sięgnąć uszu przeciwnika. Pod Vru ugięły się nogi i padł na ziemię zalany bólem.

Turmca nie walczył jak amator. Musiał pożyczyć albo wynająć Ghennungi od żołnierza. Nie był też pijany. Jego szklisty wzrok należał do kogoś, kto nie połączył w jedno swych Ghennungów i toczył wojnę w głębi duszy. Dla jego pragnienia zabicia Vru wystarczyło i tyle zjednoczenia.

— Wstawaj, Vru — zawarczał Turmca głosem żołnierza, głosem wyznawcy Nieustraszenie Sprawiedliwego, który chciał zabić z honorem. a potem odezwał się łagodniej, jak czeladnik instruujący młodego ucznia: — Zrobię to szybko.

Vru czuł, jak w jego mięśniach śpiewa wszechogarniające wyczerpanie. Wiedział, że jeśli zawoła o pomoc, Turmca zabije go i oddali się, zanim jakakolwiek nadejdzie. Słyszał ostrożne kroki, gdy ten, szurając, zbliżał się do miejsca, gdzie Vru leżał na piasku. Bogini, pomóż mi, modlił się.

Ale to nie Rozkosznie Piękna mu pomogła. To musiał być ten nowy bóg, który pragnął zostać wyrzeźbiony – Przyjmujący Nowe. Bowiem zrobił coś, czego Vru nie zrobiłby nigdy. Przyjmujący Nowe uniósł ciało Vru i zaatakował, a jego pazury wystrzeliły i przecięły rzemyk, na którym Turmca nosił na szyi Nieustraszenie Sprawiedliwego. Turmca, w tym momencie bezbożny, wrzasnął. Vru złapał spadającego boga i cisnął nim w ciemność pawilonu. Turmca sięgnął pazurami w stronę Vru, ale jego ciało odwróciło się i rzuciło za swoim bogiem. Vru pobiegł do siedliska pana.

***

Po tygodniu postu Vru powrócił prosto na Festiwal Hrsh. Był słaby, ale czuł się oczyszczony i gotowy wykonać swe zadanie. Kiedy Przyjmujący Nowe zostanie odsłonięty, Vru wreszcie przyniesie zaszczyt swojej rodzinie.

Siedział na scenie obok Khancriterquee'ego. Przed nimi stał zakryty płachtą monument. Vru tęsknił za widokiem Przyjmującego Nowe, ale musiał poczekać na ujawnienie boga. Nagle zaczął zastanawiać się, co ujrzą pozostali. Odartego albo przestępcę jako boga, sięgającego po zakazanego Ghennunga? Gdyby ten bóg nie wyrzeźbił się jego własnymi rękami, sam byłby zbulwersowany. Zadrżał. a co, jeśli nie zobaczą w tym boskiej ręki? Co, jeśli wyrzeźbił herezję? Próbował skupić się na Rozkosznie Pięknej, by pozwolić jej kształtować się niczym garncarz formujący glinę na kole garncarskim, ale jego głowa pełna była obrazów. Silni i piękni Odarci, pracujący przy zielonym kamieniu. Okrwawiona głowa tocząca się w kopalnianym pyle. Bezbożni i ich dziwne, złe zwyczaje. Wyobraził sobie, jak Odarty z jego posągu sięga, by ich powitać. Siedział tak sztywno, z głową pełną dziwnych myśli, aż nadszedł czas.

Wzywał go kapłan. Vru zerwał się na nogi i chwiejnie przeszedł przez scenę. Zgromadzony wokół tłum pochylił się do przodu. Kilkoro ludzi uciszyło dzieci, potem wszystko zamarło. Sięgnął i szarpnął płótno na Przyjmującym Nowe, a z tłumu wyrwał się krzyk.

Ale to nie był Przyjmujący Nowe.

Kształt pozostał podobny. Był to ten sam zielony kamień, w którym z taką miłością rzeźbił, ale na skórze posągu wyrzezano wyraźne wybrzuszenia Ghennungów. Siedemnaście, jak numer nowego boga. Sięgający pazur już nie muskał upadłego Ghennunga. Zamiast tego płonął i miażdżył malutkiego żołnierza Bezbożnych.

W kamieniu widać było odważne, gładkie ciosy ręki pana.

Ludzie bili brawo. Vru odwrócił się, by spojrzeć na Khancriterquee'ego.

Szczęki pana rozciągały się w pełnym satysfakcji uśmiechu zadowolenia. Dodałem to, o czym zapomniałeś, mówiły jego oczy. To nie było złe dzieło, ale przekaz był niewłaściwy. Naprawiłem to.

A jakie to ma znaczenie, powiedział Khancriterquee w wyobraźni Vru. Jakie to ma znaczenie? Patrzył na Vru, zadowolony z siebie. Okazałeś się mnie warty. Już niedługo to ciało upadnie, a ty poniesiesz moje Ghennungi. Wszystkie moje wspomnienia, całą moją potęgę. Staniemy się jednym. a wtedy będziemy rzeźbić tak, jak Rozkosznie Piękna poprowadzi naszą dłoń.

Z miejsca w którym stał, Vru prawie wyczuwał odór rozkładu, jaki wydzielała skóra Khancriterquee'ego. Pan umierał, lecz pan nie umrze. Nawet niewiele się zmieni. Vru wiedział, że jego pięć słabych Ghennungów nie mogło równać się z szesnastoma, którymi dysponował Khancriterquee. Jego własne wspomnienia były niczym niewyraźne szepty na tle ryku. Któreś z nich zostaną pewnie wyłuskane, jako że dwadzieścia jeden to za dużo nawet dla tak młodego ciała. Może coś pozostanie — może jego pracowitość, może uwielbienie dla kamiennych powierzchni; ale kiedy pomyśli o tym, jak Khancriterquee urzynał głowę Odartemu w kopalniach, będzie to szesnaście głośnych i zadowolonych głosów przeciwko może trzem cichym i przerażonym.

Powinien być szczęśliwy. Jego boginią była Rozkosznie Piękna. Dlaczego nie cieszył się, że największy rzeźbiarz bogów będzie tworzył majestat, pracując za pomocą jego rąk, jego pazurów? Jakie to miało znaczenie, że jego wspomnienia się rozwieją? Pamiętał widok siebie jako gaworzącego dziecka w chwytnych ramionach Matki. Dziewiąty, niechciany syn. Pamiętał głaskanie Matki po czole, gdy ta trzymała niemowlę.

— Nie otrzyma dziedzictwa — powiedziała.

— Coś dla niego znajdziemy — odpowiedział. — Może kapłaństwo. Będzie miał jednego z moich Ghennungów.

— Dwa — odrzekła Matka.

Spojrzał gniewnie na płaczące, mizerne dziecko. Dwa? — pomyślał. — Ten cherlak?

Vru przetrwał oklaski i wrócił się, by ponownie usiąść obok Khancritequee'ego. Odór był nie do zniesienia.

Wolę zostać Bezbożnym, uświadomił sobie Vru. Wolę umrzeć raz na zawsze, niż stać się Khancriterquee'em.

***

— Niech wszyscy usłyszą decyzję Wyroczni — zakrzyknął herold. — Winny zdrady, herezji i próby dezercji na stronę wroga. Ciało jest niewinne i zostanie oszczędzone, ale jest niezdolne do dźwigania wspomnień. Niech zostanie wygnane w dzicz. Wspaniałomyślna jest Wyrocznia.

Przytrzymywali go, ale Vru się nie szarpał. Był wiotki i spocony. Spojrzał na swoją pierś. Dziwnie było zobaczyć tam Rozkosznie Piękną. Znowu poczuł się jak dziecko.

Ciągle widział Przyjmującego Nowe takim, jakim go pozostawił – z odłupanymi Ghennungami. Czy zabił boga? Ale to był fałszywy bóg, potworność!

Medycy oderwali Ghennunga od jego skóry. Patrzył, jak ten skręca się i płonie. Wydaje z siebie dziwny, syczący dźwięk. Strach wypełnił mu trzewia niczym napełniany powietrzem balon. Oderwali kolejnego Ghennunga, tego należącego do jego dziadka. Jak wyglądała jego babka? Potrafił przypomnieć ją sobie tylko jako staruszkę. Smutno, jakże smutno. Za młodu musiała być piękna. Czyż często tak nie mawiał?

Zabrali kolejnego. Potrzebował boga, który by go kształtował, ale nie był w stanie myśleć o Rozkosznie Pięknej. Zdradził ją. Pomyślał o Przyjmującym Nowe, tym prawdziwym, odartej postaci sięgającej po nadzieję. O tak, pomyślał. Zabrali następnego Ghennunga. Czernienie i skręcanie się w ogniu. Vru, pomyślał. Mam na imię Vru. Sięgnęli po ostatniego Ghennunga. Przyjmujący Nowe, pomyślał, ciało z zielonego kamienia. Pamiętaj.

Bestia stała na dziedzińcu. Wiatr był chłodny, a las pachniał wiosną. Będzie na co polować. Przytrzymywali ją inni. Pachnieli jak jego klan, więc ich nie atakowała. Puścili ją.

Rozejrzała się. Był tam jeden paskudny starzec, który cuchnął i wyglądał na złego czy smutnego. Inni wymachiwali pazurami i krzyczeli. Zasyczała w odpowiedzi i zamachała własnymi. Było ich jednak zbyt wielu, by walczyć. Pobiegła.

Skierowała się w stronę pachnącego wiosną lasu. Będzie na co polować.

Z języka angielskiego przełożyła Magdalena Grajcar

Pomarańcza

Benjamin Rosenbaum

Pomarańcza władała światem.

Taka tymczasowa abdykacja Niebiańskiej Opatrzności, z przekazaniem wszystkiego zwykłej pomarańczy była wielce nieoczekiwana.

Pomarańcza w gaju na Florydzie z pokorą przyjęła ten zaszczyt. Inne pomarańcze, ptaki i mężczyźni na traktorach zapłakali ze szczęścia. Silniki traktorów wywarkiwały dziękczynne pieśni.

Piloci samolotów przelatujących ponad gajem zataczali nad nim kręgi.

— Pod nami znajduje się gaj, gdzie na zwykłej gałęzi rośnie pomarańcza, która włada światem — mówili pasażerom. Ci milkli z szacunkiem.

Gubernator Florydy ogłosił świętem każdy dzień. W letnie popołudnie Dalajlama przychodził do gaju i siadał przy pomarańczy, by rozmawiać o życiu.

Gdy nadszedł czas, by pomarańcza została zerwana, żaden z sezonowych pracowników nie chciał tego zrobić. Ogłosili strajk. Zarządcy szlochali. Inne

Benjamin Rosenbaum — amerykański autor opowiadań *science fiction* i *fantasy*. Jego teksty były nominowane do Hugo czy Nebuli (za *Przyjmującego Nowe*), Theodore Sturgeon Award, World Fantasy Award i BSFA Award. Z wykształcenia jest informatykiem, projektował oprogramowanie dla amerykańskiego rządu. Jest jednym z założycieli Digital Addiction (firmy, która stworzyła grę online *Sanctum*). Obecnie mieszka w Waszyngtonie.

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 75-76.

pomarańcze przysięgały, że zgorzknieją. Ale pomarańcza, która władała światem, rzekła:

— Nie, przyjaciele. Nadszedł czas.

Wreszcie przyprowadzono człowieka z Chicago, o sercu tak szumnym i zimnym jak jezioro Michigan zimową porą. Odstawił on walizkę, wspiął się na drabinę i zerwał pomarańczę. Ptaki zamilkły, chmury rozwiały się. Pomarańcza podziękowała człowiekowi z Chicago.

Mówiono, że kiedy pomarańcza przeszła przez krajowy system przetwarzania i dystrybucji produktów rolnych, pewne maszyny zmieniły się w złoto, pewni kierowcy ciężarówek doznali objawienia, a starzejący się kierownicy wiejskich sklepików dzwonili do córek-lesbijek, z którymi zerwali kontakt i wszyscy wszystko sobie wybaczali.

Trzy dni temu kupiłem pomarańczę, która władała światem, za trzydzieści dziewięć centów w markecie Safeway, i przez trzy dni leżała w moim koszu owoców i była mi nauczycielką.

— Już czas — powiedziała mi dziś, więc ją zjadłem.

Teraz znowu zostaliśmy sami.

Z języka angielskiego przełożyła Magdalena Grajcar

Widmowa muzyka

Artur Grzelak

Pomimo zmęczenia spowodowanego wielogodzinną podróżą cieszyłem się, że w końcu dotarłem do Arkham. Już zmierzchało, więc prosto z dworca, zgodnie ze wskazówkami wuja Bradleya, udałem się na leżącą niedaleko Sentinel Street. Tam odnalazłem kamienicę należącą do Garetha Wormgate'a. Olbrzymi, ceglany, dwupiętrowy budynek o zdobionej fasadzie górował nad mniejszymi domkami mieszczącymi się w okolicy.

Właściciela zastałem na wejściowych schodach, zajętego rozmową z młodą, niezwykle urodziwą damą. Przedstawiłem się i wręczyłem mu list, który otrzymałem od wuja.

— Ach, to ty jesteś bratankiem Bradleya. Pokój jest gotowy, chociaż spodziewałem się ciebie trochę później. Semestr zaczyna się dopiero we wrześniu.

— Przyjechałem wcześniej — wydukałem onieśmielony obecnością kobiety. — Chcę poznać miasto i okolicę, oswoić się z nowym miejscem przed rozpoczęciem nauki.

Artur Grzelak — ur. 1987 w Warszawie, zamieszkały w Płońsku; magister zarządzania pracujący w branży motoryzacyjnej. Nałogowy czytelnik fantastyki i książek historycznych.

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 77-87.

— Rozumiem. Ale nie będę mógł dotrzymać ci towarzystwa. Wyjeżdżamy z Carol do Bostonu. Gdzie moje maniery? — żachnął się mężczyzna. — Pozwól, że ci przedstawię. To Carol Lafferty, moja narzeczona.

Kobieta dygnęła dystyngowanie i posłała mi olśniewający uśmiech. Chcąc ukryć rumieniec, pochyliłem się i zgodnie z obyczajem pocałowałem ją w rękę.

— Miło mi poznać. Nazywam się Clint Wilcox.

— Wejdźmy do środka. Robi się już ciemno, pewnie też zgłodniałeś po podróży. Zjemy coś i opowiesz, co słychać u mojego starego druha Bradleya.

***

Pozostałą część wieczoru spędziliśmy, zajadając pyszne ciasto dyniowe, pijąc aromatyczną herbatę oraz rozmawiając. Gareth Wormgate wspominał czasy, kiedy służył w wojsku z moim wujem oraz opowiadał o prowadzonym przez siebie interesie. Handlował przeróżnymi towarami, od dzieł sztuki po futra. Wyjeżdżał właśnie do Bostonu, aby dopilnować najnowszego transportu płynącego z Europy.

Kamienica w Arkham, w której miałem mieszkać, była jedną z jego licznych nieruchomości. Na parterze znajdowała się apteka oraz niewielka cukiernia prowadzona przez starsze małżeństwo o nazwisku Higgins. Oprócz mnie nikt nie wynajmował w tej chwili pokoju. Pan Wormgate spodziewał się kolejnych lokatorów dopiero we wrześniu, kiedy studenci rozpoczną naukę na Uniwersytecie Miskatonic.

— Co zamierza pan studiować? — spytała panna Carol, podchodząc z dzbankiem pełnym herbaty. — Może dolewkę?

— Nie dziękuję. Wybrałem antropologię.

— Różne rzeczy opowiadają o tutejszym uniwersytecie — wtrącił pan Gareth, zapalając papierosa. — Profesorowie są uznawani za niezłych świrów.

— Niektóre wydziały mają najlepszą kadrę pedagogiczną w całych Stanach — odpowiedziałem. — Dlatego też zdecydowałem się na Arkham.

Podziękowałem za kolację, a pan Wormgate zaprowadził mnie do pokoju. Znajdował się na pierwszym piętrze kamienicy. Oprócz łóżka, szafy, biurka i niewielkiego stolika nie było w nim nic więcej. Niewielkie okno wychodziło na Sentinel Street.

—Rozgość się. Wyjeżdżamy wczesnym rankiem, więc pewnie się już nie zobaczymy. Wrócimy za około miesiąc, kiedy rok szkolny rozpocznie się na dobre. Gdybyś miał jakichś znajomych na studiach pytających o stancję, wysyłaj ich do pana Higginsa, dopóki nie wrócę. A poza tym czuj się jak u siebie. Toaleta znajduje się na piętrze, kuchnia na parterze, korzystaj do woli.

Wręczyłem panu Garethowi kopertę z czynszem za najbliższe pół roku oraz jeszcze raz podziękowałem. Kiedy wyszedł, rozejrzałem się po pokoju. Wyglądał

całkiem przytulnie. Postawiłem walizkę pod ścianą, postanawiając rozpakować się rano. Otworzyłem okno, noc była ciepła i bezchmurna. Rozebrałem się i położyłem na łóżku. Skrzypnęło pod moim ciężarem, ale było miękkie i wygodne. Usypiając, usłyszałem cichą muzykę. Byłem zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać nad jej źródłem. Znużony podróżą zamknąłem oczy i po chwili zasnąłem.

***

Kiedy się obudziłem, słońce stało już wysoko na niebie. Przemyłem twarz, ubrałem się i zszedłem na dół. Pan Wormgate oraz panna Lafferty już wyjechali, w kuchni zastałem jedynie starszą panią. Jak się domyśliłem, była to właścicielka cukierni, pani Higgins. Przedstawiłem się i opowiedziałem o celu przybycia. Staruszka początkowo obserwowała mnie podejrzliwie, ale po chwili uśmiechnęła się i poczęstowała świeżo upieczonymi maślanymi bułkami. Zawołała również męża. Pan Higgins, mimo podeszłego wieku, był postawnym mężczyzną o wciąż ciemnych, przyprószonych delikatną siwizną, włosach. Mocno uścisnął moją dłoń i powitał w Arkham. Popijając kawę, opowiedział mi o miejscach, które warto odwiedzić w mieście, a kiedy jego małżonka wyszła na chwilę do cukierni, zaprosił na kieliszek czegoś mocniejszego. Podziękowałem i obiecałem, że wpadnę wieczorem.

Opuściłem kamienicę i wyruszyłem na obchód miasta. Najpierw, zgodnie ze wskazówkami pana Higginsa, udałem się w stronę uniwersytetu. Jego gmach był olbrzymi, otoczony mniejszymi budynkami kampusu. Nie mogłem doczekać się już rozpoczęcia studiów. Na razie szkoła była zamknięta, trwały jeszcze wakacje. Jedynymi osobami, jakie widziałem na jej terenie, byli ogrodnicy i konserwatorzy prowadzący prace porządkowe.

Następnie przeszedłem się Main Street, pełną sklepików, kramów i stoisk. Zauważyłem między innymi jadłodajnię, do której zamierzałem wstąpić w drodze powrotnej. Zostawiając za sobą pełną zgiełku ulicę, skręciłem na północ ku rubieżom Arkham. Przeszedłem kilkaset metrów i dotarłem do rzeki Miskatonic, od której nazwę wziął mieszczący się w mieście uniwersytet. Przespacerowałem się wzdłuż jej brzegu, docierając do wschodnich rogatek miasta i dzielnicy zwanej French Hill. Pan Higgins dobrze wytłumaczył mi drogę. Dotarłem prosto do kolejnego celu wycieczki::ppochodzącego jeszcze z siedemnastego wieku kościoła baptystów. Podziwiając piękne zdobienia budowli, wszedłem do środka i zmówiłem krótką modlitwę.

Kiedy wyszedłem, niebo zasnuły ciemne deszczowe chmury. Spojrzałem na zegarek, było po szesnastej. Postanowiłem wrócić na Main Street, bo mój żołądek domagał się posiłku. W jadłodajni, którą wcześniej mijałem, serwowali

dzisiaj żeberka w polewie miodowej. Zamówiłem sobie jeszcze herbatę. Spożywając posiłek, pobieżnie przejrzałem leżący na stoliku numer *Advertisera*, lokalnego dziennika.

Najedzony wyszedłem z lokalu i pospieszyłem w stronę Sentinel Street. Chmury były coraz ciemniejsze. Kiedy byłem w połowie drogi, niedaleko cmentarza, zaczął padać deszcz. Początkowo niewielka mżawka przeradzała się w coraz większą ulewę. Nie miałem ze sobą parasola, więc zacząłem biec w stronę kamienicy.

Zmęczony i przemoczony dotarłem do schodów akurat, kiedy pan Higgins zamykał aptekę. Zawołał mnie do środka i zaprosił na zaplecze. Sięgnął do jednej z rozlicznych szafek i wyjął z niej butelkę whiskey.

—To cię rozgrzeje — powiedział, rozlewając trunek do szklanek.

Skończyło się na tym, że wypiliśmy całą butelkę. W tym czasie pan Higgins wspominał swoją młodości oraz życie w Arkham. Opowiadał o historii i dziwnych wydarzeniach mających miejsce w pobliskim Innsmouth i Dunwich. Policja podejrzewała, że w okolicach miasta działa jakaś sekta, czcząca nieznanych, pogańskich bożków. Sięgając po kolejną butelkę, stwierdził, że w czasach jego młodości władze szybciej zrobiłyby z tym porządek. Teraz muszą liczyć się z opinią publiczną. Jakiś czas temu do Arkham przybył pewien dziennikarz z Bostonu badający sprawę kultu. Ponoć przepadł bez wieści na bagnach okalających Dunwich, a ciała do dzisiaj nie odnaleziono.

Dalszą część opowieści przerwało przybycie pani Higgins. Staruszka zrugała męża za rozpijanie młodzieży, szybko zabrała butelkę i kazała mi wracać do pokoju. Odchodząc, słyszałem, jak pokrzykuje na męża, próbującego jej tłumaczyć, że chciał przywitać nowego lokatora, aby ten nie czuł się samotny. Uśmiechnąłem się pod nosem i stanąłem przy schodach prowadzących na piętro. Whiskey uderzyła mi do głowy o wiele bardziej, niż myślałem. Przytrzymując się barierki, powolnym krokiem dotarłem do mieszkania. Spojrzałem w górę. Zdawało mi się, że z drugiego piętra dochodzą dźwięki dziwnej melodii. Według tego, co mówił pan Higgins, nikt tam nie mieszał, więc pomyślałem, że to skutek uboczny wypitego alkoholu. Poczułem, jakby coś próbowało wślizgnąć mi się do umysłu. Dziwny, nienaturalny zew ciągnął mnie na piętro. Zakręciło mi się w głowie, potknąłem się i upadłem. Muzyka ucichła. Niezgrabnie stanąłem na nogi. Kiedy wszedłem do pokoju, zamknąłem drzwi, padłem na łóżko i zasnąłem w ubraniu.

***

Na suficie pojawiła się plama pleśni. Początkowo niewielka, zaczęła się rozrastać, wypuszczając swoiste macki. Oplatały pokój, wchodząc na ściany i podłogę. Nie mogłem ruszyć się z łóżka, traciłem władzę w rękach i nogach.

Mogłem tylko patrzeć, jak pleśń spowija mieszkanie, tworząc przedziwne, abstrakcyjne wzory. Poczułem dotyk na nodze. Coś lepkiego i oślizgłego otarło się o moją stopę. Chciałem ją podkulić, ale ciało nadal odmawiało posłuszeństwa. Bezskutecznie próbowałem się szamotać i krzyczeć, jednak z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Spojrzałem w okno w nadziej, że świt i wschodzące słońce rozgoni pleśniopodobne monstrum, które zalęgło się w pokoju. To, co ujrzałem, wywołało zimne dreszcze. Na zewnątrz rozciągał się widok na ociekające wodą miasto z zielonego kamienia. Tak olbrzymie, że jego rozmiary przekraczały wszelkie wyobrażenie. Ściany i wrota pełne były płaskorzeźb i posągów przedstawiających nieznane istoty o monstrualnych i przerażających kształtach.

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn

Usłyszałem chór ochrypłych głosów, intonujących ohydną frazę w nieznanym języku. Ponownie zadrżałem. Macki oplatały mojemoje ręce i nogi, a jedna z nich otarła się o szyję. Kolejny raz chciałem krzyknąć. Kiedy otworzyłem usta, wilgotna odnoga wdarła się do mojego gardła. Zakrztusiłem się i próbowałem ją wypluć. Wchodziła coraz głębiej, drażniąc gardło i przełyk. Miotałem się po łóżku, wijąc się i skamląc.

Cthulhu fhtagn

— rozległo się w mojej głowie. Macka cofnęła się, a ja w końcu złapałem oddech.

***

Obudziło mnie pragnienie i ból głowy. Spojrzałem na sufit, ale wyglądał tak samo jak w dniu, w którym przyjechałem. Żadnych plam pleśni ani macek. Przetarłem twarz, próbując odgonić wspomnienie śnionego nocą koszmaru. Powoli zaczynały do mnie docierać wydarzenia wczorajszego wieczora. Wypity alkohol wyraźnie mi zaszkodził. W głowie nadal szumiało i dudniło, a w gardle czułem suchość. Do tego zaczął mnie boleć brzuch. Postanowiłem wstać i napić się wody, ale kiedy tylko przyjąłem pozycję pionową, poczułem wzbierające mdłości. Wybiegłem z pokoju i czym prędzej wparowałem do łazienki. Zdążyłem dopaść do stojącej na podłodze miski i zwymiotowałem. Dość długo trwało, zanim doszedłem do siebie. Miałem wrażenie, że oprócz wypitej whiskey, zwróciłem również zjedzone na obiad żeberka, a nawet maślane bułki, którymi pani Higgins poczęstowała mnie rano.

Poczułem się odrobinę lepiej. Umyłem miskę, potem twarz i wróciłem do siebie. Przebrałem się w świeże ubrania i postanowiłem zejść na dół, by przeprosić panią Higgins za wczorajsze zachowanie. Staruszka siedziała w kuchni i kiedy zobaczyła, jak wchodzę, spojrzała na mnie pochmurnym wzrokiem. Po chwili jednak się uśmiechnęła i zaproponowała śniadanie. Podziękowałem,

ponieważ nie miałem apetytu, tym bardziej po porannych żołądkowych rewolucjach.

Pani Higgins się nie gniewała. Wiedziała, że jej mąż lubi sobie pogawędzić, a przy tym wypić coś mocniejszego. Widząc moją udręczoną minę, zaparzyła mi rumianku, który, jak stwierdziła, zawsze pomagał na kaca jej ojcu. Pana Higginsa nigdzie nie było widać, najwyraźniej panował dzisiaj spory ruch w aptece.

Byłem bez sił, więc postanowiłem zostać w domu. Kiedy wróciłem na górę, nadal nie czułem się dobrze, więc poleżałem i poczytałem jedną z lektur, które zabrałem ze sobą z Bostonu.

Na dworze znowu zaczęło padać. Odłożyłem książkę, zapaliłem naftową lampkę stojącą na stoliku i zjadłem suszoną kiełbasę, która została mi jeszcze z podróży. Odczekałem chwilę, bojąc się, jak żołądek zareaguje na pierwszy tego dnia posiłek. Obyło się bez bólu brzucha i nudności. Kac już minął, chociaż nadal czułem się osłabiony.

Z walizki wyjąłem notes, pióro oraz kałamarz. Napisałem list do matki, w którym opisałem, jak mi się mieszka, jjak wygląda miasto oraz że wszystko w porządku i nie mogę doczekać się rozpoczęcia zajęć. Następny list zaadresowałem do wuja Bradleya. Kolejny raz podziękowałem za poręczenia dla pana Wormgate'a, opisałem nasze spotkanie i to, że udał się w interesach do Bostonu. Wyciągnąłem trzecią kartkę papieru i zacząłem pisać następną korespondencję. Tym razem skierowana była do panny Megan Gednay, mojej sąsiadki, a zarazem pierwszej i jedynej dziewczyny, z którą się całowałem. apisałem, że tęsknię i żałuję, że nie zdecydowała się na studia na tym samym uniwersytecie. Że liczę dni rozłąki i wyraziłem nadzieję, że ona również za mną tęskni, że ona tęskni również za mną.

Następnie zmiąłem kartkę i rzuciłem w kąt pokoju. Podszedłem do okna i otworzyłem je, mimo padającego deszczu. Nawet nie zauważyłem, kiedy zrobiło się ciemno. Piaszczyste ulice Arkham zamieniły się w błoto. Tworzyły się olbrzymie kałuże, woda nie nadążała spływać rynsztokami. Wziąłem parę głębokich wdechów i cofnąłem się do pokoju, zamykając okno.

Zdawało mi się, że znowu słyszę muzykę dobiegającą z wyższego piętra. Nie potrafiłem sprecyzować, na jakim instrumencie mogła być grana. Dźwięki były dziwnie chaotyczne, a zarazem melodyjne. Napawały grozą, a jednocześnie tajemniczą melancholią. Powoli podszedłem do drzwi, otworzyłem je i wyjrzałem na korytarz. Muzyka dobiegała z drugiego piętra, ale z tego, co mówił pan Wormgate, nikt tam nie mieszkał. Chciałem podejść do schodów, ale melodia w jednej chwili urwała się, a ja usłyszałem dziwne chlupnięcie. Spojrzałem pod nogi i cofnąłem się przerażony. Na korytarzu i schodach znajdowała się dziwna, zielona, śluzowata substancja, w którą wdepnąłem lewą nogą. Kle-

ista maź przywarła do mojego buta. Cofnąłem się i zamknąłem drzwi. W irracjonalnym odruchu spojrzałem na sufit, w obawie, że pojawiła się na nim odrażająca plama pleśni z mojego snu. Nic tam jednak nie było.

Czyżby jakieś zwierzę dostało się do kamienicy, szukając schronienia przed deszczem?? Oczyściłem but, rozmyślając nad tym dziwnym zjawiskiem. Była późna pora, więc starsze małżeństwo już spało. Postanowiłem następnego dnia porozmawiaćporozmawiać z panem Higginsem.

***

Wstałem rano i wyszedłem z pokoju. Na korytarzu nie było już śladu po zielonej mazi, na podłodze miejscami widać było jedynie biały nalot. Wymieniłem poranne uprzejmości z panią Higgins, podziękowałem za śniadanie i czym prędzej udałem się do apteki. Pan Higgins ustawiał właśnie buteleczki z lekami w jednej z rozlicznych szuflad. Nie wydawał się być zdziwiony moim pytaniem. Stwierdził, że dość często zdarza mu się widywać wspomnianą przeze mnie substancję, szczególnie w okresie wzmożonych deszczy. Staruszek podejrzewał, że to robota szopów gnieżdżących się w pobliskim lesie. Długotrwałe opady zalewają ich siedliska, a zwierzęta szukają schronienia w mieście. Musiały jakoś dostać się do kamienicy. Stwierdził, że on i pan Wormgate znajdowali kilka razy martwe stworzenia na piętrze, parterze i w piwnicy.

Na moje pytanie odnośnie muzyki dobiegającej z drugiego piętra wzruszył ramionami i roześmiał się rubasznie.

—Pewnie whisky jeszcze cię nie puściła, młodzieńcze. Ja też miewam czasem słuchowe omamy, szczególnie, kiedy mówi coś do mnie moja małżonka. — Po ojcowsku poklepał mnie po ramieniu. — Na piętrze od dłuższego czasu nikt nie mieszka. Parę lat temu jeden z lokatorów, również student z uniwersytetu Miskatonic, niechcący zaprószył ogień. Dwa znajdujące się tam pokoje stanęły w płomieniach. Na szczęście pożar nie naruszył konstrukcji budynku, ale od tamtej pory pan Wormgate nie wynajmuje nikomu piętra. Ciągle wspomina o remoncie, jednak ta kamienica to nie jedyna jego nieruchomość w Arkham, a poza tym inne interesy pochłaniają go o wiele bardziej niż wynajmowanie stancji. Co dziwniejsze, ciała chłopaka nigdy nie odnaleziono, jakby je coś wessało. Choć moja teoria jest taka, że spłonęło razem z pokojem. Później okazało się, że był uzależniony od opium. Na uczelni bredził coś o jakiś mackowatych stworach i pradawnych monstrach, które próbowały wniknąć w jego umysł. Stąd też spora liczba mieszkańców Arkham jest sceptycznie nastawiona do uniwersytetu. W mieście często dochodzi do różnych incydentów z ich udziałem. Lubię cię, Clint. Wyglądasz na spokojnego chłopaka, więc kiedy zaczniesz edukację, nie daj się w nic wciągnąć.

Podziękowałem za wyjaśnienia i postanowiłem wyjść do miasta, aby wysłać napisane wczorajszego dnia listy. Pogoda odrobinę się poprawiła, nie padało już, ale niebo nadal zasnute było ciemnymi chmurami. Skryte za nimi słońce nie dawało zbyt wiele ciepła. Do tego wiał nieprzyjemny, zimny wiatr. Przez to i na ulicach Arkham było dość pusto i ponuro. Szybko udałem się do urzędu pocztowego i nadałem korespondencję do matki i wuja Bradleya. Niedokończony list do Megan podarłem i wyrzuciłem jeszcze przed wyjściem.

Następnie udałem się do odwiedzonej już przeze mnie wcześniej jadłodajni na Main Street. Była jeszcze pora śniadaniowa, więc zamówiłem sobie porcję naleśników z syropem klonowym oraz kawę. Sięgnąłem po leżący na stoliku najnowszy numer „Advertisera". Dziennik, oprócz nielicznych wydarzeń sportowych, politycznych oraz reklam, zawierał ciekawy artykuł dotyczący wydarzeń dziejących się w pobliskim Dunwich. Otóż od jakiegoś czasu coś pożerało tam krowy oraz inne zwierzęta. Autor artykułu podejrzewał watahę wygłodniałych wilków, która najprawdopodobniej pojawiła się w okolicy.

Zjadłem i postanowiłem chwilę pospacerować po mieście. Wędrowałem spokojnymi ulicami, z rzadka mijając nielicznych przechodniów. Mimo połowy sierpnia, pogoda zmusiła mieszkańców do pozostania w domach. Wiatr był coraz silniejszy, z czasem zaczęła padać lekka mżawka. Aby uniknąć kolejnego zmoczenia przez deszcz, czym prędzej skierowałem swoje kroki ku kamienicy.

Tym razem nie było ulewy, a chmury powoli zaczęły się rozwiewać. Kiedy dotarłem na Sentinel Street, zza obłoków nieśmiało zaczęło wyglądać słońce, przyjemnie rozgrzewając powietrze. Postanowiłem przyjrzeć się kamienicy. Większość okien wychodziła na Sentinel Street. Na pierwszym piętrze znajdowały się cztery pokojowe i jedno z łazienki. Na drugim zauważyłem tylko dwa okna. Jedno zabito deskami, a okiennice były okopcone. Pożar faktycznie zostawił ślady na kamienicy, wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Drugie okno wyglądało na nietknięte, znajdowało się bliżej szczytu budynku. Wydawało mi się, że dostrzegłem w pokoju jakiś ruch. W środku coś przemknęło, choć nie trwało to dłużej niż mrugnięcie okiem. Czy ktoś tam mieszkał? Czy to stamtąd dochodziła tajemnicza, widmowa muzyka? Wpatrywałem się jeszcze jakiś czas, ale już nic się nie działo. Wieczorem postanowiłem sprawdzić, co znajduje się na drugim piętrze.

***

Po powrocie porozmawiałem jeszcze chwilę z panem Higginsem. Ponownie zapraszał na kieliszek whisky. Grzecznie odmówiłem i udałem się do kuchni, gdzie jego małżonka uraczyła mnie pysznym jabłecznikiem i aromatyczną herbatą. Kiedy starsze małżeństwo w końcu udało się do domu, ja poszedłem do swojego pokoju.

Postanowiłem poczekać do wieczora. Do chwili kiedy z piętra dobiegną mnie jednocześnie fascynujące i ogarniające trwogą dźwięki muzyki. Z walizki wyjąłem nóż, który jeszcze w dzieciństwie dostałem od ojca. Niewielki scyzoryk, którego ostatni raz używałem podczas naszego wspólnego biwaku nad jeziorem Ponkapoag, na południe od Bostonu. Pasował bardziej do rąk dziecka, ale mając go ze sobą, czułem się pewniej.

Zapaliłem lampę naftową i czekałem. Ściemniło się, na zewnątrz znowu zaczął padać deszcz. Krople dudniły o okiennic w przedziwnym *stacatto.* Zniecierpliwiony chodziłem po pokoju, aż w końcu ją usłyszałem.

Była o wiele głośniejsza niż poprzedniego wieczoru. Wznosiła się i falowała, gubiąc rytm, by po chwili przejść w harmonijny, tęskny dźwięk. Mamiła i przyzywała mnie. Ostrożnie uchyliłem drzwi, muzyka na chwilę ścichła. Ale zaraz wróciła do poprzedniej, nęcącej tonacji. Starając się stąpać cicho i ostrożnie, wszedłem na schody. Dawno nieużywane nieużywane, zaskrzypiały pod moim ciężarem. Pokonywałem kolejne stopnie, dopiero po chwili orientując się, że pełno na nich tej zielonej, galaretowatej mazi, którą widziałem wczoraj.

Ostrożnie wszedłem na górę, próbując zlokalizować źródło dźwięku. Na piętrze znajdowało się dwoje drzwi. Muzyka dochodziła zza tych znajdujących się po prawej stronie korytarza, a więc w miejscu, gdzie okna pokoju wychodziły na Sentinel Street, te, te, które dzisiaj oglądałem. Mocniej zacisnąłem dłoń na rękojeści nożyka, czułem pot spływający mi po czole i plecach.

Z każdym kolejnym krokiem muzyka była coraz głośniejsza. Wydawało mi się, że słyszę w niej radośniejsze, weselsze dźwięki. Była szybsza i bardziej skoczna. Podchodząc bliżej drzwi, usłyszałem również tajemnicze bulgotanie i skrobanie dochodzące zza ściany. Czyżby pan Higgins miał rację, że zalegały się tu jakieś szopy? To tłumaczyłoby skrobanie, ale skąd, do licha, dochodzi ta melodia?

Stałem już przed drzwiami. Muzyka i chrobotanie ucichło. Z wnętrza pokoju zaczęły dochodzić do mnie monotonne i bełkotliwe głosy powtarzające:

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn

Cthulhu fhtagn

Cthulhu fhtagn

Chciałem wracać na dół. Działo się tu coś dziwnego i niepojętego. Nie powinienem tam wchodzić. Jednak cośw moim umyśle nakazywało mi otworzyć drzwi. Szeptało, że za nimi czeka coś, co zawsze chciałem zobaczyć. Co odmieni moje spojrzenie na otaczający świat. Bełkotliwe słowa wypełniały mi umysł i plątały myśli. Podszedłem bliżej i złapałem za klamkę.

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn

Cthulhu fhtagn

Cthulhu fhtagn

W ostatniej chwili się zawahałem. Chciałem zbiec na dół, wybiec z kamienicy, uciec z Arkham. Byle daleko stąd, od tego miejsca. Od widmowej muzyki i mącącej rozum śpiewnej frazy dochodzącej z pokoju.

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn

Cthulhu fhtagn

Cthulhu fhtagn

Jednak otworzyłem drzwi i zamarłem. W środku znajdował się ogromny, bezkształtny, biały, polipowaty stwór. Pełen macek, podobny do ośmiornicy łeb istoty wpatrywał się we mnie błyszczącymi ślepiami. Umysł wypełniła mi wizja starożytnego, kamiennego miasta. Pełnego monolitów i grobowców, skrytego na niedostępnym dnie oceanu.

R'lyeh.

R'lyeh.

Cthulhu fhtagn

Rozległo się w mojej głowie. Widziałem, jak miasto powoli wynurza się z morskich odmętów, ukazując swój ogrom. Z jego wnętrza wyłaniały się pokryte pleśnią kształty o ogromnych nietoperzowych skrzydłach. Wzbiły się w powietrze i rozpierzchły we wszystkich kierunkach.

Macki oplatały mnie, a ja nie mogłem się ruszyć. Straciłem czucie, mogąc jedynie wpatrywać się w ogromną istotę znajdującą się w pokoju. Wydawało mi się, że stwór zaczyna puchnąć i zwiększać objętość. Miałem wrażenie, że budynek drży, a ściany zaczynają pękać.

Nie czułem fizycznego bólu, jedynie wdzierające się w umysł oślizgłe obrazy pradawnych stworów i bóstw, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Które właśnie wydostały się ze swojego więzienia.

Zobaczyłem skalistą plażę, na którą z morskich głębin wychodziły przedziwne istoty. Dominował wśród nich kolor szarozielony, ich ciała były oślizgłe i lśniące. Grzbiety pokrywały łuski, głowy przypominały ryby z wielkimi, wyłupiastymi oczami. Po bokach szyi widniały skrzela, poruszające się w rytm oddechów, a długie szpony połączone były błoną pławną. Korowód przedziwnych rybo-ludzi wydawał się nie mieć końca. Ich marszowi towarzyszył złowieszczy rechot, ujadanie i inne nieartykułowane dźwięki.

Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn

Cthulhu fhtagn

Cthulhu fhtagn

Czułem wdzierającą się do mego umysłu pradawną siłę, której nie mogłem się oprzeć. Chłonąłem przekazywaną wiedzę, nie mogąc uwierzyć w rzeczy przede mną odkrywane. Trwało to kilka minut. Całkowicie oddałem się rozgorączkowanej ekstazie ukazywanych mi obrazów. Po chwili wszystko się skończyło, a ja zemdlałem.

***

Ocknąłem się na podłodze, tuż za progiem pokoju na piętrze. Wstałem i rozejrzałem się. Wnętrze pomieszczenia było puste, od lat w nim nie sprzątano, a nieliczne meble pokrywały grube warstwy kurzu. Panował dziwny, rybi zapach i zaduch dawno nie wietrzonego miejsca. Mój umysł był klarowny i rozjaśniony, choć chwile zajęło mi poukładanie sobie wydarzeń i wizji, jakich byłem świadkiem. Teraz zrozumiałem, czemu muzyka mnie wabiła. Miałem przygotować ludzi na nadejście Przedwiecznych Bóstw, które właśnie przebudziły się z wieloletniego uśpienia. Zostałem akolitą mającym głosić światu ich powrót.

Sztolnia

Antoni Kaja

Ciemność umykała jak niepyszna przed snopem światła lampy czołowej. Blask wiódł go, niczym osobista latarnia morska, poprzez zdradliwe trzewia tunelu opuszczonej kopalni. Oprócz niego towarzyszyły mu jedynie niosący się echem pośród skalnych przestrzeni odgłos kroków i kanarek w klatce. Trzymał ją ostrożnie w górze, za pierścień na czubku, ogarnięty troską bardziej o własny los niż żyjące wewnątrz pierzaste stworzenie. Gdyby nie ptak, echo oraz lampka, już dawno byłby zgubiony.

Zalegające wszędzie cienie — nowi rezydenci wydrążonych przez człowieka korytarzy, teraz niezawiśli panowie tej podziemnej krainy — garnęły się do niego, okrążały, starając się go za wszelką cenę stłamsić, odebrać dech w piersi, zawieść na skraj paniki. Jemu jednak lęk był zupełnie obcy, dlatego został wybrany do tej misji.

Antoni Kaja — ur. 1993; student translatoryki na Uniwersytecie Gdańskim; bibliofil, serialomaniak, kinoman, kociarz i posiadacz starej maszyny do pisania. Każdą wolną chwilę spędza w krainach wyobraźni (swojej i cudzej); dotychczasowo pisywał i tłumaczył opowiadania głównie dla portalu „Szortal"; dodatkowo działa w ramach projektu Prze!Tłumacze i Polski Noir.

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 89-100.

Niestraszne mu były naturalne pułapki: niestabilny gruz po tąpnięciach, blokady z głazów, szczeliny w podłożu. Ostrzegano go, że później może natrafić na trujący gaz, ulatniający się z wnętrza ziemi. Wyczulone zmysły, odbierające teraz świat niemalże na zasadzie echolokacji, czerpały niezmierzone ilości danych z odbijających się od ścian dźwięków, wykrywając przeszkody. Strumieniowi skoncentrowanej jasności nie umknęłaby najmniejsza wyrwa, czyhająca tylko, szukająca okazji, aby schwytać go, sprawić, żeby skręcił sobie kostkę lub utknął w miejscu. W tej sytuacji byłby skazany na ponure rozmyślania o widmie śmierci z głodu bądź pragnienia — zapasy bowiem, które łaskawie mu przydzielono, miały starczyć na zaledwie parę dni.

I wreszcie owe żółte stworzonko, skulone na dnie swego więzienia, zmuszone do tej podróży w równej mierze co on, z tym że, w przeciwieństwie do niego, zupełnie niewinne. Przeznaczone aby umrzeć od toksycznych oparów po to, żeby on przetrwał, aby ostrzec go przed zgubą. Każdy ma do odegrania określoną rolę. Jego nie była wcale o wiele lepsza. Świat rzadko kiedy bywał sprawiedliwy, już on coś o tym wiedział.

Zapewnili go, że zatrucie gazem nie grozi mu przez długi czas, wyziewy zdarzały się dopiero w podbitej strefie. Technicy koncernu przeprowadzili zresztą cały szereg badań przygotowawczych: poczyniono skany terenu pod kątem możliwości przebycia szlaku, posłano w otchłań nanokamerę noktowizyjną, która pobrała niezbędne pomiary, ale nie znalazła śladu życia. i teraz potrzebowali tylko człowieka zdolnego potwierdzić diagnozę — domniemanie, iż wróg opuścił już kopalnię, by można było znów przeznaczyć ją do użytku.

Z drugiej strony, chodziło przecież o wiele więcej niż tylko o to, żeby zdążyć przed konkurencją, mieć monopol. Ludzkości wyczerpywały się surowce, brakowało źródeł energii, została tylko ta ruda, pozostawiona sama sobie na dziesięciolecia. Teraz nie można już było pozwolić sobie na luksus asekuracyjnego unikania przejętej placówki. Konieczne były stanowcze kroki.

Lampa wyodrębniła z mroku zarys skalnej ściany wdzierającej się klinem w korytarz, niemalże całkowicie blokując przejście. Dziwne. Nie uprzedzono go o tego rodzaju utrudnieniach. Przeciskając się przez wąski przesmyk, plecami do skały, brodą niemalże dotykając kamienia z przeciwnej strony, zastanawiał się, jak to w ogóle jest możliwe. Przecież górnicy musieli się jakoś tędy przedostać — był zaledwie w połowie drogi do najdalszego krańca systemu. Czyżby zboczył z wyznaczonej ścieżki i skręcił w którąś z odnóg? Niemożliwe, tunel miał jeszcze długo biec prosto, a zresztą ten zakład nie należał do szczególnie rozgałęzionych. Ot, zagadka. Zupełnie jakby coś wypiętrzyło tę zaporę, próbując uniemożliwić przedostanie się tą drogą, ale zabrakło czasu na doprowadzenie zamiaru do skutku.

Coraz zdumiewającej — pomyślał.

Klatkę z kanarkiem przycisnął do piersi, pracując głównie nogami. Wolną dłonią odpychał się od czasu do czasu od kamienia. Był przeraźliwie chłodny, wręcz lodowaty od wilgoci, tak bardzo, że aż czuł jej smak w ustach. Zalegała wszędzie dookoła niego niczym eteryczna mgiełka. Posuwał się dalej, z niezadowoleniem zauważając, że buty zaczynają mu się ślizgać na podłożu. Obudowa miotacza, przytroczonego z tyłu, szurała nieprzyjemnie o litą skałę. Miał cichą nadzieję, że nie będzie się nim musiał posłużyć, jednak instynkt podpowiadał inaczej.

W kwadrans później wydostał się na otwartą przestrzeń. Powitał go dziwnie kojący widok szyn, otoczonych z obu stron belami podpór. Nieprzyjemna przeprawa sprawiła, że poczuł się swojsko znalazłszy się w znajomym otoczeniu. Postanowił, że należy mu się chwila odpoczynku. Postawił domek swojego latającego kompana na ziemi, po czym przycupnął obok, na zimnych kamieniach.

Zdjął z pleców miotacz i położył na kolanach, w zamyśleniu gładząc obłą lufę. Nie był przyzwyczajony do używania tego rodzaju broni, ale uprzedzono go, że mieszkańcy podziemnych czeluści prędzej będą się bać ognia niż kul. Wtedy brzmiało to całkiem logicznie, teraz nie był wcale taki pewien, czy to aby dobry pomysł.

Wciąż pamiętał pierwszy trening po zakończonej terapii. Zaprowadzili go na poligon, dali do ręki karabin, a następnie kazali strzelać bez wahania. Celami byli prawdziwi ludzie — skazańcy, jak się domyślił — koncern cieszył się znacznym uprzywilejowaniem ze strony rządu. Automatyczny system namierzania dokonywał natychmiastowej lokalizacji newralgicznych punktów, a on pewną ręką pociągał za spust. Nie odczuwał żadnych emocji, kiedy pociski wryły się w czaszki eksplodujące fontanną krwi oraz tkanek. Jego opiekunów taki rezultat wyraźnie ucieszył. Wtedy to zaczął zadawać sobie istotne pytanie: czy wciąż był człowiekiem?

Czy o człowieczeństwie decydowały wyłącznie uczucia, których częściowo go pozbawiono, aby uczynić doskonałą maszyną do zabijania? Tylko jakie to teraz miało znaczenie, skoro nie miał wyboru? Klamka zapadła, kiedy wrócił do domu na przepustce i zastał tam zamiast żony oraz syna facetów w garniturach. „Twoją rodzinę przeniesiono do bezpieczniejszej lokacji — oznajmili mu sucho, rzeczowo. — Chcieliśmy sobie w ten sposób zapewnić twoje bezwarunkowe posłuszeństwo. Ale powinieneś się cieszyć — dodali. — Ojczyzna cię potrzebuje. Zostałeś wybrany spośród tysięcy kandydatów do misji, która zadecyduje o losach nie tylko naszego narodu, ale być może całej ludzkości". Wiedział, że trzy czwarte tego bełkotu to była czysta propaganda. Mimo to poszedł z nimi.

Z tej krótkiej podróży w przeszłość wyrwał go niezwykły odgłos. Zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Skąd mogły dochodzić owe melodyjne dźwięki? Jego wzrok spoczął na klatce i jej mieszkańcu. Zaskoczony nie mógł oderwać oczu od maleńkiej ptasiej główki, z której rozwartego dzioba dobywała się pieśń. Kanarek śpiewał. W jego wnętrzu coś delikatnie drgnęło.

***

Pod koniec dnia — o ile nie utracił już zupełnie poczucia czasu — napotkał przepaść, zagradzającą mu drogę do kolejnego odcinka korytarza. Dystans nie był szczególnie duży, powinien ją przeskoczyć bez zbytnich problemów. Alternatywa prezentowała się nieprzyjemnie, promień lampki sugerował, iż otchłań jest niepokojąco głęboka. Jego uwaga była jednak skupiona na czymś zupełnie innym: krawędzie wyrwy były zbyt gładkie jak na zawał, a podkłady nie wyglądały na zerwane. Można by odnieść wrażenie, jakby oba brzegi jakimś cudem od siebie odsunięto. Czyżby mroki kopalni wreszcie zaczynały dawać mu się we znaki?

Cofając się, aby nabrać rozbiegu, uświadomił sobie, że ten skok będzie trudniejszy niż mu się zdawało — w razie problemów będzie mógł posłużyć się tylko jedną ręką ze względu na trzymaną w drugiej klatkę. Ograniczało to możliwości uchwycenia się skały.

Rozsądniej było po prostu zostawić kanarka po tej stronie, ale… Chyba nawet nie chodziło do końca o to, że był jedyną metodą ostrzeżenia przed zatruciem gazem. Od kiedy usłyszał trele ptaka, stał mu się on jakoś bardziej bliski. Widok tego niewielkiego, pierzastego ciałka na dwóch krótkich nóżkach dodawał otuchy. Część poprzedniego postoju, nim uciął sobie krótką drzemkę, spędził na obserwowaniu stworzenia. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zwierzątko skaczące po swoim domku, żałując że nie ma go czym nakarmić. Odmówiono mu pożywienia, bo przeznaczone było na śmierć. a ono i tak znalazło w sobie chęć do śpiewania. Niesamowite.

Mocno ściskając pierścień na szczycie klatki, ruszył pędem do przodu, po czym dał potężnego susa ponad ciemną otchłanią. Miał szczęście, wylądował bezpiecznie po drugiej stronie. Poczuł lekkie ukłucie satysfakcji. Na nic więcej nie mógł liczyć, nie pamiętał kiedy ostatni raz doznał jakiegoś silniejszego uczucia. Taka była cena, jaką przyszło mu zapłacić za rządowy eksperyment.

Koncern otrzymał do swojej dyspozycji w ramach tego projektu najlepszych specjalistów z kraju i zagranicy. Przed zabiegiem lekarz prowadzący — renomowany neurochirurg — wyjaśnił mu, że mają zamiar obniżyć do minimum aktywność jąder migdałowatych, uaktywniając uśpione tendencje psychopatyczne oraz eliminując niepożądane stany w rodzaju lęku, smutku czy wa-

hania. Niepotrzebny był mu także gniew, miał bowiem zabijać wrogów z chłodnym wyrachowaniem. Domyślał się, że to zapewne zaledwie czubek góry lodowej, ale wolał nie wiedzieć, gdzie będą mu gmerać w głowie. Sama perspektywa tak znacznej ingerencji w jego mózg napawała go przerażeniem — kiedy jeszcze był w stanie je czuć. Na dodatek pojawiły się efekty uboczne. W wyniku doświadczenia została zaburzona równowaga jego organizmu i od tej pory wszystkiego jego odczucia były przytłumione do tego stopnia, że niemalże nieistniejące. Życie straciło dla niego smak.

Dopiero pieśń żółtego kanarka wzbudziła w nim silniejszą reakcję. Mogło to oznaczać stopniowy powrót do normalności. Nie żywił jednak zbytniej nadziei, nie był to ani czas, ani miejsce na złudzenia. Dekoncentracja mogło go kosztować życie.

Nie zmieniało to faktu, że odczuł potrzebę upewnienia się, że z ptakiem wszystko w porządku, zanim wyruszył w dalszą drogę. Połączyła go z tym niepozornym stworzeniem specyficzna więź wspólnych przeżyć.

***

Jego postrzeganie cyklu dnia i nocy już dawno uległo zaburzeniu. Ciężko było odróżnić jedno od drugiego. Dlatego też nie przywiązywał do tej kwestii zbyt dużej wagi. Gdy ocknął się z płytkiego snu postanowił spożyć swoje racje żywnościowe. Łykając płynną mieszankę protein przyglądał się nieruchomemu kształtowi, spoczywającemu na dnie klatki. Kiedy minęła dłuższa chwila, a on wciąż nie dawał znaku życia, poczuł wyraźny ucisk w żołądku. Czyżby powracał jego stary przyjaciel, strach? Czyżby zwierzak zdechł, nawdychawszy się trującego gazu? w końcu znajdował się już dość blisko miejsca przeznaczenia. z drugiej strony, czuł się raczej normalnie, choć mógł to być stan jedynie pozorny.

Potrząsnął delikatnie schronieniem kanarka, chcąc się upewnić w sytuacji. Uff — westchnął z ulgą na widok wpatrzonych w siebie paciorkowatych oczek. Ptaszek rozłożył skrzydła, podskoczył w miejscu, po czym pisnął nagląco. Mógł tylko wzruszyć ramionami, dając mu do zrozumienia, że nic dla niego nie ma.

Pora ruszać — doszedł do wniosku, podnosząc się z miejsca, zawieszając ponownie na plecach miotacz, a potem podnosząc także i klatkę.

— Coś mi mówi — rzekł do jej rezydenta, przybliżając kraty do oczu. — że niedługo mi już potowarzyszysz — Zero reakcji. Za to w jego głosie pobrzmiewało chyba coś w rodzaju smutku, choć ciężko to było stwierdzić po tak długim czasie. Ale dlaczego nie miałoby mu być żal towarzysza niedoli, którego z marszu skazano na śmierć? Zwłaszcza jeśli nie był pewien, czy z nim nie było aby podobnie.

Szedł dalej korytarzem, ponownie dochodząc do wniosku, że to nieco podejrzane, iż zarząd nie zlecił wszczepienia mu jakiegoś lokalizatora albo implantu komunikacyjnego, żeby mógł się kontaktować z bazą i zdawać relacje z misji. Oficjalne wytłumaczenie brzmiało: brak zasięgu, znacząco utrudniona praca urządzeń elektronicznych. W takim razie jak im się udało posłać tamtą nanokamerę? Coś tutaj zdecydowanie było nie tak.

Toczył wewnętrzną walkę z na nowo rozbudzoną nieufnością, snując coraz to nowe teorie spiskowe, dopóki nie napotkał na swej drodze pionowej ściany skalnej. Wbrew jego pierwotnym przypuszczeniom nie był to jednak koniec tunelu — wyżej otwierała się w litej powierzchni grota, na której brzegu wyraźnie rysowały się znajome szyny. Odkrycie to wprawiło go w konsternację. Jak przejście mogło się znaleźć tak wysoko? Zresztą nawet gdyby doszło do zawalenia części korytarza, podjazd i tak byłby za stromy dla wagoników transportowych. Tyle że jedynym innym wyjaśnieniem byłby znów udział tajemniczych sił, które podniosły cały zakład, nie powodując przy tym żadnych zauważalnych szkód, a to zakrawało na absurd.

Ocenił poziom trudności wspinaczki. Nie było wcale tak źle: gdzieniegdzie dostrzegał wygodne punkty oparcia dla rąk i nóg. Podobnie jak poprzednie przeszkody, także ta była nieznaczna, zupełnie jakby jej twórca chciał jedynie zniechęcić intruza, zasugerować mu, iż gra jest niewarta świeczki. Wcześniej na to nie wpadł, ale mogło to być uczciwe ostrzeżenie. Przestroga dla śmiałków.

Niewiele wiedział o istotach, które przed kilkudziesięciu laty przejęły kopalnię. Ci, którzy mieli z nimi styczność, postradali zmysły — mało podnosząca na duchu wiedza. Nikt nie miał pojęcia jak wyglądają albo co czyni je tak groźnymi. Po prawdzie, mogły być zdolne do wszystkiego, także czynów, które z samej swej natury przeczyły wszelkiej logice. Wzdrygnął się na samą myśl, uświadamiając sobie przy tym, że istnieje szansa, iż niebawem spotka się z nimi twarzą w twarz. Nagle bardziej docenił fakt posiadania miotacza.

Chwycił pierścień klatki w zęby, ze zdumieniem odkrywając, jak bardzo jest lekka, po czym wsunął stopę w pierwszą ze szczelin. Zaczep dla lewej dłoni znajdował się wyżej, niż ocenił na pierwszy rzut oka, był zatem zmuszony odepchnąć się prawą nogą od kamienia, wyrzucając całe ciało do góry. Potem było już nieco łatwiej, choć niekiedy konieczne było przyjmowanie bardzo niewygodnej pozycji albo opieranie obu kończyn na jednym występie. Nie trwało to jednak szczególnie długo, a wejście przypłacił zaledwie powierzchownymi otarciami oraz paroma skaleczeniami palców.

Odruchowo otrzepał ubranie i przysiadł na moment, żeby odsapnąć. Kiedy skończył wiązać buty, był już zupełnie gotów do drogi. Podniósł się z ziemi, a następnie — ściskając pierścień klatki niczym swoisty talizman — wkroczył

w gęstniejące ciemności korytarza, które ciężko były rozproszyć nawet promieniowi jego lampy czołowej.

Tunel stawał się coraz węższy, a strop zniżył się zauważalnie. Ten odcinek został ukończony na krótko przed zdarzeniem, nie zdążono go więc poszerzyć. Dopiero tutaj w pełni dostrzec można było bogactwo żyły. Ściany były aż purpurowe od rudy, połyskując drobinkami uwięzionego w niej kwarcu. Od czasu do czasu napotykał odłupane kawały oraz inne ślady górniczej aktywności, częstsze też stawały się odnogi prowadzące w nieznane.

Owe zakręty zaczęły prędko budzić w nim pewien niepokój, głównie dlatego, że zdawało mu się, iż obserwują go stamtąd liczne pary nieprzyjaznych oczu. Jednak kiedy tylko zaglądał w czerń, blask jego prywatnej latarni ujawniał panującą tam zupełną pustkę. Powietrze było jednak podejrzanie gęste i przysiągłby, że unosiło się tam widmo dziwnego zapachu, właściwie ciężkiego do opisania. Ta atmosfera pogłębiającej się paranoi, wszechobecnego, zdawałoby się, zagrożenia powodowała stopniowe kruszenie skrupulatnie wzniesionych przez ekspertów emocjonalnych tam. Nie bał się, do tego było mu daleko, ale nie był też całkowicie spokojny. W organizmie zaczęła krążyć adrenalina.

Kawałek dalej urywały się podkłady, dookoła których porozrzucane były kawałki szyn, rozmaite narzędzia, a z boku leżał nawet przewrócony przerdzewiały wagonik. Znak, iż był już niemalże na miejscu. Przeszedł go dziwnie miły dreszcz antycypacji. Niebawem wszystko nareszcie stanie się jasne, nie będzie już miejsca na zwątpienie.

Zbliżał się do groty, za którą rozpoczynały się niezbadane obszary kopalni. To właśnie tam doszło do ataku. Już wcześniej mijał jaskinie, jednak ta była zdecydowanie najbardziej imponująca. z odległego sufitu zwieszały się masywne stalaktyty, w pobliżu szumiało podziemne źródełko, wlewając się do krystalicznie czystego jeziorka. Ściany natomiast mieniły się barwami minerałów. Okolica była naprawdę urokliwa i spokojna. Nie był sobie w stanie wyobrazić, jakież to straszliwe rzeczy mogły mieć wtedy miejsce w tym oto sielskim zakątku.

Wspiął się półkę ponad zbiornikiem wodnym, chcąc uzyskać lepszy widok na cały obszar. Nie dostrzegł jednak niczego podejrzanego, poza wylotami kilku niezbadanych dotąd pieczar nad swoją głową, wdzierających się chłodem nieznanej nieokreśloności do ostoi naturalnego piękna. Czy to właśnie stamtąd nadeszli? Wylali się przeraźliwą falą, nieopisane koszmary z trzewi ziemi?

Dobiegł go dochodzący jakby z oddali szmer, który z czasem wyklarował się w kakofonię mnogich cielsk, z szuraniem przedzierających się poprzez skalne przejście. Zdał sobie sprawę, że właśnie poznał odpowiedź na swoje pytanie, a naukowcy koncernu karygodnie się mylili. Zdjął z pleców miotacz i wycelował go w ciemny otwór, który niczym przerażające oko gapił się na niego z góry. Czuł, jak napinają mu się mięśnie, ciało zastyga w gotowości bojowej.

Chłodna kalkulacja wyparła wszystko inne. Ile ich mogło być? Czy wystarczy mu paliwa? Jak szybkie mogły być te istoty? Te oraz inne zmienne musiały zostać wzięte pod uwagę, jeśli chciał przeżyć. i to szybko, gdyż hurgot przybliżał się z każdą sekundą.

Scena, której stał się potem świadkiem dosłownie nie mieściła się w głowie. Przemknęło mu jedynie przez myśl, że rozumie dlaczego ludzie mogli stracić zmysły po tego rodzaju spotkaniu. Zamarły w bezruchu gapił się na wysypujące się z szybu potwory rodem z najstraszliwszych koszmarów. Wygląd tych diabelstw przeczył prawom natury — posiadały nieforemne, oślizgłe, odrażające cielska o konsystencji melasy, przelewające się na podobieństwo groteskowych wałków tłuszczu. Poruszały się na przynajmniej ośmiu muskularnych łapach z na oko nie mniej niż dwoma dodatkowymi stawami, uzbrojonych w sztyletowate pazury połyskujące niczym obsydian. Grzbiety kreatur porastały przypominające ukwiał narośle barwy zgniłej żółci, pośród których dało się gdzieniegdzie dostrzec cienkie łodygi szypułek. i to nawet nie okrutne, dzikie, wyłupiaste oczy, kolebiące się na ich czubkach jak jakieś piekielne ulęgałki, przeraziły go najbardziej. Gorsze były od nich szeregi owalnych gąb, najeżonych kolczastymi wyrostkami podobnymi do zębów rozdrabniarki, ułożonymi w obracające się rytmicznie ze zgrzytem pierścienie. To właśnie te nadciągające paszcze mordu hipnotyzowały ofiarę, odbierając jej wolę ucieczki.

Jego pierwsza przytomna myśl brzmiała: To musi być halucynacja! Efekt działania trujących oparów! Ale gdy posłał spojrzenie w kierunku stojącej w pobliżu klatki, potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Ptakowi nic nie było. To wszystko działo się naprawdę.

Momentalnie tama pękła, a emocje wylały się w istnej powodzi skonfliktowanych odczuć. z jego ust wyrwał się nieartykułowany krzyk przerażenia, furii oraz rozpaczy zarazem. Uświadomił sobie, że czeka go najstraszliwsza walka w całym życiu. Wycelował prędko lufę miotacza w najbliższe monstrum, nacisnął spust, a wtedy broń plunęła jęzorem ognia. Zatoczył nią krąg, rozsiewając niszczycielski żywioł pośród potwornych zastępów. Żarłoczny płomień natychmiast ogarnął stworzenia, które wydały z siebie jedynie przeraźliwy nieziemski pisk, wibrujący, kaleczący słuch. Rozległ się mdły bulgot gotującej się mazi ich ciał. Poczuł, że z uszu cieknie mu krew, jednak nie miało to już znaczenia. Zdał sobie właśnie sprawę, że to początkowe zwycięstwo było tak naprawdę pyrrusowe — zaczął stawiać opór zbyt późno. Czeluść wciąż wypluwała coraz to kolejne rzesze poczwar z koszmaru, zalewające go niczym bluźniercza powódź, otaczające go zwartym kordonem ohydy. Przeklinając bezgłośnie koncern, rząd, Boga oraz wszystko inne, co tylko przyszło mu do głowy, toczył dalej zacięty bój z boleśnie wyraźną świadomością nadchodzącej śmierci.

Wszystkiemu przyglądał się uważnie kanarek, wodząc paciorkami oczu to w lewo, to w prawo, starając się jak najlepiej objąć wzrokiem cały obraz rzezi.

***

Surowy oficjel w wojskowym mundurze obwieszonym odznaczeniami niczym bożonarodzeniowa choinka przemierzał szybkim krokiem główny korytarz tajnej placówki rządowej. Towarzyszył mu brodaty jegomość w laboratoryjnym kitlu, ściskający pod pachą niewielki tablet.

— Mam wielką nadzieję, doktorze, że pańskie grzebanie w mózgu na coś się zdało — zwrócił się do niego żołnierz.

— Zapewniam generale, że rezultat mojego eksperymentu w pełni pana zadowoli — przekonywał naukowiec, nawet nie próbujący ukryć wyraźnych oznak zdenerwowania.

— Lepiej żeby tak było, dla pańskiego dobra — uciął tamten i pchnął drzwi znajdujące się na końcu korytarza. Prowadziły one do rozległej sali konferencyjnej, gdzie oczekiwali na ich przebycie członkowie sztabu kryzysowego, wyjątkowo w pełnym składzie, co podkreślało powagę sytuacji.

Generał nie zaszczycił zgromadzonych choćby spojrzeniem. Od razu podszedł do ogromnego holoekranu z przodu pomieszczenia. Stamtąd miał dobry widok na wszystkich ludzi siedzących dookoła stołu.

— Pozwólcie państwo, że zacznę od ważnego ogłoszenia — odezwał się w końcu, lustrując wszystkich stalowym wzrokiem. — Dosłownie przed chwilą prezydent wraz z rządem tymczasowo zrzekli się władzy, przekazując ją w ręce armii. Na nas spoczywa teraz pełna odpowiedzialność za uniknięcie katastrofy na skalę globalną. W związku z tym przejmuję pełne dowodzenie. Od tej chwili wszyscy będziecie wykonywali moje polecenia — podniósł prawą dłoń, ucinając wszelkie protesty. — Nie mamy czasu na czcze deliberacje. Pora zająć się bardziej naglącymi sprawami. Przede wszystkim klęską projektu „Kanarek". Oddaję głos ekspertowi, który wprowadzi nas w szczegóły.

Brodacz włączył tablet, a w tym samym momencie ożył także interaktywny holoekran, zapełniając się gąszczem pomniejszonych wykresów oraz ikonek.

— Mniej więcej kwadrans temu neurotransmiter, który wszczepiłem obiektowi w trakcie operacji, gwałtownie zakończył nadawanie — zaczął. — Biorąc pod uwagę rozkodowany przekaz z kory wzrokowej — dwoma palcami powiększył przekrojowy schemat budowy wspomnianego organu. Kolorem niebieskim zaznaczono na nim odpowiedni obszar, odpowiedzialny za odczytywanie bodźców wzrokowych. — możemy spokojnie uznać go za zmarłego. Szczególnie ciekawy w kontekście dawnych relacji o kryjącym się w kopalni „zagrożeniu nieznanej natury" jest sam koniec przekazu. Moje komputery przekon-

wertowały informacje zapisane w mózgu obiektu na ciąg obrazów, które następie zmontowałem, tak aby utworzyły film — bardzo zadowolony z siebie otworzył plik wideo, wciskając równocześnie przycisk przewijania. Na ekranie migały coraz to kolejne fragmenty podróży samotnego mężczyzny. — Potwierdziły się zastanawiające odczyty skanera, sugerujące znaczne deformacje podziemnych korytarzy. Byliśmy również w stanie ustalić, iż żyła rudy jest w samej rzeczy niezwykle bogata.

— Na tyle, aby zakończyć kryzys? — wtrącił się generał.

— Wszystko na to wskazuje. Jednakże jej wydobycie jest tak niebezpieczne, że graniczy z niemożliwością. a oto przyczyna — badacz zastopował nagranie, które ukazywało teraz nieco rozmazane stworzenie o niepojętym wyglądzie. Cały sztab westchnął ze zgrozy. — Dla ułatwienia wyizolowałem poszczególne elementy fizjonomii tej istoty, tworząc jej poglądowy wizerunek — Po lewej stronie pliku pojawiło się graficzne przedstawienie poczwary.

— Czy mamy do czynienia z kolejnym pomiotem Wielkich Przedwiecznych? — upewnił się jeden z członków zgromadzenia. — Nie chcielibyśmy kolejnego incydentu z Innsmouth.

Pozostali pokiwali głowami. Wszyscy znali niepokojące fakty, wszyscy czytali Arkham Files, skrzętnie skrywaną dokumentacje zadziwiających zdarzeń z historii kraju, które z raczej marnym skutkiem starał się swego czasu ujawnić pewien pisarzyna.

— Nie wykluczamy takiej możliwości — pospieszył z odpowiedzią nowy dowódca — Ale póki co nie mamy szczególnego powodu do obaw. Gdyby chodziło o inwazję, te istoty już dawno by się na nią zdecydowały. Utworzone na szlaku zakładu przeszkody zdają się wyraźnie sugerować, że pragną jedynie zachować zajętą lokację dla siebie. Niestety nie mamy tego luksusu i nie możemy brać pod uwagę ich zaopatrywań na sprawę. Nie zapominajmy przy tym, iż zaatakowały obywatela tego kraju. To podstawa do wypowiedzenia wojny.

Rozległy się zaniepokojone szmery. Po chwili odezwała się przewodnicząca Tajnych Służb:

— Zanim podejmiemy pochopną decyzję, czy istnieje możliwość weryfikacji tych danych? o ile pamiętam projekt zakładał ciągłą inwigilację działań obiektu?

— Zgadza się. Towarzyszyła mu biomechaniczna kamera. Dla bezpieczeństwa postanowiliśmy nadać jej ptasi kształt. Kanarka, ściśle rzecz biorąc. Zaprogramowaliśmy ją też, aby imitowała zwierzęce zachowania.

Agentka uśmiechnęła się lekko. Trudno było nie docenić ironii.

— Czy potwierdziła ona wstępne ustalenia?

Naukowiec przełknął ślinę.

— Obawiam się, że nie zdążyłem jeszcze przejrzeć nagrania do końca. Postanowiłem od razu je państwu przedstawić — czując na sobie palące spojrzenie generała, niezwłocznie uruchomił kolejny plik. — Mechaptak także uległ zniszczeniu — zaznaczył na wstępie. — Tak więc zapis może być niepełny.

Prędko odnalazł właściwy moment filmu — ten, kiedy wysłany pod ziemię mężczyzna wszedł do centralnej groty. Nacisnął pauzę.

— Miejsce, które państwo widzicie — kontynuował, wyświetlając obok skan całego kompleksu tuneli. — oznaczone jest tu jako czerwony prostokąt. Stanowi granicę najdalszego zasięgu działań koncernu. Odchodzą z niego inne odnogi, zupełnie niezbadane przez człowieka. To stamtąd zdają się pochodzić agresorzy.

Ponownie aktywował film. Sztab obserwował uważnie, jak nieświadom swej roli nieszczęśnik bada wnętrze jaskini, by wreszcie przystanąć na półce wznoszącej się ponad taflą wody. Dłuższą chwilę nic szczególnego się nie działo, aż tu nagle…

— Tam! Spójrzcie! — wykrzyknął Minister Spraw Wewnętrznych.

Faktycznie, u podstawy skały, w punkcie, gdzie woda stykała się z pożyłkowanym od rudy kamieniem, zaczął się powoli wydzielać gaz. Kłęby oparu unosiły się ku górze, wijąc się niczym groteskowy wąż. Następnie złączyły się, tworząc chmurę za plecami podziwiającego grotę człowieka. Jego zachowanie wyraźnie się zmieniło, zaczął nasłuchiwać, jakby dobiegały go niepokojące odgłosy z szybu nad głową. Skierował miotacz w stronę rozprzestrzeniającego się wyziewu, który wycelował ku niemu rozliczne dymne macki.

— Ten gaz — bąknął któryś z obecnych w sali konferencyjnej. Ciężko było określić kto, bo wszyscy utkwili wzrok w holoekranie — On żyje!

— To niemożliwe — rzucił pobladły doktor. — Takie zjawisko nie występuje w przyrodzie. To musi być jakaś… iluzja… — wiedział jednak, że to nieprawda.

Tymczasem widmowe odnóża oddzieliły się znów od cielska, rozpadłego teraz na mnóstwo integralnych części, i skonsolidowały się w przedziwne kształty. Ich zarysy przypominały do złudzenia maszkarę, którą zaprezentowano im jakiś czas wcześniej. Owe niematerialne stwory rzuciły się w stronę ofiary. Spowity oparem mężczyzna oddał strzał z miotacza, trafiając jedynie powietrze. Lufa broni plunęła ogniem jeszcze parę razy, a potem upadła ona na ziemię. Obiekt z rozpaczliwym krzykiem rzucił się w ślad za nią. Wyglądało to tak, jakby rękami odpędzał się od niewidocznego przeciwnika, by w końcu mu ulec.

Badacz zrobił zbliżenie, zdając sobie z tego sprawę jedynie połowicznie. Dało się wtedy dostrzec, iż na ciele tarzającego się biedaka pojawiać się zaczęły znikąd głębokie rany, broczące krwią.

— Autosugestia — wyszeptał z przerażeniem, niebezpiecznie zabarwionym fascynacją. — Ten gaz ma neurologiczne działanie do tej pory nieznane nauce, niewyobrażalnie destrukcyjne. Silne halucynacje, samookaleczenia… Toż to istne narzędzie zagłady!

Generał pomyślał o tym samym, zastanawiając się, czy dałoby się go użyć do celów militarnych. Ale stwierdził, że na takie rozważania przyjdzie czas później, kiedy nie będzie już im groziła energetyczna zagłada. i kiedy będzie można mieć pewność, iż nie obróci się przeciwko nim.

Gdy masakra dobiegła końca, zapadła całkowita cisza. Przerwała ją nieśmiało przewodnicząca Służb Specjalnych.

— Czy w ten sposób da się wyjaśnić pozostałe sprawy z Arkham Files?

Doktor nie był w stanie tego jednoznacznie stwierdzić. Logiczne wyjaśnienia bez dwóch zdań byłyby kojące. W niektórych przypadkach może i miałoby to sens, ale w innych… Poza tym miał niepokojące przeczucie, że kluczową rolę odgrywa tutaj tak pożądany przez cały świat nowy surowiec. Co oznaczało prawdopodobnie konieczność ponownej oceny ryzyka związanego z jego wykorzystaniem. Ale nie wszystko się zgadzało: jak wyjaśnić niezwykłe blokady korytarza? Przecież opary z czysto fizycznego punktu widzenia nie mogły mieć z tym nic wspólnego. Coś mu mówiło, że wojsko mało się tym wszystkim przejmie i wyśle tam prędko batalion wyposażony w maski gazowe. Ludzkość mógł czekać niebawem o wiele straszliwszy kryzys. a on niewiele mógł w tej sytuacji zdziałać. Poczuł się tak potwornie bezsilny.

Tymczasem generał doszedł do słusznego wniosku, że nowe informacje wymagają dłuższego rozważenia, po czym odesłał cały sztab. Mieli się ponownie zebrać kolejnego dnia w południe.

— Idzie pan, doktorze? — rzucił od drzwi.

— Tak, tak — brodacz pospieszył za nim, ściskając mocno w dłoni tablet.

Z wrażenia zapomniał wyłączyć holoekran, na którym wciąż odtwarzany był film nagrany przez kamerę biomechanizmu. Widać na nim było cofające się macki gazowej chmury, okaleczone ciało, a także, nieco dalej, dojmującą czerń jednej z zagadkowych pieczar. Krótko potem obraz zaczął się zacinać, by wreszcie ustąpić miejsca ziarnu zakłóceń. Pomieszczenie było już puste, toteż nikt nie miał okazji dostrzec, jak na zaledwie sekundę, którą nietrudno by nawet uznać za przywidzenie, powraca wizja i stopniowo z jednej z pieczar wynurza się niezidentyfikowana żywa istota. Stworzenie z nienaturalną szybkością zbliżyło się do obiektywu. Klarowny obraz ponownie zastąpił biały szum.

Gdy gwiazdy się ułożą

Marcin Moń

Postrzępione chmury przesłaniają większość gwiazd. Z brzuszyska największej — granatowoczarnej, wzdętej burzą bestii — dobiega przeciągły pomruk gromu. Szeleszczą liście drzew, wiatr mamrocze do mnie głosami obłędu.

Głosami Przedwiecznych.

Biegnę boso przez mokrą trawę i sam już nie wiem, czy za czymś gonię, czy jestem goniony. Przedzieram się przez gąszcz. Gąszcz splątanych myśli, wspomnień i kolczastych zarośli, które chcą mnie zatrzymać. Gałęzie wyciągają do mnie swoje rozcapierzone, pazurzaste łapy. Biegnę i zastanawiam się, co mnie doprowadziło do tej chwili. Gdzie popełniłem błąd, w którym momencie skręciłem z prostej ścieżki normalnego życia — praca, rachunki, podatki, urlop, samochód, dom — i otworzyłem nie te drzwi, co trzeba, przekroczyłem

Marcin Moń — ur. 1988; absolwent lingwistyki stosowanej na UMCS w Lublinie; z zawodu tłumacz, od kilku lat zajmujący się głównie przekładem literatury fantastycznej (Hugh Howey, Jon Sprunk); swoje teksty publikował również w „Magazynie Fantastycznym", „Qfancie" oraz „Smokopolitanie".

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 101-106.

próg, zza którego nie ma już odwrotu, nadepnąłem na gałązkę, której trzask zwrócił na mnie uwagę czegoś, co lepiej, żeby pozostało uśpione. Oślizłej bestii, przed której wzrokiem nie sposób się ukryć.

Jestem taki zmęczony. Sen już od dawna nie daje ukojenia. Za każdym razem, gdy opadają mi powieki — a dzieje się to bez przerwy — mam uczucie jakbym zatapiał się w czymś lodowatym. Jakby potężne ciśnienie wciskało mi w płuca słoną morską wodę, gorzkawą od glonów porastających dno oceanu.

On mnie widzi. Śni o mnie tak samo, jak ja śnię o nim. Nie. On śni inaczej, potężniej. Jego sen jest bardziej realny niż moja rzeczywistość. Jak mógłbym się z nim równać? Wcześniej w swoim ludzkim zadufaniu myślałem, że to ja wybrałem jego, że zainteresowałem się starożytnym językiem, w którym napisano hymn na jego cześć. Że świadomie podjąłem decyzję, by zacząć rozszyfrowywać zakodowany w tym prymitywnym czterowierszu ukryty przekaz. Teraz rozumiem, że to on wybrał mnie.

Cthulhu.

***

Sybilla była, jak to transartystka-automorfistka, trudna do opisania. Raz niebieskowłosa i ostra jak brzytwa, innym razem mlecznobiała i niewiele kontaktująca. „Odurzona własną rzeczywistością”. Styl ubierania zmieniała tylko nieco częściej niż paradygmat, a ten zmieniała jak rękawiczki. Kiedyś przez tydzień autentycznie wierzyła w Odyna, kiedy indziej przez miesiąc rozmawiała z boginią Gają, która przemawiała do niej poprzez drżenie płyt tektonicznych. Życie było jej płótnem. Na swojego lifeloga wrzucała dosłownie wszystko, od postępów swoich programowalnych bakterii — robiła z nimi coś z pogranicza ewolucji, matematyki i sztuki, ale nigdy nie zrozumiałem, o co dokładnie chodziło — aż po fotki swojej córeczki. Dziewczynkę wychowywała bezjęzykowo, komunikując się z nią przez zastępującą wszczepkę infoflorę, za pomocą obrazów mentalnych i emocji. „Żeby nie stłamsić jej naturalnej kreatywności i żeby nie skaziła jej samcza semantyka patriarchalnego systemu, w jakim żyjemy”. Rodzić musiała na Marsie, bo żaden ziemski rząd nie pozwoliłby jej na coś takiego, ale w końcu postawiła na swoim.

Dziecko z marsjańskim obywatelstwem nie było, rzecz jasna, moje. Zresztą ani razu się nie kochaliśmy. To nie była tego rodzaju kobieta. Kopulowaliśmy za to jak zwierzęta, dziko, łapczywie, obleśnie i cholernie satysfakcjonująco. Ja akceptowałem jej dziwactwa. Ona ledwo znosiła moją normalność, czy raczej „sztywny konformizm”.

— Może spróbujesz wtłoczyć do swojej zamkniętej czaszki coś nowego? — zapytała mnie pewnego razu, kiedy oglądaliśmy instalację na wernisażu którejś z jej psiapsiółek. — Mam u siebie w mieszkaniu trochę zarodników infoflory.

— Ja już mam infoflorę. — Wzruszyłem ramionami, udając, że podziwiam zwisające z sufitu zwoje drutu kolczastego, dilda w rozmiarze XXL i trójwymiarowe wydruki ludzkich kości przewiązane różowymi wstążeczkami. Symbolizm, że cholera.

— Ale ty masz taką ze sklepowej półki — powiedziała, wbijając mi swoje niebieskie szpony w przedramię. — Nuda.

— A to nie wszystko jedno? I tak używam jej głównie do czucioglądania pornosów. — Ot, mieszkające w mózgu symbiotyczne bakterie z półprzewodzącymi organellami, pomyślałem wtedy. Czym się mogą różnić? Ważne, jaki soft im się wgra, a wgrywałem już różne rzeczy. — Myślisz, że zestawienie różowych wstążek z ludzkimi kośćmi symbolizuje miałkość naszej kultury panicznie uciekającej przed świadomością śmierci? — zaryzykowałem.

Prychnęła pogardliwie, a ja nie wiedziałem, w której kwestii wykazałem się ignorancją: infosymbiontów czy interpretacji sztuki. Prawdopodobnie w obu.

— Moje zarodniki mają zdjęte blokady — szepnęła.

— „Prawie legalne", hm?

— Wnikasz tak głęboko, jak zechcesz. Hormony, neuroprzekaźniki, skojarzenia, odruchy, pamięć. Całe płaty mózgu włączasz i wyłączasz jak światło w przedpokoju — zamruczała niczym kotka pogłaskana tak, jak lubi najbardziej.

— Nie umiem programować. — Wzruszyłem ramionami. Może nie znam się na sztuce, ale te dilda chyba musiały w jakiś sposób reprezentować męskość? Testosteron? Może szowinizm? Jak to ona mówiła? Opresyjny patriarchat?

— W sieci jest pełno programów i programików. Edytorów. Cała masa zapaleńców wymienia się modyfikacjami. To jak, zastanowisz się? — Poskrobała mnie pod brodą jak zwierzątko, swoim niebieskim szponem. — A tak w ogóle to gdybyś miał choć odrobinę wrażliwości artystycznej i elementarnej wiedzy, dotarłoby do ciebie, że patrzymy na metaforę Pierwszej Wojny Światowej.

***

Gdzieś nad moją głową rozlega się huk. Kulę się, odruchowo przyciskam plecy do chropowatej kory drzewa. Pokrzywy parzą mnie w bose stopy, ale prawie tego nie czuję. Złowrogi ryk opada o pół oktawy i powoli cichnie, a ja poprzez listowie dostrzegam wśród gwiazd oślepiający, błękitny ogon plazmolotu. Chce mi się śmiać. Roimy sobie, że zawojowaliśmy świat. Że jesteśmy władcami galaktyki, bo umiemy na jakiś czas zmienić gaz w słup ognia gorącego jak słońce, bo polecieliśmy w kosmos, bo zbudowaliśmy parę miasteczek

na pobliskiej planecie i garstkę mizernych baraków na kilku księżycach. A prawda jest taka, że nadal nic nie znaczymy. Nadal jesteśmy żałośni w porównaniu z siłami, których nie jesteśmy w stanie pojąć.

Ta myśl przeraża, ale i otrzeźwia. Nastawia soczewki umysłu tak, by obraz stał się ostry jak brzytwa. Nagle wszystko robi się tak niesamowicie realne — kora, pokrzywy, zimne powietrze, zapach wilgotnej ziemi. Każdy krok każdego z sześciu chropowatych odnóży chodzącego mi po dłoni żuka odczuwam z intensywnością smagającego skórę bicza. Strach pomaga poczuć, że żyję. Ledwo słyszalne głosy Przedwiecznych przecinają powietrze, a jakaś pierwotna cząstka mnie reaguje na ten zew, wpada w rezonans jak struna.

I wtedy ją spostrzegam. Kartka! Skrawek rozmokłego od deszczu papieru szamocze się jak mały, śmiertelnie przerażony ptaszek schwytany w szpony krzewów. Wiatr rozwiał moje notatki. Potrzebuję notatek — umysł wzdraga się przed słowami plugawego języka, który studiowałem przez ostatni miesiąc. Choćbym nie wiem ile razy próbował się ich nauczyć, mózg wypluwał z siebie szorstkie frazy niczym gorzkie, trujące owoce.

Delikatnie biorę kartkę do ręki, brzegi się rwą, ale litery pozostają nienaruszone. Przechodzą mnie ciarki, gdy przebiegam po nich wzrokiem. Podnoszę oczy. Grożąca burzą chmura przepływa bokiem, a te mniejsze, postrzępione powoli się rozwiewają. Patrzę w gwiazdy i już wiem. To ta noc. Oś kalendarza rzeczywistości. Noc na styku światów. Moment, wokół którego obracają się wszystkie inne dnie i noce.

***

Zawsze lubiłem klasykę. Poe, Lovecraft, nawet staruszek Crowley, którego „powinno się powiesić", ale jakoś nigdy zadyndał. Eleganccy panowie z dawnych, czarno-białych czasów, którzy dostrzegali więcej niż inni i nie były to miłe rzeczy. Okazało się, że nie jestem odosobnionym przypadkiem.

Gdy Sybilla wrzucała mój pomysł na swojego lifeloga, nie spodziewałem się, że kogokolwiek zaciekawi on w większym stopniu niż infantylistyczno-kubistyczne bohomazy jej marsjańskiej córeczki. Myliłem się. Chwyciło jak cholera. Setki osób zadeklarowały, że dołączą się do mojego „transformance'u". To Sybilla tak to nazwała: transformacja i performance w jednym, w myśl idei „życie moim płótnem".

Każdy dorzucał coś od siebie do tego dzieła sztuki z pogranicza życia i gry — drobne sugestie, pomysły i Pomysły. Pewien pisarz-conlanger obiecał, że zaprojektuje język specjalnie na tę okoliczność, prymitywny i chrapliwy, stający ością w gardle człowiekowi Zachodu. Idealny. Tworzyliśmy własne mitologie, tajemnice fraktalnie zagnieżdżone w innych tajemnicach. „Wiara w starożytne siły. Powrót do dzikiego animizmu. To takie pierwotne, takie atawistyczne,

takie seksowne" — mówiła. — „Współczesny, wykastrowany cywilizacją człowiek potrzebuje, żeby strach przeorał mu plecy pazurami."

Udział zadeklarowało ponad 430 osób. Czekało nas kilka tygodni w skórze bohatera Lovecraftowskiej powieści: narastająca obsesja na punkcie tajemniczego czterowiersza w fikcyjnym dialekcie języka starosumeryjskiego, próby rozwikłania zagadki i rozszyfrowania ukrytej w nim inkantacji, nieodparte wrażenie kontaktu z potężną, plugawą siłą z dna oceanu. Totalna zmiana paradygmatu, nowe spojrzenie na świat. A potem katharsis w formie resetu pamięci i powrót na łono cywilizacji jako nowy, odmieniony człowiek, bogatszy o niesamowite doświadczenie.

Nie mogłem się doczekać.

***

Krwawy księżyc rzuca akurat tyle światła, żeby, wytężając wzrok, dało się rozczytać nakreślone drżącą ręką litery.

— *Eud Tauh̆du ôkteshu, lebboch nu ar̆ukte ethru mibu…* — szepczę wyrazy, które brzmią jak osuwające się po zboczu kamyki, jak trzask gałązki pod łapą drapieżnika. — *Kyne etme K'thulu, an R'lyeh edhuh̆e…*

Oto słowa, które muszę wypowiedzieć. Słowa, które albo mnie uwolnią, albo zabiją. Obie alternatywy wydają się kuszące. Podnoszę głos.

— *Eud Tauh̆du ôkteshu! Lebboch nu ar̆ukte ethru mibu! Kyne etme K'thulu! An R'lyeh edhuh̆e*!

Na każde moje zawołanie odpowiada echo niczym odzew tłumu wiernych. Z każdej strony otaczają mnie ponure posągi drzew, a ja stoję pośrodku polany jak kapłan i wykrzykuję słowa z kartki. Dygoczę na całym ciele. Jestem wycieńczony. Patrzę w niebo, na układ gwiazd, na rdzawy cień Ziemi kładący się na tarczy księżyca. Mam właściwą kombinację. Mam odpowiednie słowa. Rozwiązałem wszystkie zagadki, jakie miałem rozwiązać. Przez ostatnie tygodnie uciekałem, kradłem, chowałem się w piwnicach i kanałach, drżałem o własne życie. Moja psychika czerniała i kruszyła się jak pożerany płomieniem papier. Wiem na pewno tylko jedno. Wiem, co należy zrobić i co powiedzieć, by przepędzić Cthulhu z mojego umysłu…

…ale…

…to nie działa.

— *Kyne etme K'thulu! An R'lyeh edhuh̆e...*!

Krzyczę aż do zdarcia gardła, ale wciąż słyszę głosy Przedwiecznych, wciąż widzę ich macki i szpony w powykręcanych gałęziach drzew.

Nie ma wytchnienia. Śnię o nim, a on śni o mnie.

***

Użytkownik *brainstormer101* odpowiedział na twój post:

Hej, spóźniłem się na start projektu „Cthulhu”? Ostatnio coś tu pustawo...

Bardzo podoba mi się pomysł wyzwalacza resetu pamięci opartego na „właściwym układzie planet” (świetnie wpasowuje się w lore), ale mam jedno zastrzeżenie. Ciała niebieskie Ci się chyba pomyliły. Myślę, że chodziło Ci o zaćmienie księżyca w trakcie opozycji Marsa, a nie Jowisza. Wg mojego kalkulatora efemeryd (NASA/JPL) takie zdarzenie astronomiczne nie będzie miało miejsca przez najbliższe sto siedemnaście lat.

Obżartuch

Paweł Lach

Tamtej straszliwej nocy, której wspomnienie na zawsze wryło się w moją pamięć, śnieg okrywał bielą dzielnicę ruder, odmieniając jednocześnie jej sczerniałe i brudne oblicze. Trzymając w zmarzniętej dłoni lampę, spoglądałem raz po raz na bystrą i zaciętą twarz mojego niedawno poznanego kompana. Obrazy rozkładu i śmierci, które napotykaliśmy co krok, nie robiły na nim najwyraźniej wrażenia.

Henryk Beatreaux, bo o nim mowa, stawiał zamaszyste kroki, przytrzymując prawą dłonią cylinder. Znajdowałem w jego spojrzeniu niebezpieczną pasję, jakąś obsesję, która instynktownie nakazywała mu podążać do celu. W doskonale skrojonym granatowym płaszczu, w spodniach z kantem wpuszczonych w wysokie buty, z monoklem w prawym oku, z upomadowanym wąsem i spiczastą bródką, prezentował się wciąż nienagannie.

Paweł Lach — urodzony w orwellowskim roku 1984. Mieszka i pracuje w Oświęcimiu, gdzie angażuje się w działalność lokalnego Klubu Fantastyki. Współpracuje jako recenzent z portalami muzycznymi („RockMagazyn" i „Kvlt".). Publikował swoje opowiadania w prasie fantastycznej, magazynach sieciowych i antologiach.

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 107-120.

W pewnym momencie, gdy sylwety opuszczonych drewnianych domów wyrosły po naszej lewicy, strasząc pustką zabitych okien, drogę przebiegł nam czarny kot. Mój towarzysz zatrzymał się nagle i z uwagą odprowadził spojrzeniem znikające za rogiem zwierzę, które w ciemnościach błyskało jeszcze ślepiami. W jedną chwilę twarz pana Beatreaux spochmurniała, a czoło zmarszczyło się.

— Czyżby i pana prześladowała obawa przed pechem? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Nie wierzę w złe omeny — odparł Beatreaux. — Ale zawsze niepokoi mnie widok ludzkiej krwi.

— Krwi? — zdziwiłem się, spoglądając, jak mężczyzna przyklęka.

— Poświeć mi latarnią, proszę.

Podszedłem bliżej. Jasny snop lampy wyłowił z mroku świeże kocie ślady, które odcisnęły się na sypkim śniegu. Rzeczywiście coś jeszcze czerniło się na białym puchu, a mianowicie odciski ciężkich butów i krwiste plamy. Zawierucha niemal je zatarła.

— To tutaj! — zawołał Beatreaux, ruszając w czerń zaułka. Ja podążyłem za nim, czując ucisk niepokoju. Nie trwało długo, nim w cieniu opuszczonej rudery dostrzegliśmy ludzkie ciało.

— Czy to on? — zapytał. — Czy to pomocnik pani Martins?

— Taaak... Chyba tak — odparłem, przyświecając sobie lampą. — Zdaje się, że to rzeczywiście służący z karczmy.

Wynędzniała twarz zmarłego nieszczęśnika zastygła w grymasie bólu. Ciało leżało w kałuży krwi, powoli niknącej w bieli śniegu. Na obnażonej szyi, zapadłych policzkach i dłoniach ofiary widać było potworne czyraki, które otworzyły się najwyraźniej w nagłym ataku krwotoku, powodując zapewne fizyczne cierpienie, a ostatecznie śmierć.

Nie zdążyłem odezwać się, bo gdzieś w oknie rudery zamigotało mdłe światło.

— Jesteś gotowy? — zapytał Beatreaux.

— Gotowy na co? Przecież trudno uwierzyć w pana przypuszczenia.

— Miej zatem nadzieję, że się pomyliłem, mój młody przyjacielu. Bardzo chciałbym, żeby tak było.

Henryk Beatreaux zachmurzył się bardzo, a potem ruszył w kierunku drzwi prowadzących do drewnianej rudery, skrzypiącej pod naporem mroźnego wiatru.

***

Powrócę w tym miejscu, szanowny czytelniku, do wydarzeń wcześniejszych, aby w pełni oddać grozę tamtej śnieżnej nocy, której krwawe tajemnice igrały ze zdrowym rozsądkiem. Co ciekawe, jakby w kontraście do grozy nocnej pory,

dzień 2 stycznia 184... roku zapowiadał się zgoła niewinnie i zwyczajnie. Niemniej już po południu dałem złapać się na haczyk sekretnej i straszliwej przygody, a wszystko za sprawą anonsu, jaki ujrzałem na pierwszej stronie codziennej gazety, wydawanej w mieście B.

Pozwolę sobie przytoczyć tutaj jego treść:

Poszukiwany – w celu szlachetnego zadośćuczynienia – mężczyzna w wieku sędziwym, chorobliwie wręcz szczupły, który zwykle odziewa się w czerń długiego płaszcza i wysoki szapoklak. Jegomościa widywano często, jak wysiada z czarnego powozu. Możliwe, że poszukuje lokum w mieście B. Dla osób, których wskazówki okażą się pomocne w odnalezieniu rzeczonego mężczyzny, przewidziano nagrodę pieniężną. Kontaktować się prosimy z Sz. P. Henrykiem Beatreaux, którego znaleźć można wieczorami, pomiędzy ósmą a dziesiątą, w „Przystani Snów".

Być może większość czytelników nie zwróciłaby uwagi na podobne ogłoszenie, ale postać szczupłego mężczyzny obleczonego w czerń przywołała nagle w mej pamięci wspomnienia pewnych niezbyt przyjemnych wypadków sprzed tygodnia, kiedy spotkałem osobę odpowiadającą przytoczonemu opisowi. „Chorobliwie szczupły", ten szapoklak i czarny powóz. Nie mogło być wątpliwości. W dodatku myśl, że mógłbym mieć pretekst, by przekroczyć próg Przystani Snów, zesłała na mnie dreszcze podniecenia.

Słyszałem o tym miejscu już wcześniej to i owo, a każda z opowieści krążących po B. niosła z sobą posmak intrygującej zagadki. Mówiło się wiele o spotykającej się tam bohemie, nieszczędzącej grosza na opium i absynt, oddającej się dziwnym rozważaniom o sztuce, nauce i dziedzinach, tajemnych które zwykły rozpalać wyobraźnię ludzi oczytanych i wrażliwych zarazem. Krążyły plotki o spirytystycznych seansach i niepospolitych zwyczajach klienteli, przychodzącej tam podobno także dla wymiany tajemnych ksiąg. Jako ubogi student nie pretendowałem zapewne do miana bywalca takich miejsc.

Czytając anons wydrukowany na tytułowej stronie *B. Tribune*, po raz pierwszy też zetknąłem się z nazwiskiem Beatreaux, które nie powiedziało mi wiele o ogłoszeniodawcy, poza wskazaniem jego francuskiego pochodzenia. Ale z treści ogłoszenia i formy jego druku, mogłem jednak całkiem sporo wywnioskować. Po pierwsze ten tajemniczy Beatreaux wydawał się być ekscentrykiem skoro bywał w miejscu takim jak Przystań Snów. Po drugie zaś musiał być zamożny; fundował wszak nagrodę, a anons zamieszczał w poczytnej gazecie przez trzy dni z rzędu (sprawdziłem to później), za co musiał słono płacić. Zwłaszcza, jeśli służyła do tego pierwsza strona.

Dodać muszę, że czas był wtedy niespokojny. Od kilku dni znajdowano w mrocznych zaułkach B. ludzkie ciała, dotknięte jakąś straszliwą formą zarazy, która pokrywała skórę krwistymi czyrakami, by zesłać następnie na nieszczęsnych bolesną i gwałtowną śmierć. Paru ekscentryków głosiło pogląd, że nie mogła to być zwykła choroba, bo nie pasowała do żadnych znanych nam opisów pandemii. Ofiary nie były wcale liczne, niekoniecznie miały ze sobą kontakt, a śmierć przychodziła gwałtownie. Byli tacy, którzy szukali wyjaśnienia ponadnaturalnego lub dopatrywali się w tych przypadkach widma jakiejś wykoncypowanej zbrodni, za którą stał szaleniec, dysponujący wiedzą o nieznanych chorobotwórczych bakcylach.

Sam nie miałem zdania na ten temat i niewiele się sprawą zajmowałem. Los jednak miał mnie pchnąć w samo serce zgrozy.

***

Gmach starego domu, który wyrastał pomiędzy dwiema zniszczonymi kamienicami nieopodal portu, przyciągał uwagę przechodniów posępną, kolonialną bryłą, majaczącą tamtego wieczoru wśród śnieżnej zadymki. Solidnych odrzwi, obitych stalą, z mosiężną kołatką w kształcie głowy byka, pilnował wielki drab, który złowrogo przyglądał się każdemu natrętowi. Z pewnym politowaniem mężczyzna obejrzał mój wytarty kożuch i dziurawy kapelusz – nie pasowałem najwidoczniej do wytwornej klienteli.

— Chyba pomyliłeś drogę, młody człowieku — odezwał się do mnie szorstko i odwrócił wzrok, jakby mój widok był mu nie w smak.

Wiedziałem, że nie mogę wdawać się w dyskusje. Zatem, by wypaść jak najbardziej przekonująco, wyprostowałem się, przybierając poważny – tak mi się przynajmniej zdawało – wyraz twarzy i powiedziałem pewnie:

— Jestem tutaj po to, by spotkać się z panem Betreaux. To w związku z ogłoszeniem, które znalazłem w *B. Tribune*. Może mnie pan nie wpuścić, owszem, ale *Monsieur* będzie wielce niezadowolony, zważywszy, że przynoszę istotne dla niego wieści.

Nie wiem, czy wypadłem na tyle pewnie, czy może nazwisko Beatreaux tak działało na ludzi, niemniej gestem dłoni drab nakazał czekać, po czym zniknął za drzwiami. Pojawił się niedługo potem, skinął potakująco głową i zaprosił do środka. Nie zdążyłem przyjrzeć się wytwornemu, rozświetlonemu blaskiem gazowych lamp korytarzowi.

Nim znalazłem się w piwnicy – a zejść musiałem po krętych, skrzypiących schodach – dobiegły do mnie wesołe głosy. Wszedłszy do zadymionego od tytoniu i opium pomieszczenia, pełnego rozwieszonych tkanin i ciepłego blasku

tkwiących w kandelabrach świec, od razu skupiłem na sobie spojrzenia zebranych. Mętny wzrok mężczyzn i kobiet dał mi do zrozumienia, że goście Przystani Snów błądzili teraz w innym świecie.

W pewnym momencie prowadzący mnie drab wskazał na niewielki stolik. Podszedłem bliżej i skłoniłem się mężczyźnie – jak mniemałem panu Beatreaux.

Był człowiekiem o czujnym spojrzeniu, a w jego czarnych oczach igrał jakiś ognik jasnej myśli. Miał usta wąskie i zacięte, szczękę mocno zarysowaną, ale nie pospolitą. Zakręcony z pomocą pomady wąs i spiczasta bródka dodawała mu zawadiackości, a bokobrody powagi. Nienagannie dopasowany surdut i czerniąca się pod białym kołnierzykiem wielka mucha dopełniały wytwornego wyglądu. Na stoliczku stał przed nim kryształowy kieliszek, w którym znajdowała się chyba kapka niedopitej sherry. W dłoni pan Beatreaux trzymał pięknie zdobioną fajkę.

— John August Smith — przedstawiłem się.

— Henryk Beatreaux — powiedział, wskazując na krzesło obok stolika. — Proszę spocząć. — W jego głosie pobrzmiewał melodyjny, francuski akcent.

— Jak pan już zdążył się dowiedzieć od... — Spojrzałem, czy za moimi plecami stoi drab, ale ten już zdążył zniknąć w oparach zadymionej sali. — Jak się pan zapewne domyśla, jestem tutaj w sprawie ogłoszenia zamieszczonego na pierwszej stronie *B. Tribune*.

— Czy może mi pan powiedzieć coś o wspomnianym w nim człowieku?

— Opis jest dość ogólny...

— Ale bardzo celny, jeśli ktoś poszukiwanego jegomościa rzeczywiście widział.

— Tak — przytaknąłem — Niezwykle celny.

— Czy pan miał z nim jednak do czynienia? Szczerzę wątpię.

— Widziałem go, owszem. — Zamilkłem na chwilę, by dodać z pewnym dramatyzmem: — A co, gdybym powiedział, że mogę wskazać miejsce jego pobytu?

— Doprawdy? — Francuz mruknął, wkładając fajkę do ust. Wyczułem od razu, że mi nie dowierza i ma mnie raczej za kogoś, kto próbuje wyłudzić pieniądze. Nie zraziłem się tym, widać Beatreaux spotykał się już z oszustami, którzy chcieli wyłudzić nagrodę, i nie mogłem go winić za podobny osąd.

— Opowiem zaraz o spotkaniu z poszukiwanym przez pana... dżentelmenem — dodałem po chwili, jakby słowo to nie było do końca właściwe. — Jeśli ma pan oczywiście czas, by mnie wysłuchać.

— Niech pan spróbuje mnie zainteresować — rzekł, wkładając do oka monokl i wsłuchując się z uwagą w moją opowieść.

***

Nie przynosi być może to chwały, panie Beatreaux, ale tydzień temu, w sobotę, udałem się do pewnej gospody, która mieści się w dzielnicy ruder. Nie wspomnę teraz nazwy tego przybytku ani dokładnej lokalizacji – przyjdzie być może na to czas. Muszę jedynie zaznaczyć, że to dość podłe miejsce, w którym zapewne nie wypada bywać dżentelmenowi. Można tam jednak nabyć tani bimber. Ot, i ma pan wskazówkę, co przyciągnęło do tego przybytku ubogich studentów.

Nie poszedłem tam sam, tylko w towarzystwie kilku osób. Ale tuż przed północą moi przyjaciele postanowili zmienić oberżę. Nie chciałem jednak iść z nimi, wolałem dopić tylko to, co zostało mi w kieliszku. Zbyt doskwierała mi tamtej nocy migrena. Z tego też powodu pragnąłem położyć się wcześniej.

Pożegnałem się zatem z kompanami ruszającymi na podbój nocy. Gdy roześmiane towarzystwo wyszło, zostałem sam, nie licząc pewnej damy, która prowadziła gospodę, i jej pomocnika. Z tego co wiem, kobieta ta odziedziczyła karczmę po zmarłym mężu, ale to nieważne dla opowieści. Co dziwne, w pewnym momencie zażywna i korpulentna oberżystka zaczęła rozmawiać z chłopakiem na posyłki, jakby nikogo już w środku nie było. Siedziałem w kącie izby, gdzie blade światło świec nie docierało, więc kobieta musiała wziąć za pewnik, że i ja opuściłem oberżę wraz z moimi kompanami, o których zresztą nie wyrażała się wcale grzecznie. „To nicponie i hultaje. Nic tylko przepuszczają majątek swych ojców na uciechy. Nic dobrego z nich nie będzie", powiedziała w kierunku chłopaka i machnęła ręką

Myślałem, żeby może chrząknąć albo szurnąć nogą, ujawniając tym samym swą obecność, ale postanowiłem siedzieć w ukryciu, choćby i dla hecy. Ten stan trwał może kwadrans, w czasie którego zdążyłem opróżnić kieliszek do dna. W pewnym momencie usłyszałem stukot powozu i głośne rżenie koni.

Siedziałem blisko okna i, jako że w tej części izby rozgościła się ciemność, mogłem dostrzec kontur wielkiego, czarnego powozu, który przemknął po pobliskim moście. Cóż to był za widok! Może mi pan nie wierzyć, ale widziałem cztery kare rumaki o oczach płonących czerwienią. Nie to jednak było najdziwniejsze. Nie dostrzegłem woźnicy, nawet wtedy, gdy powóz zatrzymał się tuż przy gospodzie. Ale pewnym być nie mogę, czy to aby wzrok nie płatał mi figli. Nie wypiłem co prawda wiele, niemniej ból głowy mógł mącić trochę moje zmysły.

W pewnym momencie drzwiczki powozu rozwarły się i kątem oka dostrzegłem, jak zaśnieżoną uliczką przemyka cień. Tak, cień – coś czerniło się niewyraźnie w mroku na zewnątrz. Wydało mi się to wielce osobliwe. Nie zdążyłem nawet doliczyć do pięciu, a ktoś zapukał do drzwi gospody. Te po chwili rozwarły się z hukiem, wpuszczając do wnętrza chłodne powietrze i sypki śnieg.

W drzwiach stanął... No właśnie. Trudno go opisać, bo jego wygląd miał w sobie ten ulotny pierwiastek groteskowości, który przesadnie odmalowany, jawi

się jako bujda, pominięty zaś, odbiera historii całą dramaturgię i grozę. Niemniej spróbuję, panie Beatreaux, choćby miał mnie pan uznać za szaleńca.

Musiał to być mężczyzna już sędziwy; długie, siwe włosy spływały mu na ramiona, a twarz wydawała się ściągnięta przez zmarszczki. Ostra kość sterczała z brody, czyniąc jego rysy jeszcze bardziej nieprzyjemnymi. Gładko wygolone policzki zapadały się niezdrowo, niemal ukazując zarys zębów, a pożółkłe gałki oczne łypały jakoś złowieszczo spod ronda szapoklaka. Nieznajomy był dość wysoki, ale tak chudy, jakby rozstawał się właśnie z życiem. Spod połów płaszcza wystawały dłonie, wiotkie, z długimi palcami, które powlekała cienka skóra, lekko zsiniała, ale wcale nie od mrozu. Strój jegomościa był nieco staroświecki i cały w czerni, zaczynając od jedwabnych pończoch, poprzez płaszcz, surdut i koszulę, kończąc na otaczającej rondo szapoklaka tasiemce; tylko sprzączki u trzewików były złote, zwracając uwagę swym blaskiem.

Jednak nie kolor stroju nadawał całości wyrazu żałoby, a fakt, że wszystko wisiało na wychudzonym mężczyźnie jak na strachu na wróble. On sam przypominał śmierć, przynajmniej taką, jaką można było sobie wyobrazić, słuchając klechd starych bab albo spoglądając na niektóre stare kościelne malowidła.

Gospodyni przeżegnała się na ten widok. Jej pomocnik otworzył szeroko usta.

— Dobry wieczór — odezwał się gość, a głos ten wydał mi się bardzo skrzekliwy i nieprzyjemny. — Czy można? Chciałbym zasięgnąć porady.

— Ależ... ja... — Kobieta zająknęła się, ale szybko opanowała nerwy, dochodząc najwyraźniej do wniosku, że gość to zawsze gość, bez względu na to, jak wygląda. — Tak, proszę. Oczywiście. Niechże pan zasiądzie przy stole. — Strzeliła palcami, a chłopak uprzątnął jeden ze stołów, ze strachem patrząc na jegomościa. — Czy jest pan... głodny? — zapytała nieznajomego, a jej pytanie wydawało się dziwnie niestosowne.

— Straszliwie! — odpowiedział, uśmiechając się tajemniczo. — Proszę się jednak nie trudzić z wieczerzą.

— W czym zatem mogę panu służyć?

— Szukam lokum — powiedział, wzdychając głośno. — Lokum w miejscu odludnym. W takim, w którym nikt by mi nie przeszkadzał.

— Może zaoferuję panu po prostu jeden z pokoi w gospodzie?

— Och, nie! — zaprotestował. — Karczma to miejsce, w którym ciągły ruch uniemożliwiłby mi odpoczynek. Widzi pani, potrzebuję spokoju i ciszy. Cierpię na bezsenność. Nocą włóczę się wśród zaułków, a za dnia muszę uciąć sobie drzemkę. Drzemkę, w której nikt nie może mi przeszkadzać. Powiem wprost. Przejeżdżałem powozem i widziałem pewne zaciszne miejsce, w sam raz dla mnie. Dopytałem tu i ówdzie i wskazano mi panią, jako właścicielkę... Pani wybaczy to określenie: rudery.

— Zapewne mówi pan o domu, który należał do mych biednych rodziców. Ale brak tam wygód i...

— Nic nie szkodzi — odparł jegomość, uśmiechając się jakoś niezdarnie, co dodało mu jeszcze złowieszczości. — Potrzebuję jedynie spokoju. Zapłacę złotem. I to z góry! Trzy monety, dobrze? I dorzucę jeszcze trzy kolejne, jeśli rzeczywiście przez ten czas nikt nie wejdzie mi w paradę. Czy się rozumiemy, droga pani? Zapłacę sporo, ale żądam bezwzględnego spokoju i pragnę, by nikt mnie niepokoił, inaczej...

***

W pewnym momencie musiałem przerwać swoją opowieść, snutą wśród dymów i dziwnych głosów władających Przystanią Snów, bo pan Beatreaux – którego twarz w trakcie jej trwania nabierała rumieńców – zerwał się w końcu z miejsca i złapał mnie gwałtownie za ramiona. Poczułem, że ma niepospolitą krzepę.

— Czy wie pan dokładnie, gdzie to miejsce się znajduje? Czy wie pan, gdzie ten... Gdzie on się udał?!

— Nie wiem — odparłem niepewnie, widząc, że przyciągamy wzrok zebranych w piwnicy. — Nie śledziłem jegomościa w czarnym płaszczu. Do wynajętego lokum zaprowadził go pomocnik gospodyni.

— Prowadź mnie zatem do karczmarki!

— A nagroda? Poza tym nie wiem, jakie intencje panem kierują.

— Chcę zapobiec większej jeszcze zbrodni! — zawołał patetycznie. — Chłopcze, dotrę do tej karczmy sam, ale może być już wtedy za późno.

— Skąd pan może wiedzieć, która to karczma?

— Sprytnie nie chciałeś wyjawić jej nazwy, ani imienia właścicielki, ale zdradziłeś się, mój panie, interesującymi szczegółami. Jak wiele wyliczysz bowiem karczm, stojących niedaleko mostu? Ile z tych mostów przecina rzekę w biednej dzielnicy? Ile spośród tamtejszych gospód prowadzonych jest przez wdowy? Wystarczy tylko zasięgnąć języka, by znaleźć tę jedyną z opowieści, a szkoda mi na to czasu, bo ten nagli...

— Nie może mieć pan pewności, że celowo nie zmyliłem tropów.

— Jeśli tak by się stało, to, proszę, nie igraj z mym gniewem. Tutaj liczy się każda minuta. Wyjaśnię ci wszystko w drodze.

Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, schwycił mnie za ramię i wyprowadził z Przystani Snów.

***

Wynajęty powóz powiózł nas poprzez mrok i śnieżną zadymkę, aż w końcu znaleźliśmy się tuż naprzeciwko gospody, która nosiła dumną nazwę: ”Zajazd

Królewski", co oczywiście należało odczytać poczytywać jako pobożne życzenie. Pan Beatreaux nie czekał nawet na mnie, tylko pchnął z impetem odrzwia prowadzące do karczemnej izby. Wszedłem zaraz po nim, by ujrzeć złowrogie spojrzenie pani Martins, właścicielki tego przybytku, która wspierając swoje dłonie na szerokiej talii, taksowała nowo przybyłych od stóp do głów.

— Spokojnie, drogi panie! — zawołała. — To szanowana gospoda i nie potrzebujemy tu awantur.

Pan Beatreaux dopadł do kobiety, schwycił ją za ramię i odciągnął w kąt, co zresztą nie zaciekawiło żadnego z zebranych, choć wewnątrz siedziała grupka trzech raczących się winem mężczyzn.

— Szukam kogoś! — rzucił pan Beatreaux. — Szukam od dawna!

— Tak? To chyba pomylił pan przybytki.

— Jegomość odziany w czerń od stóp do głów, niezwykle szczupły. Wiem dobrze, że zjawił się tu w nocy z soboty na niedzielę i za sowitą opłatą znalazł u pani lokum.

— Hola, hola! — zawołała pani Martins. — Co też pan opowiada? Jaki jegomość w czerni? — W tym momencie spojrzała na mnie, a ja, choć okryłem twarz połami kożucha, zaraz zostałem przez nią rozpoznany. — Ach, to tak — powiedziała, grożąc mi palcem. — Czy to nie ty, gagatku, skryłeś się tamtej nocy w ciemnościach jak złodziej czy inny rzezimieszek i podsłuchiwałeś? Bo podsłuchiwałeś, prawda? A zarzekał się, że przysnął tylko w kącie i nic nie słyszał!

— Nieważne, czy ten młodzieniec podsłuchiwał wasze rozmowy, czy nie — odparł ostro pan Beatreaux. — Musi pani wiedzieć, że człowiek, który zaszył się w pani dawnym domu, to osobnik niezwykle niebezpieczny, który splamił się rozlicznymi zbrodniami, a jeśli wskaże nam pani drogę do niego, to zachowa się jak uczciwa chrześcijanka.

— Uczciwa chrześcijanka! — karczmarka prychnęła. — Dobre sobie! Uczciwa chrześcijanka! No, proszę...

— Zapłacił wiele za pokój, który mieści się gdzieś w dzielnicy ruder, prawda? Jeśli wskaże pani drogę, to zapłacę więcej, niż on. Dużo więcej...

Pani Martins, która była osobą nad wyraz przedsiębiorczą – w końcu kilkanaście lat samotnie i z powodzeniem prowadziła trudny i niewdzięczny interes – zastanowiła się głęboko nad tymi słowami. Beatreaux miał dar przekonywania. Pieniądze zaś kusiły, a przecież nie trzeba było być wielkim znawcą, by domyślić się, że człowiek ten rozporządza fortuną. Wystarczyło spojrzeć na złoty sygnet na jego palcu i takiż łańcuszek od zegarka.

— No dobrze — odparła. — Powiem wam, gdzie się zaszył. Ale będzie to, mój drogi panie, trochę kosztować. No i musisz wiedzieć, że odnalezienie tego, kogo szukasz, może grozić śmiercią. Straszliwą śmiercią... Zaraza zagościła w okolicy, gdzie się ukrył przed światem.

***

Powóz zabrał nas do wrót dzielnicy biedoty. Woźnica nie chciał jednak jechać dalej. Właściwie nie mógł. Miejsce, do którego dotarliśmy obłożone zostało kwarantanną. Wysiedliśmy zatem, a przed nami, w śnieżnej zadymce, majaczyły czarne sylwetki drewnianych domów i zrujnowanych czynszowych kamienic.

— Nie pójdę dalej — powiedziałem, owiany chłodnym powiewem. — Nie jestem szaleńcem.

— Nie zmuszam pana — rzekł Beatreaux. — Może pan odejść. Zapłacę oczywiście za pomoc.

— A jednak chciałbym wiedzieć, czy nie pomogłem panu w czymś, co nie przysparza honoru dżentelmenowi.

— Naprawdę chce pan wiedzieć? — uśmiechnął się. — Nie mam czasu na opowieści, no chyba, że w trakcie marszu, który mnie... nas jeszcze czeka. Pana wybór.

Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale ruszyłem za Henrykiem Beatreux, poddając się mesmerycznej wręcz sile oddziaływania tego człowieka. Ciekawość okazała się silniejsza niż strach.

***

Opowieść Henryka Beatreaux

Wierzyłem jeszcze niedawno, mój drogi przyjacielu w siłę ludzkiego umysłu. Sądziłem, że wszystko da się wyjaśnić z jego pomocą, a świat jest miejscem wolnym od duchów, zjaw, postaci wyciągniętych wprost z kart makabrycznych baśni. Cóż, dalej być może ufam, że logika rządzi naszą rzeczywistością, ale wiem także o istnieniu spraw, które jej z pozoru przeczą.

Swego czasu znalazłem się w pewnym niedużym miasteczku w stanie Massachusetts, gdzie sprowadziły mnie sprawy zawodowe. Wiedz, że prowadzę w Nowym Jorku znany bibliofilom antykwariat i zajmuję się handlem starymi manuskryptami, pismami i mapami. Mój przyjaciel z miasta R., który nosi nazwisko Richardson, napisał do mnie, że ma mi coś ciekawego do pokazania, co na pewno z zyskiem uda mi się sprzedać. Nie mylił się. Goszcząc u niego, wybrałem kilka interesujących mnie starodruków, w tym jeden, pochodzący z końca średniowiecza i opatrzony tytułem: *O Czerwonym Morze. Traktat o tajemnej chorobie krwi, ręką Dietmara z Kassel spisany*. Przejrzałem wtedy ten manuskrypt pospiesznie. Bogaty był w ryciny i straszliwe opisy zarazy. Wiedziałem dobrze, że księga znajdzie nabywców, którzy za podobne średniowieczne dziwactwa słono zapłacą.

W noc przed moim wyjazdem z R. stało się coś dziwnego, co z początku jednak nie wzbudziło mych podejrzeń. Zdarzało mi się wtedy, i zdarza wciąż, spacerować po zmroku, kiedy umysł może doznać innych całkiem wrażeń. Przed

porannym wyjazdem udałem się na nocną przechadzkę. Panowała wtedy mroźna zima, jak i teraz. Gdy przystanąłem na moment w bramie jednej z kamieniczek, zobaczyłem czyjąś postać. Jegomość, który przemykał szybko ulicą, spostrzegł mnie również, bo zatrzymał się i podszedł bliżej.

Nie muszę go chyba opisywać, bo zrobił to pan nad wyraz trafnie, gdy wspominał o spotkaniu w karczmie. Tak, jestem pewien, że był to ten sam osobnik! Wywołał u mnie równie nieprzyjemne wrażenie, ale jako że stałem bliżej, niż pan, muszę dodać coś jeszcze do opisu. Czułem od niego kwaśną woń rozkładu.

— Szukam schronienia... — powiedział, sycząc. — Jakiegoś spokojnego lokum, bo chciałbym się zatrzymać tu na jakiś czas.

— Nie wiem, jak miałbym panu pomóc — odparłem. — Jestem nietutejszy.

— Jak pana godność?

— Beatreaux. Henryk Beatreux — odparłem. — A czy pan mi się przedstawi?

Odniosłem wrażenie, że zastanawia się. Potem uśmiechnął się, wyszczerzając swoje zęby i odparł: — *Seuche.* Tak, tak właśnie. Zdaje mi się, że tak mnie nazywano...

— *Seuche*... — powtórzyłem. Było to niemieckie słowo, które gdzieś już słyszałem, ale znaczenia nie mogłem wtedy sobie przypomnieć. — Niech pan zajrzy kiedyś do Mr. Richardsona — poradziłem. — To mój przyjaciel. Mieszka tu od urodzenia i zna R. jak własną kieszeń. Na pewno pomoże panu odnaleźć właściwe lokum.

— Richardson... Richardson... — powtórzył, śmiejąc się jakoś nieprzyjemnie. — Zapamiętam to sobie. Na pewno go odwiedzę. Dziękuję za radę.

Skłonił się jakoś teatralnie, zdjął swój szapoklak, ukazując na wpół łysą czaszkę i zniknął w mroku.

Cóż, nie przejąłem się tym wszystkim bardzo i następnego dnia wyjechałem z miasta R., serdecznie żegnając się z mym przyjacielem i uprzedzając go jedynie, że może mieć osobliwego gościa.

Nie minął tydzień, a doszły do mnie straszliwe wiadomości o dziwnej chorobie, która rozpanoszyła się w R. Richardson napisał długi list opisujący jej objawy. Osobliwe objawy – dodać muszę. Bo choć skórne czyraki u ofiar przypominać mogły jeszcze dżumę, to przecież żadna z epidemii nie rozprzestrzeniała się w ten sposób.

Gdybym nie był człowiekiem o racjonalnych przekonaniach – pisał mój przyjaciel – *przypuszczałbym, że stoi za tym jakaś siła, na wpół demoniczna, na wpół ludzka, jakby dobierająca ofiary według klucza. Czy wiesz, że zdarza się, iż jednej nocy zakażeni mogą mieć ze sobą coś wspólnego – na przykład grali przy jednym stoliku w szulerni. Albo mieli przyjemność iść tą samą ulicą, gdzie ich ciała odnaleziono. Nikt jednak poza nimi, choć stykali się z niejedną osobą, nie zaraził się. A gdy pytać tych, którzy widzieli felernej nocy ofiary choroby, niektórzy mówią coś o tajemniczym mężczyźnie w czerni, który*

im towarzyszył. Jego opis się jednak różni, bo jedni chcą widzieć w nim śmierć na chorągwi, inni całkiem korpulentnego osobnika. Przypominało to szalone opowieści pana Poe, w których się zaczytywaliśmy. To może szalony pomysł, ale zdaje mi się, mój drogi przyjacielu, że nasza zaraza ma cielesną postać i drwi sobie z nas...

I wtedy właśnie przypomniało mi się spotkanie z jegomościem w czerni i stara księga, którą przywiozłem ze sobą. Kiedy wieczorem, siedząc w mym gabinecie, rozwarłem strony manuskryptu ponownie, na pergaminie spostrzegłem ryciny przedstawiające ludzi cierpiących na chorobę krwistych czyraków. Zaraza zwykle trwała przez kilka dni... Zaraza! Wpadłem i na to, że po niemiecku zaraza to *Der Seuche*! Czy nie tak przedstawił mi się nasz chudzielec? Ponadto na jednej z rycin autor biegły w sztuce iluminacji przedstawił jego oblicze. Może była to jedynie ślepa wiara mego umysłu i autosugestia, ale dostrzegłem w tym groteskowym portrecie twarz i sylwetkę napotkanej istoty. Istoty, która na kolejnych stronicach rosła – i to dosłownie!

Pojechałem do R. czym prędzej, by dowiedzieć się więcej. Podczas podróży nie mogłem pozbyć się niespokojnych myśli, bo żaden list od mego przyjaciela już nie przyszedł, a na wysłane telegramy nie doczekałem się odpowiedzi. Stało się to, co podejrzewałem. Zginął i on, strawiony bólem i cierpieniem. Richardson spoczął w masowym grobie.

Zasięgnąłem informacji, szukałem, pytałem, tropiłem wszelkie ślady. Naniosłem nawet na mapę miejsca, gdzie znajdywano ciała ofiar. Zdarzało się, że jednego dnia musieli spotkać się w jakimś lokum lub, w szynku lub w czyimś salonie. Czy w drodze powrotnej napotykali tajemniczego przechodnia? Znalazłem świadków, którzy widzieli nocą przemykający zaułkami złowrogi cień. I postać w czerni! Jego także. Z każdym dniem coraz lepiej odżywionego, panie Smith.

Tropiłem go przez lata, ale tam, gdzie się zjawia, nigdy nie zagrzewa miejsca długo. Kilka straszliwych dni wystarcza mu, by najeść się do syta ludzkim cierpieniem. Pojawia się każdej zimy i nigdy nie wiadomo, gdzie mu wypadnie wizyta. Zanim dotrę na miejsce, gdy pierwsze wieści zaczynają do mnie trafiać – a mam wielu przyjaciół, którzy wiedzą, że czekam na każdą wiadomość o pierwszych objawach zarazy – pozostaje mi niewiele czasu, by spróbować go wytropić. A Czerwony Mór potrafi się ukrywać, robi to od stuleci.

Czasem jednak popełni błąd, chociażby wtedy, gdy nie zauważy w zakamarkach karczmy podsłuchującego go studenta.

***

Pan Beatreaux skończył swą opowieść tuż przed tym, jak znaleźliśmy krwawe ślady pozostawione przez czarnego kota, który przebiegł nam drogę. Chwilę potem staliśmy przy drzwiach prowadzących do rudery należącej do pani Martins, mając za jedynego towarzysza tego samego kocura oraz zmarłego niedawno

w męczarniach pomocnika oberżystki. Byliśmy nieco zdyszani nocną gonitwą i pełni wątpliwości.

— Czy jesteś gotowy? — zapytał Beatreaux.

— Nie chce mi się wierzyć w to, co usłyszałem od pana — odparłem, ocierając z czoła pot.

— Jakże ja chciałbym, mój młody przyjacielu, nie uwierzyć w to nigdy!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. W gardle mi zaschło, a przez ciało przebiegł dreszcz. Ale za daleko zabrnąłem tej nocy, by teraz zrezygnować. Wspólnie zaczęliśmy wyważać drzwi, które w końcu zostały wyrwane z zawiasów i gruchnęły z hukiem.

Gdy weszliśmy do środka starej rudery, lampa omal nie wypadła mi z dłoni. Na drewnianej podłodze leżały podarte ubrania, a na ustawionym pośrodku pokoju łóżku znajdowało się czyjeś ciało. Boże, ciało! Cielsko, niemal groteskowych rozmiarów, pokryte wielkimi wałami tłuszczu, z ogromnym brzuchem, który trząsł się w jakichś konwulsjach.

Istota, kimkolwiek była – a nie śmiałbym nazywać jej ludzką – odwróciła swe oblicze w naszym kierunku. Ukazała się nam otłuszczona twarz, z oczami płonącymi czerwienią i szaleństwem.

— Dobry wieczór — odezwał się z trudem, a kiedy poruszył się nieznacznie i z wielkim mozołem, łóżko zaskrzypiało. — Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda? Doskonale zapamiętuję twarze... Oooch — zajęczał, łapiąc się za brzuch. — Przesadziłem tej nocy. Wszystko... Wszystko przez tego chłopaka, wysłanego przez panią Martins... Musiałem pożreć i jego. Nie mógł mnie zobaczyć w takim stanie, nieprawdaż? Ale to koniec. Przynajmniej na razie. Ale jeśli będziecie próbować... Ojejej... Tak ciężko mi mówić! Brzuch mi wydyma... Czuję jednak, że jeśli bardzo się postaram, to dam radę jeszcze coś przekąsić... Oj tak...

— Czy... Czy to on? — wyszeptałem, odwracając głowę ze wstrętem. — Czy to mężczyzna, którego widziałem w gospodzie? Ale jak...

— Niewątpliwie — odparł Henryk Beatreaux. — Obrastał ciałem, gdy choroba wysysała siły z żywych. To nasz Czerwony Mór — szepnął, jakby do siebie, a w jego głosie wyczuwałem ulgę.

I wtedy rozległ się śmiech. Potworny, piskliwy, niby ludzki, a przecież tak odległy od śmiechu, który mógłby dobyć się z gardła jakiegokolwiek człowieka. Wielkie brzuszysko trzęsło się w konwulsjach.

Pan Beatreaux wyrwał z mej dłoni lampę, a potem cisnął ją z impetem o podłogę. Płomień buchnął gwałtownie. Olej z lampy rozlał się, podsycając ogień, który szybko zaczął obejmować drewnianą podłogę, ściany i łóżko.

— Już czas na nas — powiedział Beatreaux, ciągnąc mnie za ramię.

— Czy on...

— Spłonie. Nie wiem, czy to go powstrzyma, jeśli o to pytasz. Nie sądzę.

Wybiegliśmy z domu, patrząc, jak ogień pochłania starą ruderę. Na szczęście budynek stał na tyle daleko od innych, że płomienie nie mogły się rozprzestrzenić, tym bardziej, że wiatr zamarł. Wciąż jednak dobiegał do nas nierzeczywisty, upiorny chichot.

— Czy to koniec? — odezwałem się, wciągając do płuc chłodne powietrze. — Panie Beatreaux?

Nie powiedział nic, a na jego twarzy malowała się pewność. A jednak nie był szalony. Przez te lata nie gonił za ułudą.

To musiało mu wystarczyć. Mnie także.

***

Gdy opuszczaliśmy bez słowa dzielnicę ruder, zaczęło powoli świtać. Gdzieś daleko widać było, że po kamiennym moście mknie czarny powóz, który najwyraźniej opuszcza miasto B., zostawiając za sobą krwawe żniwo zbrodni. Tydzień potem pisano wiele o końcu tajemniczej epidemii, a nikt – co za szczęście! – nie mógł nawet podejrzewać, co za nią stało.

Jeśli zaś jakiś cień położył się na moim życiu za sprawą znajomości z panem Beatreaux, to muszę wyznać, że zawsze z lękiem spoglądam na sylwetki szczupłych mężczyzn odzianych w czerń. Od żadnego z napotkanych nie poczułem już jednak słodkiej i przerażającej woni rozkładu, co napawa mnie nadzieją, że czas zgrozy się skończył.

Odkąd jednak przekonałem się, że są na świecie rzeczy przeczące rozumowi, częściej zdarzają mi się bezsenne noce oraz z większym zapałem sięgam po opium.

Ostatnia noc Lipin

Kamila Modrzyńska

Spotkaliśmy się koło dziewiątej, ale dobrze nam się rozmawiało i kiedy wybiła pierwsza w nocy, a kelnerka zaczęła sprzątać, żadne z nas nie miało ochoty iść do domu.

— Chodźmy na stację — zaproponował Wojtek. — Kupmy jeszcze po piwie w monopolowym i tam wypijemy.

Wahałam się.

— No weź — dodał Wojtek ze szczerym oburzeniem. — Chyba nie masz mnie już dość? *Come on!*

— Mów do mnie po polsku — skarciłam go. — Wiem dobrze, co studiujesz, nie musisz się chwalić.

— Nie chwalę się! — Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. — Ale no posłuchaj, mamy wakacje, widzimy się pierwszy raz od pół roku. Mamy co nadrabiać, nie?

Kamila Modrzyńska — ur. 1994 w Działdowie na Mazurach; studentka lingwistyki stosowanej; debiutowała w antologii *Fantazje Zielonogórskie IV*.

Creatio Fantastica nr 3-4 (54-55) 2016, ss. 121-132.

Zgodziłam się z tym.

— To co?

— Niech ci będzie — zgodziłam się. — Chodźmy na stację.

Szliśmy może kwadrans, zanim zostawiliśmy Lipiny za naszymi plecami. Obejrzałam się na nie jeszcze raz czy dwa, kiedy Wojtek nawijał z entuzjazmem o jakiejś postaci z filmów o superbohaterach, ale niezbyt mnie to obchodziło i wcale go nie słuchałam. Miasto spało głęboko, pogrążone w czarno-szarym półmroku. Uliczne lampy były już od dawna wyłączone. Domy nagle stały się obce, ich kontury były wrogie, schowane częściowo za drzewami. Księżyc stał wysoko, a gwiazdy gęsto go otaczały, widoczne jak rzadko kiedy. Piękna to była noc, ostatnia noc Lipin.

— Naprawdę powinniśmy obejrzeć ten film — ciągnął Wojtek.

Przytaknęłam.

Stacja była oddalona od Lipin. Szło się na nią prosto, równolegle do wsi, wzdłuż szerokiego pasa zboża. Wiatr przeczesywał je palcami i nawet w mroku widziałam, jak kłosy falują to z jednej, to z drugiej strony. Po obu stronach drogi, którą szliśmy, rosły krzewy, ale poza tym otaczała nas pusta, otwarta przestrzeń. Dopiero bliżej stacji postawiono jeszcze kilka domków, a w żadnym z nich nie paliło się światło.

— I *Wonder Woman* powinna ci się spodobać — dodał. — Trochę mi ją przypominasz z wyglądu.

Jedynym źródłem światła była latarka w telefonie Wojtka, która kołysała się przy każdym ruchu. Góra — dół — góra — dół — góra — dół, tak jak jego ramię.

— Nie wiem, kim jest *Wonder Woman* i nie mam pojęcia, jak ona wygląda — stwierdziłam z niesmakiem. — Nie sądzisz, że strasznie tu pusto?

Wzięłam go pod ramię, tak na wszelki wypadek.

— No, i już po północy — dodał Wojtek konspiracyjnym głosem. — Wszystkie duchy już się obudziły i grasują teraz wokół nas.

— Nie żartuj sobie ze mnie!

— Wyobraź sobie, ktoś mógłby iść kilka kroków za nami i nawet byśmy nie wiedzieli.

Obejrzałam się za siebie. Pusto. Chyba.

— Nie mów takich rzeczy! — Uszczypnęłam go w ramię.

Wojtek roześmiał się, ale chwilę później usłyszeliśmy wyraźnie, jak coś przebiegło obok nas, szeleszcząc w krzakach. W milczeniu poświecił komórką w stronę pobocza.

— Usłyszał nas — powiedział z markotną miną. — Usłyszał i skoczył w krzaki, żebyśmy go nie zobaczyli.

— Tak, w te pokrzywy — dodałam z przekonaniem. — Biedny upiór.

Minęliśmy kilka ostatnich domów, które oddzielały nas od stacji. Panowała cisza. Weszliśmy na pierwszy peron i zeskoczyliśmy z niego wprost na tory, w kolejny, głębszy odcień czerni.

— Idealne miejsce na piknik — powiedziałam, stając na jednej z szyn, wyślizganej i srebrnej z wierzchu. Natychmiast straciłam równowagę i zleciałam na kamienny podkład.

Wojtek wyminął mnie i jako pierwszy wspiął się na kolejny peron. Podeszłam do niego, a wtedy wyciągnął rękę i pomógł mi się wspiąć. Wreszcie usiedliśmy razem na szarym peronie, który nadal był nagrzany od słońca.

— Jak przyjemnie — powiedziałam, przyciskając dłonie do chropowatej powierzchni.

Wojtek wyciągnął dwie butelki piwa.

W jednym z domów za stacją zapaliło się światło, jedyny jasny punkt, jaki był widoczny z naszego miejsca. Podmuch wiatru przyniósł zapach sosen. Za stacją rozciągał się las, który zlewał się nam teraz w jedno. Wzrok nas zawodził, ale pozostałe zmysły nadrabiały braki. Słyszeliśmy wyraźnie, jak las szumiał przy najmniejszym porywie wiatru. Od czasu do czasu docierało do nas pohukiwanie sowy. I było jeszcze coś… coś w powietrzu. Nawet teraz, o pierwszej w nocy, czuło się energię, jaka zbierała się w ciągu dnia.

— Dobra, toast — powiedział Wojtek, podając mi otwartą butelkę piwa.

— Za przyszły rok! — rzuciłam bez namysłu.

— Za przyszły rok — zgodził się. I jak przystało na przyszłego anglistę, dodał: — *Cheers*!

Stuknęliśmy się i upiliśmy trochę.

— Jak książka twojego taty? — przypomniało mi się.

— Rośnie z dnia na dzień — roześmiał się. — Już teraz dochodzi do pięciuset stron, a mówi, że to dopiero początek. I że jakby miał porządnie opisać historię Lipin, to musiałby napisać trzy razy tyle. W kółko odkrywa coś nowego i potem przez tydzień chodzi i o tym nawija.

— Fajnie!

— Daj spokój. Jak się za mocno rozkręca, to idę do swojego pokoju. Zwykle nie zauważa.

Roześmiałam się.

— Ale mama to już wariuje od słuchania o jednym i tym samym. Słuchaj, parę dni temu odkrył, gdzie w Lipinach był jakiś bardzo stary cmentarz. O rany, buzia mu się nie zamykała.

— Gdzie był? — spytałam z żywym zainteresowaniem.

— Gdzieś naprzeciw remizy strażackiej. Nie wiem. Co za różnica, i tak od dawna nie ma po tym śladu.

Zamieniliśmy jeszcze kilka leniwych zdań, rozkoszując się atmosferą. To było niesamowite uczucie, siedzieć tutaj, w cieple i w ciemności, i być otoczonym ze wszystkich stron żywymi istotami, których nie było widać.

Skończył opowiadać o jakimś wykładowcy i na chwilę zapadła między nami cisza, kiedy zajął się opróżnianiem butelki.

— Las jest coraz głośniejszy — powiedziałam. — Słyszysz?

Wojtek milczał. Przez chwilę oboje się wsłuchiwaliśmy.

— Szumi — powiedziałam znacząco.

— Jest lato — wzruszył ramionami. — Normalne, że las szumi. Pewnie produkuje małe zajączki.

Zachichotałam. Położyłam się na peronie i Wojtek bez zastanowienia zrobił to samo. Przez chwilę w milczeniu patrzyliśmy w niebo.

— Brakuje mi gwiazd w mieście — powiedziałam. — Tam ich nigdy nie widać.

— I niebo jest różowe — dodał. — Wiem. Jest inaczej.

Minęło kilka kolejnych, spokojnych minut, zanim Wojtek zagadnął:

— Słyszysz? Las cichnie.

Milczałam. Przekręciłam głowę tak, żeby widzieć dworcowy zegar. Wybiła trzecia. Usiadłam i przeciągnęłam się.

— Ale zleciało.

— Mówiłem, że będzie fajnie.

Może nie było to zbyt istotne, co robiliśmy, ale to były ostatnie, sielankowe minuty, kiedy jeszcze mogliśmy docenić szumiący las czy peron nagrzany słońcem.

Bo właśnie wtedy od strony Lipin rozległ się wysoki, zawodzący dźwięk, czy może raczej buczenie, które zaczęło przybierać na sile. Słyszeliśmy, jak melodia wchodzi na coraz wyższe tony i dzięki temu zatacza coraz szersze kręgi, obejmując swoim zasięgiem już nie tylko same Lipiny ale i całą okolicę.

— Syrena alarmowa? — spytałam.

Wojtek przytaknął. Jej brzmienie, mimo odległości, świdrowało nasze uszy.

— Nigdy nie lubiłam tego dźwięku — powiedziałam, obejmując kolana dłońmi. — Miałam wrażenie, że zwiastuje coś złego.

— Raczej przynosi pomoc — powiedział pocieszająco Wojtek. — Zobaczmy, ile czasu zajmie, zanim usłyszymy wóz strażacki. Jest trzecia dziesięć. Ile im dajesz?

— Pięć minut?

— Daj im wstać i dojechać. Dziesięć.

— Okej, zobaczymy — przyjęłam zakład.

Nadal trzymałam w ręku butelkę z końcówką piwa. Syrena nadal nie przestawała wyć, rezonując echem, które dochodziło do najdalszych miejsc. Pomoc, pomyślałam stanowczo. Pożar? Chyba tak, cóż by innego?

Dziwnie się siedziało na dworcu, wyobrażając sobie poruszenie, jakie musiało panować w jednostce strażackiej.

— Ale muszą się uwijać — mruknęłam. — Biedni, tak się budzić w środku nocy.

Dopiłam resztę piwa, które smakowało okropnie. Spod domu Witkowskich z piskiem opon ruszył samochód.

— O, to pewnie Kacper — stwierdził.

Zerknęłam na dworcowy zegar i widziałam, że wzrok Wojtka podążył za moim. Wskazówki przesuwały się zdecydowanie zbyt wolno. Minuta, dwie, trzy… Syrena nie cichła.

— Wydawało mi się, że to tylko chwilę trwa? — spytałam. — Tak wiesz, żeby wszyscy usłyszeli?

Wojtek wzruszył ramionami.

— To chyba coś znaczy, jeśli alarm trwa dłużej — mruknął z zamyśleniem Wojtek. — Kiedyś w liceum czytałem… trzy minuty to chyba zagrożenie atomowe?

Zrobiłam wielkie oczy, ale się nie odezwałam. Minęło kilka kolejnych minut.

— Um, Wojtek? — Przerwałam ciszę. Chłopak oderwał wzrok od zegara i spojrzał na mnie. — Co jest gorsze od ataku atomowego?

Namyślił się.

— Może coś im się zacięło.

Kiedy odliczyliśmy pełen kwadrans, a dźwięk syreny nadal rozchodził się po okolicy, widziałam już, że coś było nie w porządku i nie była to kwestia czegoś tak prozaicznego jak pożar.

— Dziwne, że któryś z sąsiadów nie poszedł ich opieprzyć — stwierdził Wojtek. — Przecież naprzeciwko straży pożarnej mieszka Michalski. No kto jak kto, ale on zawsze jest pierwszy, żeby urządzić awanturę.

— Chodźmy do domu — powiedziałam po chwili milczenia.

— Zostało nam pół godziny do wschodu słońca!

— Zobaczymy go po drodze. Chodź, ja się boję.

Wyrzuciłam puste butelki do kosza i razem zeszliśmy z peronu. Wojtek przekonywał mnie, że totalnie nie ma się czego bać, że to tylko awaria systemu albo jakaś inna głupota.

— Tak czy inaczej pewnie już pół Lipin jest na nogach — stwierdziłam. — Ta syrena mogłaby obudzić nawet zmarłego.

Wojtek zachichotał, ale skarciłam go spojrzeniem.

— Moi rodzice nie będą zachwyceni, kiedy zobaczą, że jeszcze nie wróciłam do domu.

Z każdym kolejnym krokiem było coraz jaśniej, a wycie syreny stawało się coraz wyraźniejsze.

Wciąż jeszcze dużo czasu pozostawało do wschodu słońca, ale pojawiały się już jego pierwsze oznaki. Noc ustępowała miejsca płaskiej szarości, która dopiero miała nabrać głębi. Nad polami wkrótce zacznie się unosić mgła. Zostawiliśmy las za plecami, ale mimo to słyszałam, jak pierwsze ptaki wznosiły trel. Ziewnęłam. To byłby idealny poranek… A niekończące się brzmienie syreny stanowiło upiorny kontrast. Nie dajcie się zwieść, ostrzegała. Tu nie jest bezpiecznie.

Wyszliśmy na główną drogę prowadzącą do Lipin i poczułam się trochę pewniej. Byliśmy teraz bliżej ludzi. Z pewnością nie mogło nam się stać nic złego, prawda? Mimowolnie zwolniliśmy, widząc jakąś kobietę idącą z naprzeciwka.

— O, widzisz — mruknął Wojtek. — I tyle, jeśli chodzi o spokój. Zawsze można liczyć na starsze panie chodzące do kościoła.

— Kościół jest w drugą stronę.

— Wracające.

Przyglądałam się jej uważnie, z każdą chwilą dostrzegając coraz więcej szczegółów. Musiała mieć koło sześćdziesiątki. Była ubrana od góry do dołu na czarno, a wokół nadgarstka miała opleciony różaniec, który zwisał swobodnie. Szła powoli, wręcz człapiąc, a jej czarne pantofle postukiwały przy każdym kroku. Wyglądała znajomo, ale nie potrafiłam powiedzieć skąd. Kiedy się zbliżyliśmy, mogłam wreszcie przyjrzeć się jej twarzy. Miała błękitne, nieprzytomne oczy. Nie widziała ani nas, ani drogi przed sobą.

— Dzień dobry. — Skłoniliśmy się z Wojtkiem niemal jednocześnie, ale nie zareagowała.

Minęła nas, a wtedy poczuliśmy wyraźnie ciągnący się za nią smród zgnilizny.

— Ci starzy ludzie zawsze dziwnie pachną, nie? — stwierdził Wojtek.

Obejrzałam się za kobietą.

— Wyglądała znajomo — powiedziałam niepewnie. I wtedy to do mnie dotarło. — Wiem! Wygląda jak koleżanka mojej mamy, pani Majchrzak. Wygląda, ale… No, w zeszłą środę był jej pogrzeb. Jest martwa.

— Więc to nie ona.

Zmarszczyłam brwi z powątpiewaniem.

— Ech, pewnie ma jakąś siostrę czy coś. — Wzruszyłam ramionami. Koleżanki mojej mamy nigdy zbytnio mnie nie interesowały.

Wojtek obejrzał na nią i znów spojrzał na mnie.

— Ale to by miało sens — dodałam mimowolnie. — Spójrz tylko na nią. Czarna suknia. Różaniec. Ona wygląda, jakby wyszła prosto z trumny.

— Wygląda całkiem czysto jak na kogoś, kto właśnie przedarł się przez dwa metry ziemi — skomentował Wojtek. — Daj spokój. Te wszystkie baby zawsze się tak stroją.

— Spytam mamy po powrocie — powiedziałam bez przekonania.

Spojrzeliśmy oboje w stronę Lipin. Niemal w każdym domu paliło się już światło, ludzie byli ciekawi, co się stało. Wieś nadal pogrążona była w szarości, ale nad główną ulicą unosiła się złota łuna, jakby od pożaru. Wtedy jeszcze miałam nadzieję, że to zwykły ogień. No bo co innego — w naszych nudnych Lipinach?

— Ciekaw jestem, kto za to odpowiada — mówił tymczasem Wojtek. — Straż? Ktoś tam zasnął? Ta syrena powinna już dawno się urwać. Mam wrażenie, że komuś się nieźle oberwie za wyrywanie ludzi ze snu o tej porze.

— Może to błaganie o pomoc — zasugerowałam i oboje poczuliśmy, jak atmosfera oklapła.

— Jesteś największą optymistką Lipin, wiesz o tym? — skwitował to Wojtek.

Tymczasem na horyzoncie pojawiła się kolejna sylwetka. Obejrzałam się za siebie. Pani Majchrzak zniknęła nam już z oczu. Ten ktoś, raczej starszy mężczyzna, zbliżał się do nas, idąc tak samo jak ona — człapiąc i szurając butami.

— Wojtek, on nie ma ręki — powiedziałam rzeczowo, kiedy się zbliżył.

— Widzę. Hm, co powiesz na to, żebyśmy przeszli na drugą stronę?

Wyszliśmy na środek ulicy i przystanęliśmy, kiedy podszedł bliżej. Jego twarz, mocno wysuszona i sczerniała, ale trzymająca się całkiem nieźle, wykrzywiła się na nasz widok. W przeciwieństwie do kobiety, on z pewnością nas dostrzegał. Wyglądał, jakby przez dłuższy czas grzebał się w ziemi, jego jasnoszary garnitur był wybrudzony, pokryty plamami. Zatrzymał się i spojrzał na nas. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zamknął je i spróbował jeszcze raz. Zaskrzeczał. Wyglądał jakby miał w środku mechanizm, ale nie wiedział, jak go uruchomić.

Ruszył w naszą stronę, a my wtedy gwałtownie się cofnęliśmy. Pewnie zaraz zaczęlibyśmy uciekać, ale zanim o tym pomyśleliśmy, rozległy się strzały. Jego ciało zatrząsnęło się od uderzeń, po czym upadło na ulicę. Poczułam, jak zapach śrutu miesza się z odorem rozpadu.

— Ty, patrz. — Wojtek szturchnął mnie. Od strony stacji nadchodził jakiś mężczyzna. Był koło pięćdziesiątki, szczupły, ze szpakowatymi włosami i ciemną brodą. W dłoni trzymał opuszczoną w dół wiatrówkę.

Musieliśmy wyglądać jak skończeni idioci, gapiąc się tak na niego, bo pokręcił głową na nasz widok.

— Tata Kacpra — wyrwało się Wojtkowi. — To znaczy, pan Witkowski. Dzień dobry.

— Dzień dobry. — Dygnęłam grzecznie nad podziurawionym ciałem, z którego nie wypłynęła ani kropelka krwi.

— Czy wyście do cna zgłupieli, dzieciaki? — zdenerwował się, podchodząc do nas. — Wy za czym tutaj? Szukacie wrażeń?!

— Próbowaliśmy się dowiedzieć, co się stało — wtrąciłam, zanim Wojtek zdążył się odezwać. — Skąd ta syrena.

Witkowski odetchnął głęboko.

— Kacper do mnie zadzwonił — wyjaśnił. — Wiecie pewno, co powiedział. Powiedział, że trupy wstały z cmentarza i rozlazły się po całych Lipinach.

Uniosłam brwi. Filmy filmami, ale takie rzeczy się przecież nie zdarzały. Nie naprawdę.

— Super — powiedział jednocześnie Wojtek ze szczerym zachwytem. — Apokalipsa zombie!

— Idiota — jęknęłam, chowając twarz w dłoniach. — Idiota!

Witkowski musiał w duchu zgodzić się ze mną, bo kontynuował, zwracając się już bezpośrednio do mnie.

— Byłbym mu nie uwierzył, ale zobaczyłem Jankę Majchrzakową pod domem, a na własne oczy widziałem, jak ją chowali. Kacper mi powiedział, że mam zostać w domu. A potem słyszę tylko krzyki i łomot, i koniec połączenia. Nie odbiera już. — Zmarkotniał. — No to stwierdziłem, że przejdę się mu pomóc. Mam w plecaku piłę spalinową i wszystkie noże z kuchni, ale wiatrówka, jasna sprawa, jest najskuteczniejsza. Mogę wam dać po nożu — dodał po namyśle.

Wojtek wpatrywał się w niego z zachwytem.

— Ech, dzieciaki — westchnął. — Idźcie do domu i przygotujcie rodziców na to, co się dzieje. Żadnego pożytku z was tutaj nie będzie.

Ruszył przed siebie. Spojrzeliśmy na siebie z Wojtkiem. Widziałam, jak mu oczy błyszczały.

— Dom — powiedziałam stanowczo.

Zgodził się potulnie.

— Dobra, szefie. Proszę pana! — zawołał i oboje podbiegliśmy do Witkowskiego. — Możemy iść z panem do remizy? A dalej do domu pójdziemy sami.

— I może nam pan dać te noże? — dodałam.

Spojrzał na nas z powątpiewaniem.

— Nie będę was pilnował.

— Poradzimy sobie — zapewnił go Wojtek.

Nie był chyba zbyt przekonany, ale sięgnął do plecaka. Dostaliśmy noże i ruszyliśmy w stronę remizy, z której echem niosła się syrena. Wojtek i pan Witkowski poszli przodem.

Zadzwoniłam do rodziców i poinformowałam ich o tym, gdzie jestem.

— Skarbie, zostań w remizie albo u Wojtka — powiedziała mama, dysząc głośno od biegu. — Połowa naszej ulicy się pali. Pomagamy gasić dom Petrykowskich.

Pożegnałam się z nimi. Byłam rozdarta. Pierwszy raz jak żyję w Lipinach działo się coś bardziej ekscytującego niż wiejska dyskoteka, na której tulipanami naparzały się łyse karczki. Chciałam być tego częścią, ale bałam się i o siebie, i o rodziców.

Zaśmiałam się cicho. Czy to nie było zabawne? Oto szłam główną ulicą Lipin z nożem kuchennym w ręku, gotowa polować na gustownie ubrane trupy.

Wojtek odwrócił się do mnie, ale jego wzrok powędrował dalej.

— Ty, zobacz.

Nasz pierwszy zakatrupiony trup wstał, otrzepał marynarkę i zaczął wlec się za nami. Przyśpieszyłam kroku i zrównałam się z nimi.

Byliśmy coraz bliżej centrum. W zasięgu wzroku zaczęło pojawiać się coraz więcej zmarłych. Chodzili niemrawo, kompletnie niczym nie zainteresowani, jak lunatycy. Część z nich miała otwarte oczy i patrzyła przed siebie pustym, nic nie widzącym wzrokiem. Niektórzy z nich wyglądali jak śpiące ciała prowadzone na niewidzialnych sznurkach, z przechyloną głową i rozchylonymi ustami.

Pierwszą grupkę strażaków spotkaliśmy parę minut później. Podpalali trupy, a następnie pilnowali tych chodzących pochodni, póki nie padały na ziemię. Wszędzie w zasięgu wzroku leżały dogorywające, bezkształtne kadłuby. Czasem któryś z nich wstawał i ruszał dalej mimo ognia i siekiery wbitej w głowę.

— Schowajcie się w remizie — powiedział jeden ze strażaków, podchodząc do nas. — Omijajcie je szerokim łukiem. Są bardzo silne.

— Poczekaj! — Witkowski złapał go za pokryty sadzą kombinezon. — Czy ogień je zabija?

Mężczyzna pokręcił głową.

Trup w szarej marynarce zbliżył się do nas i przystanął, jakby obserwując pogorzelisko. Minęliśmy go i poszliśmy dalej, prosto do remizy. W środku nie zastaliśmy nikogo. Osobiście trochę się zdziwiłam. Remiza była teraz, biorąc pod uwagę okoliczności, najbezpieczniejszym miejscem w całych Lipinach.

Zatrzymałam się w progu i obejrzałam się za siebie. Działka naprzeciwko remizy była gruntownie rozkopana. Zmarszczyłam brwi.

— Syn Michalskiego się buduje — wyjaśnił Witkowski, popychając mnie do przodu. Posłusznie ruszyłam przed siebie. Na piętrze spotkaliśmy starszego

mężczyznę, siedzącego za sprzętem służącym do komunikacji. Prosił o pomoc. Słuchaliśmy go przez chwilę, ale kiedy trzeci raz powtórzył to samo, straciłam zainteresowanie.

Podeszłam do okna. Trup w szarej marynarce ominął strażaków i przystanął na ulicy między remizą a placem budowy. Nie wiem czemu, ale trochę mnie to martwiło — nie rozglądał się, nie szedł dalej, nic, tylko stał.

Wyglądał, jakby czekał.

— Mamy trzech zabitych strażaków na tę chwilę — powiedział dyżurny do mikrofonu. Witkowski natychmiast podbiegł do niego i zażądał nazwisk. Skinęłam ręką na Wojtka. Kiedy podszedł do okna, pokazałam mu naszego kolegę.

— Przyszedł za nami — poskarżyłam się.

— Mamy własnego zombie pieska — zażartował. — Nie zwracaj na niego uwagi. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

— Dzieciaki!

Obejrzałam się za siebie. Witkowski wydobył już od dyżurnego najważniejsze informacje i teraz szedł w naszą stronę.

— Z Kacprem wszystko w porządku — poinformował nas. — Jego grupa jest gdzieś na Słonecznej, idę tam teraz. Nie ruszajcie się stąd, dobra?

— W razie czego zabijemy każde zombie, jakie tu przyjdzie — powiedział Wojtek, prężąc pierś do przodu.

Spojrzałam z wahaniem na Witkowskiego.

— Uważa pan na siebie, dobrze? — poprosiłam.

Skinął głową.

Kiedy wyszedł, stanęliśmy w oknie i odprowadziliśmy go wzrokiem. Nasz nowy martwy kolega nawet nie drgnął. Spojrzałam jeszcze raz na plac budowy. Wydawało mi się, że dostrzegłam jakiś ruch, jakby ktoś krążył między niedokończonymi ścianami, ale gdy mrugnęłam, wrażenie zniknęło. Nagle za domami mocno zajaśniało i wyglądało to tak, jakby gdzieś w oddali ze znaczną siłą coś wybuchło. To nie była moja okolica, ale i tak spróbowałam dodzwonić się do rodziców. Nikt nie odebrał.

Po chwili dyżurny skończył wreszcie nadawać i schował twarz w dłoniach.

— Przepraszam — odezwał się Wojtek, podchodząc bliżej. — Nie da się nic zrobić z tą syreną?

Dyżurny spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— To jest specjalnie — powiedział. — Żeby wszyscy wiedzieli, że mają się pakować i uciekać. Połowa Lipin stoi w ogniu.

Wyjrzałam przez okno. Nasz kolega się nie ruszał. Stał mniej więcej na naszej wysokości i patrzył prosto przed siebie... na co? Na ścianę? Co dokładnie było pod nami?

— Lada moment będą tu jednostki ze wszystkich sąsiednich miast — wyjaśnił dyżurny. — Ale zajmie im to chwilę.

— Nigdzie oprócz Lipin coś takiego się nie wydarzyło? — spytał Wojtek z niedowierzaniem.

Kolega w szarej marynarce zrobił krok do przodu. I jeszcze jeden.

— Tylko tutaj — wyjaśnił dyżurny. Razem zaczęli się zastanawiać, co takiego specjalnego było w Lipinach.

Kolejny krok.

— Słyszałem, że nasz cmentarz jest najstarszy w okolicy — powiedział dyżurny w zamyśleniu.

Idioci. Problem nie leżał w naszym cmentarzu, przynajmniej nie w tym, z którego teraz korzystaliśmy. Problem leżał znacznie bliżej, po drugiej stronie ulicy.

— Ciekawe, czy reszta zombie też się podniesie — zastanawiał się Wojtek.

— To nie są zombie — wyrwało mi się.

Spojrzeli na mnie z zaciekawieniem. Martwy kolega zrobił jeszcze kilka kroków i zniknął mi z oczu.

— Co tam jest, pod nami? — Pokazałam palcem kierunek, o który mi chodziło. — Tam nie ma żadnych drzwi, prawda?

— Jest wyjście awaryjne — powiedział dyżurny. — Ale…

Ledwie skończył mówić, usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach.

— Ale jest zamknięte na kłódkę — dokończył.

Rzuciliśmy się z Wojtkiem do drzwi. Ja je zatrzasnęłam, a on zaczął przepychać kanapę, żeby je zablokować. Dyżurny w tym czasie zaczął nadawać prośbę o pomoc do znajdujących się najbliżej strażaków. Pomogłam Wojtkowi zastawiać drzwi. Kiedy skończyliśmy z kanapą, zabraliśmy się za komodę.

— Pss, czekajcie. — Dyżurny uniósł dłoń. — Ucichło.

Zamarliśmy. Faktycznie, dźwięk ustał. W ciszy było słychać tylko nasze przyśpieszone oddechy.

— Uff — sapnęłam.

Wojtek opadł na kanapę.

— Co miałaś na myśli mówiąc, że to nie zombie? — spytał.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, z głośnym trzaskiem pięść przebiła drzwi kawałek nad głową Wojtka. Wrzasnęłam. Chłopak zerwał się z miejsca i stanął obok mnie.

— Komoda — zakomenderował.

Podczas gdy my powoli ją przesuwaliśmy, dyżurny spanikowanym głosem powtarzał kolejne prośby o pomoc. Wreszcie podnieśliśmy mebel i postawiliśmy go na kanapie, zasłaniając wyrwaną dziurę. Wojtek oparł się o nią. Nasz

martwy kolega dalej uderzał pięściami o drzwi. Wydawał przy tym z siebie jakieś niesprecyzowane dźwięki, coś pomiędzy szlochem i jękiem.

— Utknęliśmy tu — powiedział ponuro dyżurny. — Z tego pomieszczenia nie ma żadnego wyjścia.

— Okno — podsunęłam, podbiegając do jednego z nich. Otworzyłam je i wyjrzałam. Drugie piętro i beton na dole. To będzie bolało.

Rozejrzałam się po okolicy. Nastał ostatni świt dla Lipin, jakich znaliśmy. Już nad niemal całą wsią unosiła się gorejąca zorza.

— Nie panikujcie — rzucił Wojtek, który podskakiwał do przodu przy każdym uderzeniu. — Pomoc nadchodzi.

— Czemu jest taki agresywny? — spytałam, podchodząc do niego. — Nie był taki wcześniej.

Chłopak spróbował wzruszyć ramionami. Tymczasem dyżurny otworzył na oścież okno i najwyraźniej przygotowywał się już do skoku.

— Nie masz wrażenia, że on ostukuje drzwi? — spytałam. Dźwięk z każdym uderzeniem jakby się przesuwał, dopóki nie trafił… Bingo. W drzwiach przy samym zawiasie, w jedynym miejscu niezasłoniętym przez komodę, pojawiła się sczerniała pięść.

— Przebił drzwi — poinformowałam Wojtka.

— Domyśliłem się.

Ręka zniknęła.

— Już są! — wykrzyknął dyżurny z okna. — Pomocy!

Truposz włożył do dziury palce i zacisnął je na drewnie. Szarpnął nimi i fragment drzwi odszedł jak plaster od skóry. W powstałej dziurze pokazała się jego twarz.

— Po-wi-cie Mi-cha-sk-skmu — wycharczał powoli.

Za jego plecami rozległ się tupot stóp.

— Że-by prze-sał.

Zaczął charczeć, a fala gorąca odrzuciła nas od drzwi. W korytarzu rozległy się jakieś krzyki.

— Spokojnie, możecie już wyjść — zawołał ktoś.

Szybko odepchnęliśmy meble. Kiedy Wojtek otworzył drzwi na oścież, nasz trup dogasał już na podłodze z siekierą, która rozłupała mu głowę na części. Spomiędzy kawałków czaszki wypływał przegniły, ciemnoszary mózg. Nad nim stało trzech strażaków.

— Jesteście uratowani! — oświadczył dumnie jeden z nich, a dyżurny rzucił mu się w ramiona.

Redaktor naczelny: *Krzysztof M. Maj*

Zastępca redaktora naczelnego: *Agnieszka Bukowczan-Rzeszut*

Redaktor naukowa: *Anita Całek*

Redaktor językowy: *Izabela Budzyńska*

Redaktor merytoryczna: *Ksenia Olkusz*

Zespół redakcyjny: *Krzysztof M. Maj*, *Agnieszka Bukowczan-Rzeszut*, *Ksenia Olkusz*, *Anita Całek, Piotr Zawada*, *Adam Podlewski*, *Bartosz Staniecko*, *Marcin Chudoba*, *Tomasz Wójcik*, *Magdalena Białek* (sekretarz redakcji)

Rada naukowa: *Ludmiła Gruszewska-Blaim* (Uniwersytet Gdański), *Mirosław Gołuński* (Uniwersytet Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy), *Kenneth Hanshew* (Universität Regensburg), *Mariusz M. Leś* (Uniwersytet w Białymstoku), *Tomasz Z. Majkowski* (Uniwersytet Jagielloński), *Magdalena Roszczynialska* (Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie), *Piotr Stasiewicz* (Uniwersytet w Białymstoku)

Korekta numeru: *Izabela Budzyńska*, *Rafał Chojnacki*, *Mateusz Kucharzyk*, *Izabela Osiadły*, *Alicja Podkalicka*, *Magdalena Wąsowicz* (język angielski), *Katarzyna Żabicka*

Skład i łamanie: *Krzysztof M. Maj*

Ilustracja na okładce i stronie tytułowej: Victor Hugo, *Ośmiornica*
(ilustracja do *Pracowników morza*)



Creatio Fantastica. Zagadnienia i Problemy Fantastyki
ISSN: 2300-2514 • creatiofantastica.com
e-mail: redakcja@creatiofantastica.com



Creatio Fantastica jest tytułem zarejestrowanym w Sądzie Okręgowym w Krakowie pod NS Rej. Pr. 236/15



Ośrodek Badawczy
Facta Ficta
factaficta.org



ISSN: 2300-2514